

CANNES – ZŁOTA PALMA DLA POLAŃSKIEGO!

PRZE

Numer 22/2971 2 czerwca 2002 r.

KRÓJ

Cena 3 zł 50 gr (w tym 7% VAT)

**MINISTER
KULTURY
W SALONIE
WYTRZEŻWIEŃ**

**PAVAROTTI
ZMIERZCH
TENORA**

ISSN 0033-2488
9 770033 248021 22
Indeks 371424 • Y-9013-C

DOM & WNETRZE

NR 6(81)/2002 CZERWIEC CENA 7,90 zł (w tym 7% VAT)

**SŁONECZNE WNĘTRZA
NOWOCZESNEGO DOMU**
tu liczy się pomysł
i szlachetny materiał

**WSZYSTKO NA
SWOIM MIEJSCU**
jak wyposażyć szafę
i urządzić garderobę
-porady projektanta

**WISZĄCE OGRODY
CZYLI WIOSNA
NA BALKONIE**
trzy praktyczne
rozwiązania

TEMAT NUMERU
**DOMY
LETNIE**

• na wiekiej łące
• blisko plaży
• w wiejskiej
chalupie

100
fotele
kanapy
krzesła
stoliki
stoły

WZORÓW MEBLI
PRZEGLĄD OFERTY RYNKOWEJ

DODATEK SPECJALNY!

PODRĘCZNY KATALOG MEBLI.
BOGATA OFERTA RYNKOWA,
NAJCIEKAWSZE WZORY,
MODNE PROPOZYCJE.

TEMAT NUMERU: DOMY LETNIE

DOM: Z HOLENDERSKIM AKCENTEM

INSPIRACJE: KOCHAMY KWIATKI

ARANŻACJE: AMBITNE PLECIONKI

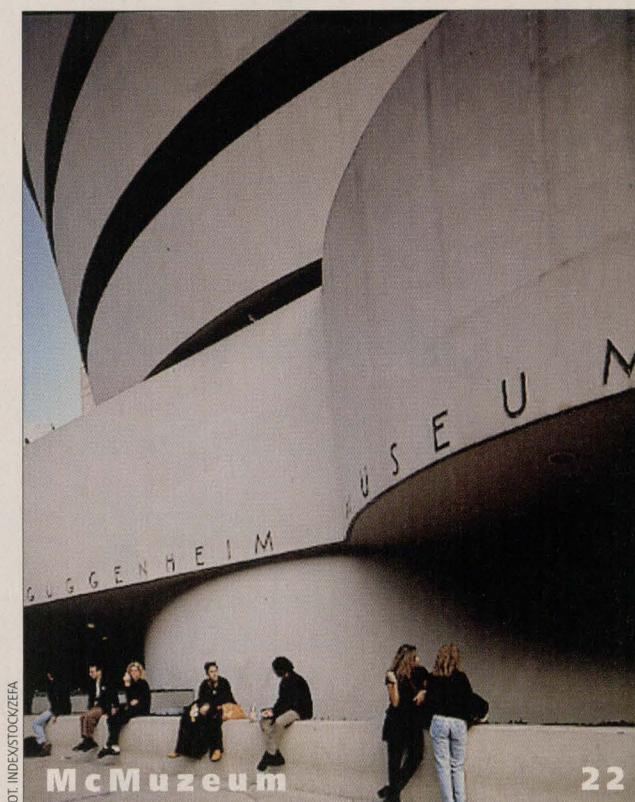
NUMER 22/2971 • 2.06.2002



- 4 Ilustrowany „Przekrój” tygodnia
i wywiad z aktorem Polańskiego Adrienem Brody'm
- 8 Przemysłany „Przekrój” tygodnia
- 10 Europa: Ameryko, do domu!!! – fotoreportaż
- 14 Zmierch tenora – Peter Conrad o Pavarottim
- 20 Kuba się budzi – Filip Łobodziński
- 22 McMuzeum – Marcel Andino Velez
- 30 O użyteczności kolei – felieton Bartłomieja Sienkiewicza
- 31 Rebus adopcyjny
- 32 Minister kultury Andrzej Celiński spotyka się z „Salonem Wyrzewień”
- 36 Kobiety Allaha – wystawa Shirin Neshat
- 37 List z Włoch – Baggio, czyli Boski Kucyk
- 38 Poezja futbolu: Peiper, Wierzyński, Białoszewski, Barańczak i inni
- 48 Wyteż wzroczek – konkurs dla dzieci
- 50 Spis lęków powszechnych – Małgorzata Fiejdasz
- 52 Rachowanie ludzi – Michał Kopczyński
- 54 Jak zostałem narkomanem – z dziennika rachmistrza
- 55 Mordillo i Polska Angola – Christiaan van Lierop
- 56 Wykład o szczęściu – rozmowa z Ritą Gombrowicz
- 58 Teatr: Ruskie lekko nieświeże – Łukasz Drewniak
- 60 Książki – „Jak mi się podoba” Georga Orwella, Antykwariat „Mentzel i S-ka”
- 62 Literatura – A.S. Byatt „Oddech smoka”
- 66 „Większość śpi” – twierdzi Janusz Weiss w rozmowie z Marią Czubaszek
- 67 Kici Kici, felieton Jerzego Bralczyka i Pan Stanisław z Łodzi Marka Raczkowskiego
- 68 KULINARNE PIÓRO POLSKI
- 69 Listy
- 72 Dwie krzyżówki i jolka
- 74 CO PAN NA TO, PANIE LEM?
- 76 Rozmaitości

FOT. ARTUR PAWŁOWSKI/REPORTER

Trzeźwo o kulturze 32



FOT. INDEXSTOCK/ZEFA

22



WILHELM SASNAL

Nagrody 55. MFF w Cannes

ZŁOTA PALMA

„Pianista”, reż. Roman Polański

GRAND PRIX

„Mies vailla menneisyttä”
(Człowiek bez przeszłości), reż. Aki Kaurismaaki

NAJLEPSZY AKTOR

Olivier Gourmet w filmie „Le Fils” (Syn),
reż. Luc i Jean-Pierre Dardenne

NAJLEPSZA AKTORKA

Kati Outinen w filmie „Człowiek bez przeszłości”,
reż. Aki Kaurismaaki

NAJLEPSZA REŻYSERIA EX AEQUO

Im Kwon-taek za „Chihwaseon”
i Paul Thomas Anderson
za „Punch-Drunk Love” (Wściekła miłość)

NAJLEPSZY SCENARIUSZ

Paul Laverty za „Sweet Sixteen”
(Słodka szesnastka), reż. Ken Loach

NAGRODA SPECJALNA JURY

„Yadon Ilaheyya” (Boska interwencja),
reż. Elia Suleiman

SPECJALNA NAGRODA

„Bowling for Columbine”, reż. Michael Moore

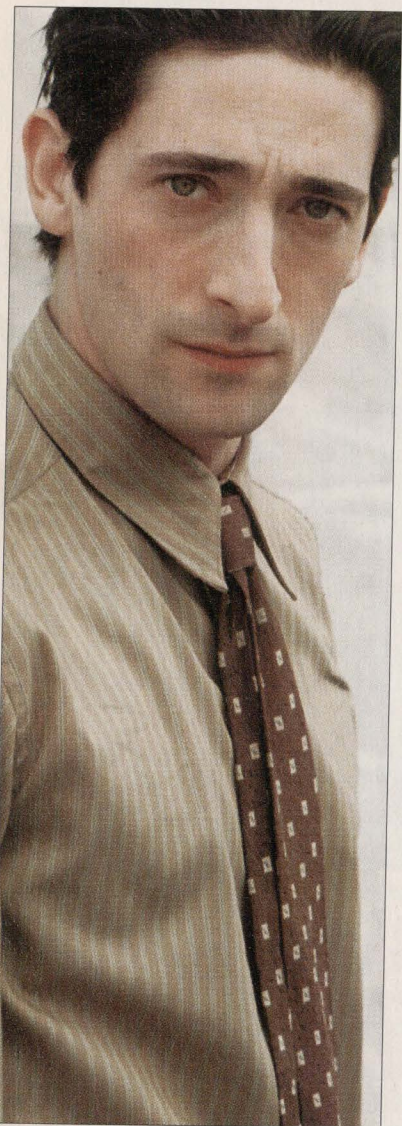
ZŁOTA KAMERA

„Bord de mer” (Brzeg morza),
reż. Julie Lopes-Curval

Roman Polański uważa „Pianistę” za swoje najważniejsze dzieło. Jury w Cannes uznało, że to najlepszy film tegorocznego festiwalu i nagrodziło go Złotą Palmą.

Po „Pianiście” jestem innym człowiekiem

Z ODTWÓRCĄ GŁÓWNEJ ROLI W FILMIE POLAŃSKIEGO ADRIENEM BRODY’M ROZMAWIA RAFAŁ B. NIEMOJEWSKI



Jak zareagował Pan, kiedy Polański zaproponował Panu zagranie głównej roli w „Pianiście”?

— Na początku wiele się nad tym nie zastanawiałem. Przede wszystkim był to dla mnie wielki zaszczyt. Roman wyjaśnił mi, że podobieństwo fizyczne nie było dla niego priorytetem. Powiedział, że mało przypominam młodego Szpilmana, ale jestem łudząco podobny do postaci, jaką wyobraził sobie, czytając scenariusz.

A później? Jak się wam współpracowało?

— Dobrze, choć najłatwiej nie było. Materiał, nad którym pracowaliśmy, był bardzo trudny, a do tego Roman miał do niego niezwykle osobisty stosunek, co nie ułatwiało pracy. Na planie było dużo emocji. Polański ma bardzo silną osobowość i wiele od wszystkich wymaga. Od samego siebie również, ale zwłaszcza od innych.

Jakie były jego wymogi względem Pana?

— Po pierwsze musiałem zrzucić około 20 kilogramów. Sceny kręciliśmy w kolejności odwrotnej do tej, w jakiej oglądamy je na ekranie. Dlatego, zanim jeszcze zaczęliśmy zdjęcia, przez dwa miesiące byłem na intensywniej diecie. To było dla niego bardzo ważne, ale w pełni się z nim zgadzam. Po raz pierwszy w moim życiu miałem okazję doświadczyć na własnej skórze, jak zachowuje się człowiek, który od tygodnia nie jadł.

Polański uparł się, aby nauczył się Pan grać na fortepianie?

— To prawda. Zawodowy pianista wyręczał mnie dopiero przy wykonywaniu trudniejszych partii. Nie potrafię czytać nut, więc musiałem grać z pamięci. Pod tym względem Roman był wyjątkowo wymagający. Według niego nauka gry na fortepianie była niezbędnym elementem budowania więzi emocjonalnej między mną i moim bohaterem. Przez kilka miesięcy pobierałem więc lekcje fortepianu u kilku profesorów. Ćwiczyłem, kiedy tylko miałem okazję — w hotelu lub na klawiszach w przyczepie na planie.

To, co zaskakuje w filmie, to jego suchy, niemal dokumentalny charakter...

— Owszem, ale takie właśnie było założenie Polańskiego. Próbował pokazać cały ten dramat w sposób jak najbardziej obiektywny. Celowo unikał wszelkich elementów o charakterze sentymentalnym. Tym samym pozostał wierny tekstowi Szpilmana, którego główny bohater jest raczej w pozycji pasywnego obserwatora wydarzeń. Pokazał, że zarówno wśród Żydów, Polaków, jak i Niemców znaleźć można było ludzi złych, ludzi o słabym charakterze, ale także wrażliwych i szlachetnych.

Jak wiele Pańska kreacja aktorska zawdzięcza Szpilmanowi, a jak wiele Polańskiemu?

— Polański wniósł do mojej pracy bardzo wiele. Myślę, że gdyby nie on, nie udziwi-

gnąłbym tej roli. Najbardziej wpłynęły na mnie nie tyle konkretne wskazówki techniczne, których udzielał mi jako reżyser, ile nasze przyjacielskie dyskusje, częstokroć w najtrudniejszych dla niego momentach, kiedy dzielił się ze mną swoimi wspomnieniami i uczuciami.

Ta rola pochłonęła pół roku mojego życia. Przez sześć miesięcy żyłem i oddychałem tylko tym filmem, kompletnie odizolowałem się od reszty świata. Pracując nad rolą, odczuwałem ciężar odpowiedzialności. Po raz pierwszy przecież wcieliłem się w postać historyczną. Sam temat filmu również do najłatwiejszych nie należy. To bez wątpienia najtrudniejsza rola, jaką mi dotychczas powierzono.

Czy trudno było się Panu od niej uwolnić?

— Niezmiernie trudno. Całymi tygodniami nie mogłem dojść do siebie. Nawet przyjaciele mnie nie poznawali. Zaraz po ukończeniu zdjęć otrzymałem kilka ciekawych propozycji kolejnych ról, ale musiałem wszystkie odrzucić, ponieważ po Szpilmanie wydawały mi się zbyt powierzchowne. Żeby dojść do siebie, wyjechałem na kilka tygodni na Hawaje. Teraz w Cannes ponownie ogarnął mnie minorowy nastrój. Oglądając film podczas premierowej projekcji i dyskutując o nim z dziennikarzami, zaczynam przeżywać go na nowo. Powracają wszystkie wspomnienia. Nie przewidywałem, że kiedykolwiek będę w stanie zaangażować się w rolę do tego stopnia. Z perspektywy tych kilku miesięcy od zakończenia zdjęć bez kokieterii powiedzieć mogę, że ta rola bardzo mnie zmieniła, niekoniecznie jako aktora, ale na pewno jako człowieka.

Rozmawiał

RAFAŁ B. NIEMOJEWSKI

Roman Polański zekranizował autobiografię Władysława Szpilmana, pianisty i kompozytora, który tak jak on sam w czasie okupacji znalazł się w getcie, cudem uniknął wywiezienia do obozu koncentracyjnego i... przeżył. W filmie epizody z książki przeplatają się z własnymi wspomnieniami reżysera.

W ostatniej scenie „Pianisty” oglądamy owację publiczności po koncercie Szpilmana w filharmonii. 3500 widzów zgromadzonych na światowej premierze filmu w canneńskim audytorium Lumière, zareagowało w równie entuzjastyczny sposób, nagradzając reżysera i ekipę kilkuminutową owacją na stojąco. Polański ze swojego miejsca pośrodku widowni pozdrawiał publiczność, nie przeczuwając, że dwa dni później odbierze za swoje dzieło najbardziej prestiżowe trofeum w świecie filmu.

„Pianista”, reżyseria Roman Polański, scenariusz Ronald Harwood, zdjęcia Paweł Edelman, scenografia Allan Starski.

Scena kręcona na warszawskiej Pradze — kwiecień 2001



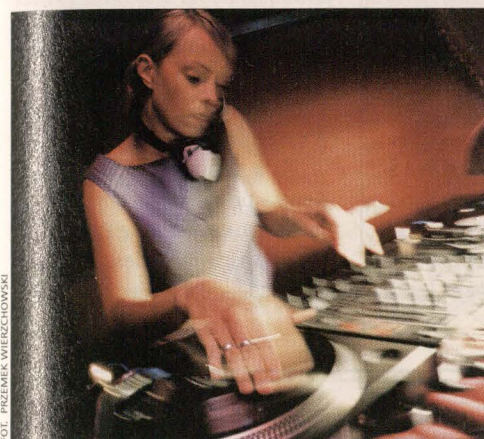
W TYM TYGODNIU NIE PISZEMY...

... o tym, czy złagodzenie przepisów o posługiwaniu się bronią przez policję spowoduje, że przestępcy przestaną strzelać do funkcjonariuszy.

... o tym, że papież Jan Paweł II nie wierzy w bułgarski trop zamachu na swoje życie.

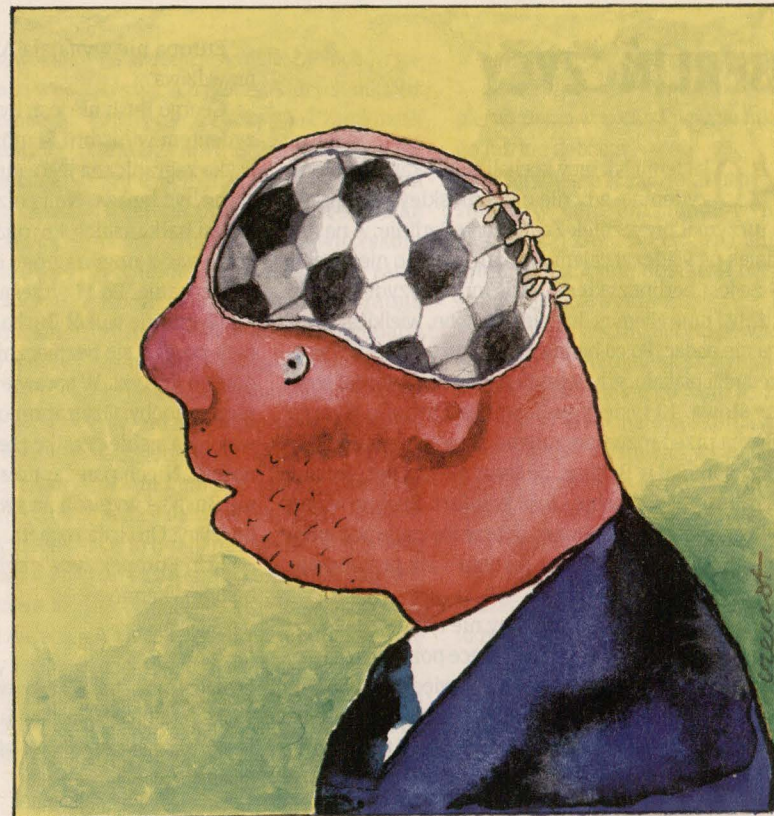
... o tym, dlaczego Maciej Manicki jest bohaterem kongresu OPZZ.

... o wodzie znalezionej na Marsie i kolejnych spekulacjach na temat życia na Czerwonej Planecie.



FOT. PRZEMEK WIERZCHOWSKI

Teraska (na zdjęciu powyżej) i setki jej koleżanek opanowały w miniony weekend warszawski klub CDQ w ramach feministycznej imprezy Mia100 Kobiet, której „Przekrój” był patronem. W klubie zaroilo się od kobiecych zespołów, artystek i poetek. Panowie czuli się w CDQ nieco zagubieni, gdyż feministki zagarnęły dla siebie nawet męskie toalety.



MYŚL TYGODNIA

Woda wściekle bije w wał, a wał stoi, tak jak stał.

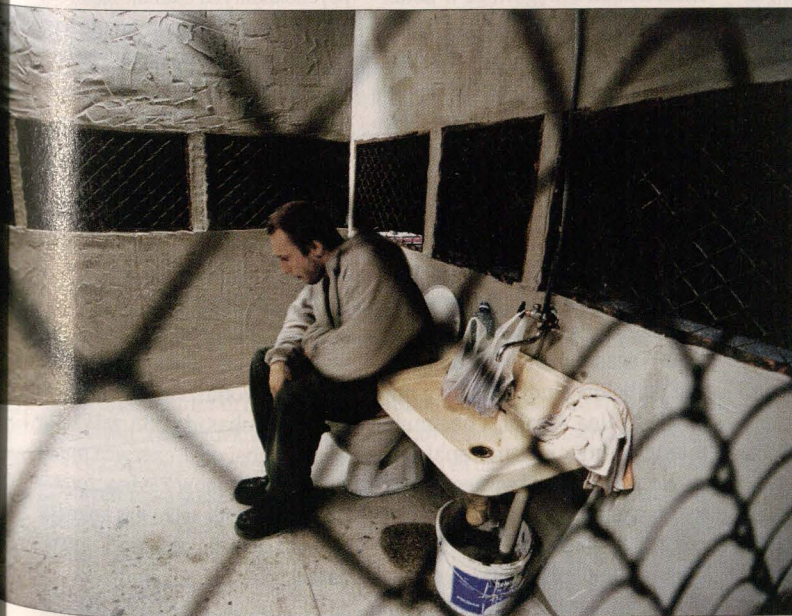
Poset PSL Bogdan Pęk o oporze Leszka Balcerowicza wobec nacisków rządu na kierowaną przez niego Radę Polityki Pieniężnej.



FOT. MACIEJ MACIEJŃSKI/REPORTER

Podglądanie ze Stasiukiem. Grupa ludzi potyka się na ciemnych schodach do piwnicy. Każą im iść krętym korytarzem w nieprzeniknionym mroku przy dudniącej muzyce. Sadzają — każdego osobno — na twardych krzesłach naprzeciw ściany. Gdy zapłonie światło, ludzie na krzesłach zobaczą w ścianie zakratowane okienka, za nimi więzienną celę. Więzień opowiada sobie swoje życie. Jest sam, więc jest sobą. Nie krępuje się. Płaczę, śpi, robi kupę, onanizuje się i cierpi. Mamrocze pod nosem lub krzyczy, nie dbając o prawidłową dykcję. Budzi strach i sympatię, wstręt i współczucie. Gaśnie światło, koniec podglądania. Widzowie zostają wyprowadzeni. Nie ma kurtyny, braw, ukłonów. Nie chce się gadać. Każdy zostaje sam. Solo. Recenzent też. Nigdy nie widział czegoś podobnego. Znikąd pomocy. Skandal to, czy objawienie?

Premiera monodramu w wykonaniu Michała Kowalskiego według opowiadania Andrzeja Stasiuka „Solo” w debiutanckiej reżyserii Agnieszki Olsten, z muzyką Mikołaja Trzaski odbyła się w piątek 24 maja w gdańskim Teatrze Wybrzeże, na nowej scenie, w pomieszczeniu służącym do niedawna za magazyn mebli. Radzimy już rezerwować bilety. Każdy powinien to sam zobaczyć, a więzień może jednorazowo podglądać zaledwie 20 osób. (map)



FOT. KEP

BERLIŃCZYCY

40 lat temu Niemcy kochali amerykańskiego prezydenta – gdy nie uległ moskiewskiej presji i utrzymał przyczółek Zachodu w Berlinie. A na dołatek oświadczył całemu światu – i to po niemiecku – że jest berlińczykiem*. Dziś inny prezydent, inne czasy i inne Niemcy. Już zjednoczone, wielkiego wroga nie widać. Po co berlińczykom Amerykanie? Tysiące ludzi płakało, gdy John Kennedy wypowiadał słynne słowa. 10 tysięcy policjantów chroniło Georga Busha przed rozwścieczonymi demonstrantami, gdy przypominał w Berlinie, że świat nie jest bezpieczny.

Europa lubi siebie i lubi komfort. Rozleniwiona długotrwałym dobrobytem dobrze się czuje pod amerykańskim parasolem. A do tego – jak przyjemnie pokrzyknąć na Amerykę.

Ochroniarza wynajmujemy nie tylko dlatego, że silniejszy, lecz także – bo nasze ręce pozostają czyste. W efekcie wiotczą nam mięśnie, wędnie wola, stajemy się zakładnikami obrońcy. Uzależnieni poprawiamy sobie samopoczucie pomiataniem tym, na kogo scedowaliśmy troskę o nasze bezpieczeństwo.

Europa nie wynajęła Ameryki, cała reszta jest prawdziwa.

George Bush nie jest, być może, najlepszym prezydentem w historii Stanów Zjednoczonych, a polityka zagraniczna jego administracji zapewne mogłaby być lepsza. No i co z tego wynika? W czasie wojen bałkańskich Europa potrafiła jedynie przestępować z nogi na nogę do czasu, aż ruszyli się Amerykanie. Po 11 września Europejczycy jak trusie skupili się wokół Busha, ale już po kilku miesiącach poczuli się bezpiecznie i znaleźli wiele powodów do krytyki. W sprawie konfliktu bliskowschodniego choćby. Czy zaproponowali coś nowego, czy wzięli na siebie częśćkę rzeczywistej odpowiedzialności? „Niech pan zaprzestanie swoich wojen, panie Bush” – wypisali na swych transparentach berlińczyki. Oto cała recepta.

Ech, Europejczycy, czyżbyście rzeczywiście byli berlińczykami?

ANDRZEJ JONAS

(The Warsaw Voice)

* Kiedy J.F. Kennedy mówił: „Ich bin ein Berliner”, był przekonany, że deklaruje: „Jestem berlińczykiem”. Każda osoba władająca niemieckim mogła jednak zrozumieć to wyznanie jako dużo mniej podniosłe: „Jestem pączkiem”. (od red.)

GROBOWCE SZTUKI

W ostatniej scenie „Poszukiwaczy zaginionej arki” kilku facetów zawozi świeżo odnalezioną Arkę Przymierza do gigantycznego magazynu zawalonego tysiącami anonimowych skrzyń. Nikt nie zajrzy do nich przez następne tysiąc lat... Kiedy 20 lat temu po raz pierwszy zobaczyłem film, najbardziej zaciękało mnie, co znajduje się w tych innych skrzyniach w magazynie. Skarby króla Salomona? A może Bursztynowa Komnata?

To w końcu tylko film przygodowy – powie ktoś – czysta fikcja. Jeśli ma na myśli Arkę Przymierza, to oczywiście racja. Jeśli ma na myśli zasadę – jest w błędzie.

Zrozumiałem to ładnie kilka lat później, kiedy trafiłem do magazynów jednego z bardzo znanych muzeów. Nie miałem pojęcia, jak powinien wyglądać magazyn, ale tego, co zobaczyłem, nigdy się nie spodziewałem. Wchodziłem do piwnic zapakowanych aż po sufit – no właśnie, nie miałem pojęcia, czym. Co więcej – oprowadzający mnie kustosz też nie miał pojęcia.

– A co jest w tym pudle? – zapytałem. Na wierzchu ktoś namazał kilka cyfr. Kustosz zrobił niepewną minę.

– Możemy otworzyć – zaproponował.

Otworzyliśmy. W środku znaleźliśmy kilka złotych kielichów owiniętych w gazety sprzed pół wieku.

– Śliczne – zachwyciłem się. – Ale dlaczego nie stoją w gablotach?

– Eeeee – machnął ręką kustosz w geście beznadziei, którego zupeł-

nie nie zrozumiałem. Przecież wokół nas były skarby. Z jednego pudła wyglądała ręka greckiej rzeźby, z innego XVIII-wieczna biżuteria. W sąsiedniej sali gdzieś pod sufitem ktoś upchnął rękopisy wielkiego polskiego pisarza.

Dopiero potem dowiedziałem się, że w Muzeum w gablotach wystawia się dwa procent eksponatów, że dużej części z tych pozostałych 98 procent nie wyjęto nawet ze skrzyń w XX wieku.

Dowiedziałem się też, że istnieje archeologia muzealna i wyspecjalizowani badacze robią „wykopaliska” w magazynach, znajdując czasem wspaniałe rzeczy, o których wszyscy sądzili, że zaginęły w czasie wojny. Potraktowałem to w kategoriach żartu, dopóki nie zobaczyłem wspaniałej rzeźby znalezionej w zamkniętej od lat szafie.

To znane Muzeum wcale nie jest wyjątkiem; takich jak ono

na świecie jest wiele. Molochów zasysających rzeczy, których nikt już nigdy nie zobaczy – jak zamkniętej w skrzyni Arki Przymierza z filmu Spielberga. Po salach w tym Muzeum przechadzało się kilka osób. Trudno się dziwić, skoro w gablotach od lat leżały te same zakurzone rzeczy, choć ostatnio zostały oświetlone halogenami zamiast starą lampą. Pomyślałem, że jeśli miałbym wybierać, to wolę już zmakdonaldyzowane muzea Guggenheima, o których piszemy w tym numerze na s. 22. Niech już będzie nawet w hotelu, ba, nawet w centrum handlowym. Niech będą tam nawet trzeciorzędne zabytki. Przynajmniej ktoś je zobaczy i zachwyci się nimi, tak jak ja się zachwyciłem złotym kielichem wyjętym ze skrzyni sprzed lat. Kielich wywołał uśmiech politowania na wargach kustosa.

– To pospolity wzór – wyjaśnił. Może, ale ja widziałem go pierwszy raz w życiu. I pewnie nikt go już nie zobaczy.

A gdyby ten kielich stał na wystawie w centrum handlowym i każdy, kto robi zakupy za minimum 100 złotych, dostawał bezpłatny bilet na wystawę?

Straszne? Wspaniałe? Na pewno lepsze to niż zamknięta skrzynia.

– A właściwie po co wam jeszcze więcej eksponatów, skoro nie ma ich gdzie wystawić? – zapytałem kustosa, kiedy staliśmy nad skrzynią z kielichami.

Popatrzył na mnie ze zgrozą.

– No, jak to. Przecież jesteśmy Muzeum! – wyjaśnił. – Dzieła sztuki muszą być w Muzeum.

Wcale nie byłem tego taki pewien. I dalej nie jestem.

LESZEK K. TALKO

MAFIA NAS POTRZEBUJE

W czasach masowego bezrobocia w Polsce każda wiadomość o nowych miejscach pracy musi budzić zainteresowanie, szczególnie gdy dotyczy młodych. I właśnie szczęśliwym zrządzeniem losu pojawia się coś idealnego dla młodego, ambitnego bezrobotnego gotowego do emigracji zarobkowej. Według artykułu opublikowanego niedawno w „The New York Post” kryzys kadrowy w mafii nowojorskiej zmusił bossów podziemia do rozpoczęcia rekrutacji nowych członków.

Joe Bonanno o ksywce „Banan” zmarł na początku maja, Vincente Gigante zwany „Podbródkiem” siedzi w pierdlu, szef rodziny Gambino John Gotti umiera na raka, Joseph Defede, czyli „Mały Joe”, syple policji swoich niedawnych kumpi. Krótko mówiąc, nie jest dobrze.

Jak twierdzi FBI, najgorszy rok w historii miała ostatnio rodzina Gambino, która straciła 33 członków (zabici albo wyspani przez kolegów), ale ciągle zatrudnia 130 ludzi, co czyni z niej drugą pod względem wielkości firmę bandyców w Nowym Jorku. Przodują Genovese ze 152 pracownikami. Tamtejszy dział kadr zatrudnił ostatnio dziewięciu nowych pracowników. Rodzina Lucchese przyjęła trzech nowych gangsterów, wskakując na trzecią pozycję w mieście ze 113 zatrudnionymi.

O tym, jak ważna jest promocja, świadczy los rodziny DeCavalcante, na której przygodach oparto scenariusz znanego serialu „Rodzina Soprano”. Ta stosunkowo nieduża, 36-osobowa, grupa zatrudniła ostatnio bez specjalnych problemów ośmiu nowych rekrutów.

Nowością w obecnej kampanii promocyjnej nowojorskiej mafii jest – i tu szansa dla młodych Polaków – otwarcie drzwi dla ambitnej młodzieży spoza Rodzin. Jak to ujął jeden z rozmówców „The New York Post” – „potrzeba nam świeżej krwi”. Aż się prosi o sięgnięcie

po specjalistów z Polski. W Ameryce mafiosi trafiają za kraty i wysypiają swoich kolegów, podczas gdy nasi zawodowcy rosną w siłę.

W ubiegłą środę jeden z najgroźniejszych polskich bandytów Krzysztof Jędrzejczak zwany „Jędrzejem” znużył się oczekiwaniem na rozprawę, w związku z czym zdjął strój więzienny i wyszedł z Sądu Okręgowego w Łodzi w spodkach gimnastycznych i koszulce, a następnie odjechał podstawionym samochodem. Policja – co ciekawe – nie wyklucza, że ktoś mu pomógł. „Masa” chciałby sypać jak „Mały Joe”, ale nie wiadomo, czy Sejm nie zmieni ustawy o świadku koronnym. W końcu każde polskie dziecko wie, że nie wolno skarżyć na kolegów.

Oczywiście nie każdy Polak się nada – egzamin wstępny do mafii jest diabelnie trudny, a praca odpowiedzialna. Inicjacja obejmuje między innymi rytuał spalenia w dłoni obrazka świętego przy jednoczesnej recytacji tak zwanej *omerty*, czyli przysięgi zachowania w tajemnicy wszelkich sekretów mafii. Obowiązki obejmują

tradycyjne dziedziny: wymuszanie okupu, stręczycielstwo, handel narkotykami, od czasu do czasu morderstwo.

Są minusy – jak pokazuje film o rodzinie Soprano – współczesny mafioso to postać tragiczna: ofiara wyścigu szczurów, głupoty podwładnych, wrogości otoczenia. Dla Tony’ego Soprano nawet pomoc psychoanalityka okazuje się niewystarczająca w sprawnym ułożeniu życia zawodowego i rodzinnego.

A jednak młodzi Amerykanie lgną do mafii. Być może w czasach pragmatyzmu przyciąga ich sprawność zarządzania: otwartość działu zasobów ludzkich, kreatywność działu marketingu, pewność wysokiej emerytury. Mafia nowojorska to życiowa okazja dla młodych z inicjatywą chętnych do przeżycia wspaniałej przygody.

Dlatego oburzenie musi budzić fakt, że Ambasada USA w Warszawie podnosi od 1 czerwca opłaty za wizy do Stanów Zjednoczonych. Amerykanie nie tylko nas kolonizują, lecz także blokują drogi rozwoju naszej bezrobotnej młodzieży.

DARIUSZ ROSIAK

PIOSENKA JAK REALITY SHOW

Opole przegrało z Koreą – zamiast tradycyjnie w czerwcu, festiwal polskiej piosenki oglądaliśmy już w maju. Polska gra w mundialach niewiele częściej, niż pojawia się w konkursie opolskim wykonawca godny zauważenia, zupełnie inny od pozostałych. Czy czeka nas podobna rewolucja w tym roku? Raczej nie, bo była dopiero co, w roku ubiegłym.

To od występu w Opolu zaczął się triumfalny pochód zespołu Ich Troje. Nowego kiczu, który sprzedaje się – między innymi dzięki promocji w publicznej telewizji – wielokrotnie lepiej niż ambitni laureaci Fryderyków. Fenomenowi ściśle powiązanego z dzisiejszą kulturą masową, o czym świadczyć może także zeszłoroczny sukces grupy Łzy, która – praktycznie nieobecna w ogólnopolskich mediach – osiągnęła dwa razy większy nakład płyty niż T.Love szczytujący się piosenką najczęściej graną w polskich rozgłośniach.

Ich Troje wyglądają, jakby uciekli z cyrku, na scenie stawiają łóżko, od komunistów pożyczają sztandary, a od faszystów pochodnie. Łzy straszą długimi włosami i ciężkorockowym *image’em*, który dawno wyszedł z mody.

A jednak jedni i drudzy są dziś ulubieńcami całej Polski, bo w tekstach swoich piosenek przełamali tabu dotyczące sfery intymnej. Bo taniej egzaltacji z miłością i śmiercią (w co drugim utworze) w rolach głównych towarzyszą słowa o „stosunku w dzień” (Ich Troje) lub opowieść o wakacyjnej miłości w ubikacji, ewentualnie ojcu gwałcącym własną córkę (Łzy). Takie piosenki doskonale pasują do kultury telewizyjnej, a nawet *reality show*, w którym nie ma nic do ukrycia. Wszystko na sprzedaż – i sprzedaje się to świetnie. Łzom zostaje wynagrodzone

dotychczasowe ignorowanie przez media – w tym roku startują w Opolu w konkursie premier.

Taka rewolucja – obyczajowa, nie artystyczna – zwyciężyła. A spodziewałem się zupełnie innej, podobnej do tej z roku 1980, kiedy Kora bisowała „Boskie Buenos”. Zwykły telewidz po raz pierwszy zobaczył prawdziwy ostry polski zespół rockowy – Maanam. Rock, spontaniczna muzyka ówczesnej młodzieży, w tej jednej chwili wyszedł z podziemia.

Obecnie miejsce rocka zastępuje kultura hiphopowa, której muzycznym przejawem jest rap. Pół roku temu bawiłem na osiemnastce, gdzie koledzy z klasy jubilatki przynieśli własną płytę, na której sami rapowali. To nie moja kultura. Ale oprócz blockersów powtarzających do monotonnych podkładów wulgaryzmy i banały o ciężkim życiu znam masę ożywczych produkcji, których autorzy nie boją się melodii, w rytmicznym rymowaniu są klasą dla siebie, a w tekstach są przekonujący dzięki oryginalnej wrażliwości.

Organizatorzy festiwalu opolskiego pozornie mają alibi – obok głównych koncertów robią hiphopową, folkową i taneczną plenerówkę, które będą retransmitowane w telewizji przy gorszej oglądalności. Zapytałem dyrektora festiwalu Marka Sierockiego, czemu w głównym konkursie premier muzyczne spektrum zawężone jest ciągle do głównego nurtu muzyki pop? Odpowiedział, że nie da się zrobić w pełni reprezentatywnego doboru, bo musiałoby wystąpić 40 wykonawców, a zresztą hiphopowcy w ogóle się do niego nie zgłaszali. Zdziwił się, gdy go spytałem, czemu by ich nie zachęcić.

Ta muzyka znajduje już mniej więcej tylu nabywców co główni laureaci tegorocznych Fryderyków. Ale jej czołowe postacie pozostają praktycznie nieznane. Tak samo jak innych nisz – ambitnego rocka czy muzyki elektronicznej. Jeszcze parę lat temu ukazywały się „Brum”, „XL” czy „Machina” – pisma muzyczne skupione na głównym nurcie rocka i popu. Zbankrutowały, zamiast nich wychodzą „Fluid” i „Kaktus” (elektronika) oraz „Klan” i „Dos Dedos” (hip hop). Dziwne, że choć widać to już na półkach w Empiku, nie będzie widać w najlepszym momencie w telewizji.

PAWEŁ DUNIN-ŹASOWICZ



Europa: Ameryko, do domu!!!

„Żaden z ciebie berlińczyk” – tymi słowami przywitali Niemcy prezydenta Busha. Potem było już tylko gorzej

Karykatury George’a Busha z antyprezydenckimi hasłami rozlepiali w ubiegłym tygodniu demonstranci na ulicach Berlina. Jedno z nich nawiązuje do słynnego: „Jestem berlińczykiem”, wypowiedzianego 39 lat temu przez prezydenta Johna F. Kennedy’ego podczas sowieckiej blokady zachodnich sektorów miasta. Wtedy Berlin wiwatował na cześć amerykańskiego przywódcy.

Ubiegłotygodniowa wizyta George’a W. Busha w Europie wywołała falę demonstracji. W Berlinie na ulicę wyszło 20 tysięcy ludzi skandujących: „Yankee go home!”. Do akcji skierowano 10 tysięcy policjantów. To największa mobilizacja sił policyjnych w powojennej historii miasta, które jeszcze 10 lat temu witało George’a Busha seniora, ojca obecnego prezydenta, jak zbawcę.

Berlin ma długą tradycję radykalnych protestów ulicznych. W przeszłości nie oszczędzano ani Richarda Nixona, którego berlińscy przeciwnicy wojny w Wietnamie obrzucili kamieniami, ani Ronalda Reagana, który w roku 1987 z Berlina Zachodniego nawoływał do zburzenia Muru.

Jednak ostatnie antyamerykańskie demonstracje to nie sprawka lewackich radykałów. Według sondaży 80 procent Niemców krytycznie ocenia zapowiedzi wojny z tak zwaną Osią Zła, do której prezydent Bush zalicza Irak, Koreę Północną, a nawet liberalizujący się od lat Iran. – Antyterrorystyczna koalicja nie powinna być pretekstem do wojny wszystkich ze wszystkimi – mówi szef niemieckiej dyplomacji Joschka Fischer.

W krytyce amerykańskiej polityki wtórują mu rządy większości państw Unii, która ma Bushowi za złe nie tylko wojownicze zapędy i ignorowanie opinii europejskich sojuszników. Europie nie podoba się też blokowanie przez USA ograniczenia światowej emisji zanieczyszczeń, rezygnacja Waszyngtonu ze współtworzenia międzynarodowego trybunału kryminalnego i popieranie wszelkich kroków Izraela w konflikcie z Palestyńczykami. Podobne przyjęcie jak w Berlinie spotkało Busha w Rosji, Włoszech i Francji.

(Qba)

FOT. ARND WIEGMANN/REUTERS/FORUM





PETER CONRAD

Zmierzenie tenora

Najwyższy czas, by Luciano Pavarotti przeszedł na emeryturę. Przytłoczony własną legendą i szumem wokół swojej osoby, wielki tenor wydaje się dziś bardziej skory do złości niż do śpiewania arii operowych

Amerykanie są niepoprawnymi optymistami. Nie mogę pojąć, jak ci wszyscy nowojorczycy, którzy zapłacili ponad półtora tysiąca dolarów, aby 11 maja usłyszeć „Toskę” w Metropolitan Opera, mogli się łudzić, że Pavarotti dla nich zaśpiewa. Jak się później okazało, artysta został w domu z powodu grypy i – przypuszczalnie – strachu. „Cóż za zakończenie błyskotliwej kariery” – zadrwił sobie dyrektor Metropolitan Opera, gdy Pavarotti odmówił opuszczenia swego orlego gniazda przy Central Park South, by osobiście przeprosić zgromadzonych melomanów. Tak naprawdę jego kariera zakończyła się przeszło 10 lat temu. Od tego czasu łatwowierni słuchacze bili brawo napuszonej, chwiejnej parodii wielkiego tenora o zdartym głosie lub – jak przekonała się o tym publiczność podczas niedawnego koncertu we Włoszech na świeżym powietrzu – słuchali artysty z *playbacku*.

Sportowiec u kresu sił

Śpiewacy są sportowcami, których sztuka zależy od delikatnych możliwości fizycznych. Siłą rzeczy ich kariery są krótkie, gdyż ćwicząc śpiew, nadwężają delikatne i drżące struny głosowe. Jedyne, co dziwi w przypadku Pavarottiego, to fakt, że tak długo wytrzymał na scenie. Mimo to, sięgając wstecz pamięcią, nie przypominam sobie, abym zachwyił się którymkolwiek z jego osiągnięć od czasu niezapomnianych partii śpiewanych wraz z Joan Sutherland w „Łucji z Lammermooru”

na zdjęciu: Pavarotti na Karaibach, 2001

i „Purytanach” wystawionych w Londynie i Nowym Jorku w połowie lat 70.

Od czasu do czasu Pavarotti potrafił zaskoczyć słuchaczy porządym wykonaniem. Mam na myśli wzruszającą „Cyganerię” graną w Metropolitan Opera w roku 1988 z orkiestrą pod batutą nawiedzzonego Carlosa Kleibera. Śpiewak zdawał się już pogodzony z myślą, że nigdy nie zostanie artystą i poprzestawał na sprzedawaniu własnej osobowości – jako puszystego obżartucha i kucharza, który w telewizyjnych *talk-show* pochłania góry parującego makaronu, jeźdźca, kiwającego się w siodle na Piątej Alei podczas parady z okazji rocznicy odkrycia Ameryki, czy malarza wystawiającego na sprzedaż swe żałośnie nieudolne obrazy. Pavarotti pozwolił, by kamera obnażyła jego aktorskie braki w nieszczej hollywoodzkiej komedii muzycznej, podczas recitali wymachiwał chustkami o rozmiarach obrusa, a całą tę wulgarną komercję próbował usprawiedliwić, organizując koncerty charytatywne w miejscach, gdzie jego głos można było spotęgować bateriami głośników.

Podczas próby w operze w Londynie, 2001



Ostatnie C?

Początkiem końca była chyba jego aria „Nessun dorma” z „Turandot” Pucciniego podczas pierwszego koncertu Trzech Tenorów. Impreza zbiegła się w czasie z finałem Mistrzostw Świata w lipcu 1990 roku. Przez całe lato BBC zapowiadała mecze, pokazując klip z wyskakującym w górę piłkarzem i rozemocjonowanym Pavarottim z rękoma wyciągniętymi ku górze, aby zdjąć z nieba wysokie C. W transmitowanym na żywo koncercie jego paniczna nerwowość była aż nadto widoczna. Pavarotti bał się, że zafałszuje i stanie się pośmiewiskiem. Tym razem upiekło mu się, ale odtąd nie mógł już mieć pewności, że przy następnej okazji los okaże się równie przychylny. Jak starzejący się, tyjący i coraz częściej zmęczony tenor miał konkurować z własnym mitem? Jak miał sprostować swojemu komercyjnemu wizerunkowi i odtworzyć werwę, męskość i słoneczną błyskotliwość dzwiku, który wydawał z siebie w młodości?

Oczywiście nie był w stanie tego zrobić. Swoją niemoc Pavarotti maskował napadami złości i rzekomymi dolegliwościami. W roku 1987

przyglądałem się mu podczas próby w Metropolitan Opera przed koncertem galowym z Sutherland (którą mimo silnego kataru cechował jak zwykle stoicki spokój). Jej kolega, najwyraźniej nieprzygotowany muzycznie, próbował odwrócić uwagę, ganiąc chór, który jego zdaniem nie był wystarczająco przygnębiony podczas jego „przedśmierćnej” arii w „Łucji z Lammermooru”. Dzisiaj żrugani chórzyscy z pewnością zacieraają ręce.

Cztery lata później w Carnegie Hall zobaczyłem Pavarottiego w jednym z jego niewielu koncertowych wykonań „Otella” Verdiego. Rola przerastała go zarówno wokalnie, jak aktorsko. Choć orkiestrę prowadził sam Georg Solti, Pavarotti ściągnął swego osobistego dyrygenta, ziomka z rodzinnego miasta. Ów człowiek, przykucnąwszy w niewielkiej klitce na scenie, podawał tenorowi rytm i szeptem podpowiadał słowa, których Pavarotti nie zdołał zapamiętać. Artysta przez cały czas siedział rozparty na tronie stojącym w części sceny, którą z tej okazji specjalnie wzmocniono. Twierdząc, że jest chory, jadł i pił, podczas gdy jego koleżdy i koleżanki – między innymi Kiri Te Kanawa – śpiewali. Raz czy dwa nakrył głowę ręcznikiem, jakby chowając się pod namiotem, aby podleczyć swe kosztowne gardło oparami do inhalacji. Nie byłem wówczas pewien, czy to, co widzę, jest prostackim, megalomańskim cyrkiem, czy też załamaniem nerwowym, które przypadkiem objawiło się w miejscu publicznym.

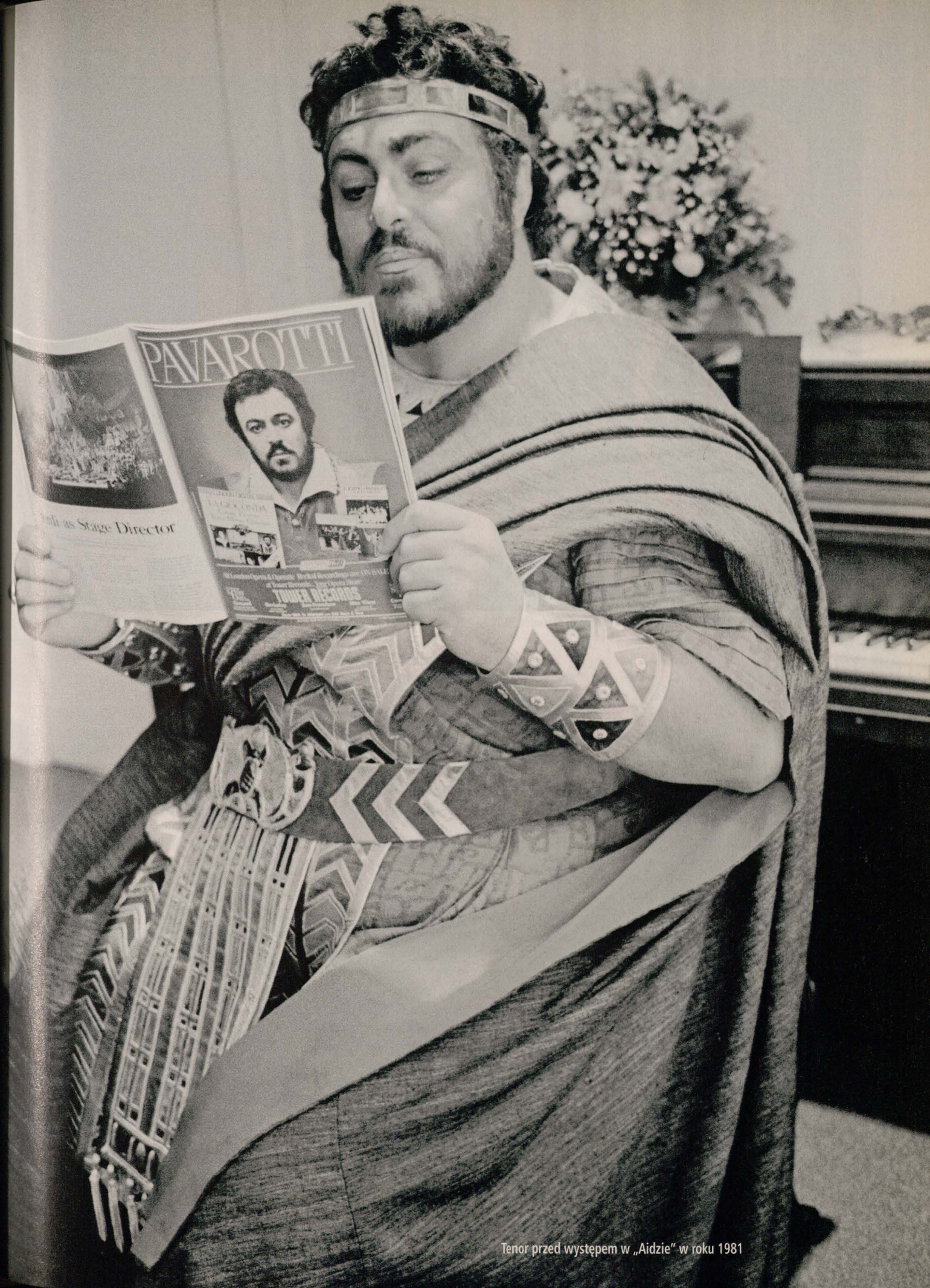
Ociężały samobójca

Od tamtej chwili jego kariera jest rozwlekłą i bolesną kompromitacją. W Sydney, przed występem w „Cyganerii”, Pavarotti siedział w hotelu, ucinając sobie drzemki i jedząc. Na próby wysyłał pewną śpiewaczkę, której zadanie sprowadzało się do informowania pozostałych członków zespołu, gdzie wielki człowiek zechce stanąć (lub raczej usiąść, gdyż jego tonaż przykuwał go do mebli i zwalniał z gry aktorskiej).

Jakiś czas temu Donald Trump wynajął Pavarottiego na koncert w jednym z kasyn w Atlantic City. Włoch pojawił się i skrzekliwym głosem odśpiewał kilka neapolitańskich pieśni. Muzycznie niewyrobieni goście kasyna, którzy odeszli od stołów gry, aby go posłuchać, byli do tego stopnia rozczarowani, że Trump zażądał od śpiewaka zwrotu wypłaconego honorarium.

23 lata po swym debiucie w Metropolitan Opera w roku 1972 w „Córce pułku” Donizettiego, podczas którego zelektryzował wszystkich słuchaczy, odpalając aż dziewięć wysokich C w jednej tylko arii, Pavarotti niczym samobójca postanowił powtórzyć swój wyczyn. Gdy wybiła godzina, wykreślił się od większości występów, tłumacząc się jak zwykle złym samopoczuciem. W występach, w których wziął udział, arię śpiewał niżej. W rezultacie udało mu się przebrnąć przez operę bez jednego wysokiego C.

FOT. BIG PICTURES PHOTOBILLS



Tenor przed występem w „Aidzie” w roku 1981



Występ Trzech Tenorów w Zakazanym Mieście w Pekinie, czerwiec 2001

Nie miałyby to większego znaczenia, gdyby nie przeświadczenie Pavarottiego, iż jest w stanie dorównać swoim osiągnięciom z czasów młodości.

Bohater leży

Fizyczna słabość wzięła nad nim górę, potęgując jedynie zmęczenie głosu. Biodra i stawy przestały wytrzymywać jego ciężar i w pracy aktorskiej artystę coraz częściej musieli wyręczać pomocnicy. Dwa lata temu w „Turandot” wystawianej w Metropolitan Opera to oni uderzyli w gong, którym tenor zapowiada zwykle swe brzemienne w skutki wyzwanie. W „Aidzie” Pavarotti odegrał rolę prężnego, dumnego bohatera wojennego, przez całą operę leżąc rozwalony na egipskich sofach. Coraz częściej artysta przesiadywał swoje własne występy.

Na ostatnim i najbardziej upokarzającym etapie kariery Pavarottiego, prawdziwą operę zastąpiła mydlana opera jego powikłanego życia prywatnego. Po pojawieniu się zdjęć z wakacji śpiewaka w śródziemnomorskim kurorcie, na których niczym Moby Dick w rui baraszkował z nową młodą kochanką, doszło do gwałtownej wymiany zdań z żoną i córkami, które wcześniej opuścił. Na domiar złego włoskie władze oskarżyły go o unikanie podatków. Z zarzutów został ostatecznie oczyszczony, ale dopiero po upokarzającym akcie skruchy. Zaproszony na pogrzeb księżniczki Diany przyleciał prywatnym odrzutowcem, robiąc w Londynie poranną

przerwę w drodze na koncert na Placu Czerwonym. Zdruzgotany i zdradzony przez słabe nogi, do opactwa westminsterskiego wszedł chwiejnym krokiem, prowadzony pod łokcie.

Życie to sztuka

Co charakterystyczne, poza sceną Pavarotti obnosi się ze swymi uczuciami, a wchodząc na nią, staje się bierny i zobojętniały. Śmierć jego wiekowej matki tuż przed pożegnalnym występem w „Tosce” w Covent Garden w styczniu ubiegłego roku stała się dla Pavarottiego kolejną okazją do dręczenia i zwodzenia melomanów, czekających, aż artysta zdecyduje o ewentualnym odwołaniu zapowiedzianych występów.

Mimo tych wszystkich kłopotów i niepowodzeń na konferencjach prasowych i przesłuchaniach w sądzie Pavarotti pojawia się w swej czarnej jak smoła peruce operowej, z brodą ufarbowaną na kolor czarnego atramentu i brwiami podkreślonymi grubą kreską. Życie zespoliło się ze sztuką, a może nawet zamieniło się z nią miejscami.

Ostatni raz słyszałem Pavarottiego cztery lub pięć lat temu śpiewającego na koncercie otwierającym sezon w Metropolitan Opera. Na premierę składały się dwie jednoaktówki – „Płaszcz”, proletariacki kryminał Pucciniego, i „Pajace” Leoncavalla. W pierwszej śpiewał Plácido Domingo, a w drugiej Pavarotti, jedyny raz grając na scenie tragikomika – lub raczej brnąc przez rolę z niezmiennie szklistym wzro-

kiem, odporny na smutek, gniew i samoumartwienie odgrywanej postaci.

Według niektórych publikacji encyklopedycznych – ich wiarygodność Pavarotti podaje oczywiście w wątpliwość – Domingo ma 67 lat, co czyni go o rok starszym od Włocha. Hiszpan pracuje więcej niż Pavarotti kiedykolwiek w swojej karierze, a jego głos pozostaje świetny, zachowując swą czystość dzięki inteligencji właściciela, jego wszechstronności i niezwyklej zdolności do samoodnowy. Pod koniec „Pajaców” Pavarotti stał bez ruchu, czekając, aż jego niewierna żona i jej kochanek, których miał za sztyletować w napadzie furii, podbiegną ku niemu, by pójść pod nóż. Po wykonaniu zadania tenor, miast paść na ziemię, osunął się bezwładnie na krzesło. „La commedia e finita”, warknął jeden z sarkastycznych kolegów klauna. Bez wątpienia komedia dobiegła wreszcie końca. A może była to tragifarsa?

Luciano Pavarotti odwołał właśnie swój występ w Manchesterze w Wielkiej Brytanii zaplanowany na 9 czerwca, by wziąć udział w próbach poprzedzających koncert Trzech Tenorów w Japonii z okazji Mistrzostw Świata.

PETER CONRAD

Artykuł ukazał się po raz pierwszy w tygodniku „The Observer”

© Peter Conrad

Tłum. Maciej Smoczyński



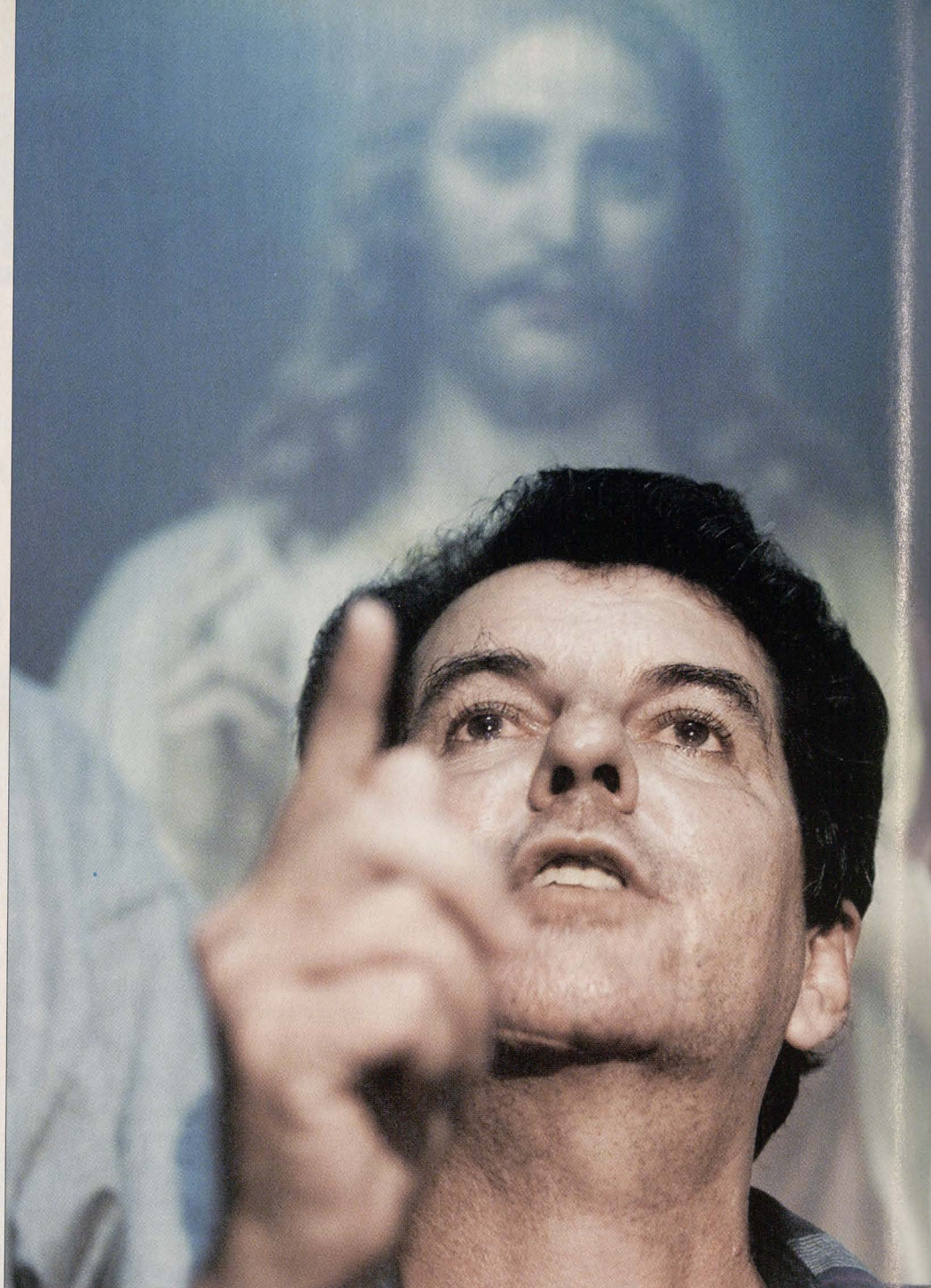
Plaża na Barbados, 2001

FILIP ŁOBODZIŃSKI

Kuba się budzi

Na Kubie zaczyna się ostatnia prawdziwa rewolucja. Ponad 11 tysięcy ludzi podpisało petycję do parlamentu, domagając się wolnych wyborów i wolności słowa. Czy rodzi się kubańska Solidarność?

FOT. AP/PEAST NEWS



Dr Oswaldo Payá Sardiñas, autor Planu im. Vareli

Przyjacielu, może chcesz ode mnie pamiątkę? 20 pesos? W zamian mógłbyś mi dać kilka dolarów na buty dla córki...

Vladimiro Sánchez uśmiecha się szeroko. Dostał właśnie od holenderskiego turysty 10 dolarów i od jego zębów aż bije blask spotęgowany przez hebanową skórę. Jego córka Rosario ucieszy się, od dwóch lat chodzi w tych samych pozszywanych sandałkach.

Holender okazał się prawdziwą gratką. Zazwyczaj trzeba się nachodzić, zaprowadzić turystę w kilka miejsc, zorganizować mu sprzedaż wykradzionych z fabryki Cohiba cy-

gar... A ten tylko posiedział z nim, postawił piwo, pogadał i sygnął forsa. Tylko pytał, czemu w Hawanie wszędzie śmierdzi starą kanalizacją. A czym ma śmierdzieć? Zresztą Vladimiro nie czuje żadnego smrodu. Jakby cię coś otaczało od kilku-nastu lat, to też byś nie czuł.

Turyści to jak żywe widokówki z raj. Przyjeżdżają w lepszych ubraniach, przywożą inne zapachy, chodzą do sklepów i restauracji, gdzie przeciętny Kubańczyk (a czarnoskóry na pewno) nie ma wstępu. Mają w oczach coś, czego próżno szukać u mieszkańców wyspy – to się chyba nazywa wol-

ność, poczucie, że nikt ich tu nie trzyma, że są tu, bo chcą, a jak przestanie im się chcieć, to sobie pojedą do innego świata.

Vladimiro widuje ten świat czasami w telewizji, w programach nadawanych z Ameryki i Meksyku. Państwowe urzędnicy nie zdołają wszystkiego zakłócić. Widać tam ładne, pełne nieznanych towarów sklepy, eleganckie kobiety (prawdopodobnie uperfumowane), lśniące budynki i samochody, dobre jedzenie... I na pewno nie śmierdzi kanalizacją.

Obok przeszły właśnie trzy mocno umalowane dziewczyny.

Vladimiro od dawna chciał uciec na Florydę, razem z żoną i córką. Ale nawet jeśli nie zatoną, nie umrą z wycieńczenia i nie padną ofiarą rekinów, jaką mają gwarancję, że Amerykanie nie odstawią ich z powrotem na wyspę?

Boże, gdyby nie makijaż, widać by było od razu, że to jeszcze dzieci. Kręcąc pośladkami na widok turystów i psykając: „E, pss, pss, *friend*, chcesz towarzystwa?”. Za dwa-trzy lata Rosario też mogłaby znaleźć się wśród nich. Oddawać się za 20 dolarów, za dezodorant, za dzinsy... Vladimiro czuje, że cała radość z holenderskiego łupu gdzieś uciekła. Nie pozwoli na to, będzie żebrał, kradł, kombinował, ale nie da się Rosario skurwić.

Wraca do siebie. Mieszka w starej Hawanie, w kamienicy, która z 50 lat temu była pewnie ładna. Dziś najlepiej zachowana ściana stoi zgwałcona czerwono-niebieską tabliczką „Dzielnicowy Komitet Rewolucyjny”. Po okolicy wałęsają się sąsiedzi. Pałą. Patrzą w przestrzeń. Śladają na schodkach, na krawężnikach. Vladimiro zna ich od dawna, od kiedy przyjechał ze wsi, ze szkoły pionierskiej, zna ich tak dobrze, że wie, który z nich jest szpiclem. Co trzeci.

Dwa dni temu facet z tego samego piętra, stomatolog, poszedł siedzieć. Podobno zorganizował konkurs wiedzy o higienie dla dzieci kubańskich, ale że skierował go także do dzieci emigrantów na Florydzie, przyszło przedwczoraj trzech, a wyszło czterech (tych trzech prowadziło jednego). Może wypuszczą go za tydzień, może za dwa lata, kto to wie...

Promień zachodu odbił się w medaliku na jego szyi. Vladimiro szepnął słówko Matce Bożej Różańcowej, na cześć której ochrzcił z żoną jedynaczkę. Sam nie miał tego szczęścia. Nie znał swoich rodziców, może zresztą jest dzieckiem jakiejś czarnej prostytutki. Trafił do sierocińca, potem do wiejskiej szkółki gdzieś w państwowym gospodarstwie uprawy trzciny cukrowej. Tam pewnie dali mu takie cudaczne imię. Tam też poznał trud-

niejszej pracy przy trzcinowych żniwach, tam w wieku 14 lat umiał już palić, pić, recytować Fidela i uprawiać seks. Ot, szkoła. I tak szczęście, że się załapał do firmy transportowej jako mechanik, dzięki temu dziś jest hawańczykiem.

– Vladi! – wyrwał go z zadumy głośny szept. To Ester, żona uwięzionego dentysty. – Zajrzyj do mnie potem, jak możesz.

Zza jej fartucha uśmiechają się doń migotliwe oczy wnuka Juanita. Ma trzy lata. Ile już rozumie z tego piekła w karaibskim raj?

Godzinę później Vladimiro siedzi w łazience i czyta przy świeczce (znów wyłączyli prąd w całej dzielnicy) ulotki.

„Przedstawiamy kubańskiemu narodowi Plan im. Vareli. Jest to propozycja zmiany niektórych ustaw, mająca na celu poprawę sytuacji społeczeństwa. Projekt chce przekształcić w obowiązujące prawo te przywileje, które są już zawarte w konstytucji, a nie są przestrzegane”.

Od dawna słyszał o tej inicjatywie. Nic pewnego, tylko pogłoski, że będą zbierane podpisy, ale w jakiej sprawie? I czy ktoś się odważy? Bo zabrali się za to ludzie, których trudno posądzać o sympatię dla reżimu. Wielu z nich zna od środka cele kubańskich więzień.

„Konstytucja Republiki gwarantuje obywatelom prawo zgłaszania zmian w systemie prawnym, zapewnia także procedury, dzięki którym poprzez powszechnie wyrażoną opinię lud może w sposób demokratyczny i suwerenny zdecydować o treści i sposobach realizacji tychże zmian... Różne są jednak kryteria, wedle których należałoby rozpatrywać, jakie zmiany polityczne, społeczne, ekonomiczne należałoby przeprowadzić w naszym kraju... Czy więc są one w ogóle potrzebne? To kluczowe pytanie.

Ale mądrą i rzetelną odpowiedź na nie może dać tylko suwerenne społeczeństwo w referendum”.

Vladimiro pokiwał głową. Od kiedy pamiętał, nie było na Kubie żadnego referendum przeprowadzonego na prośbę zwykłych ludzi. Żeby je zorganizować, należałoby zebrać 10 tysięcy podpisów pod petycją do przewodniczącego zgromadzenia narodowego (tego wymaga artykuł 88 konstytucji), ale dotąd nigdy się to nie udało. Strach i konformizm są silniejsze.

„Oto pięć postulatów zrozumiałych same przez się:

Wolność słowa i stowarzyszania się. Te i w ogóle wszelkie prawa człowieka istnieją z natury, a nie dlatego, że ktoś je sformułował i zapisał. Przysługują wam one, ponieważ jesteście ludźmi... Jeśli prawo zagwarantuje nam wolność stowarzyszeń i wolność słowa, będzie wówczas zgodne z konstytucją...

Amnestia... Wielu więźniów w naszym kraju znalazło się za kratami, ponieważ dopominali się o przestrzeganie praw człowieka, których obecne ustawy nie uznają... Może nie potrafimy być jednomyślni co do przeszłości, ale musimy się zgodzić co do przyszłości – że powinien to być czas pokoju, braterstwa i wolności, dla dobra naszych dzieci.

Prawo do działalności gospodarczej... Dzięki niemu może zniknąć niepewność i niestabilność ekonomiczna naszych współobywateli, dzięki niemu pozbędziemy się (...) korupcji urzędników, nieuzasadnionych przywilejów... Mamy wówczas szansę wyjść z gospodarki nieproduktywnej... I powstrzymamy emigrację Kubańczyków, która jest przyczyną rozbitcia tylu naszych rodzin...

Nowe prawo wyborcze... Zgodnie z obowiązującym prawem wyborcy nie biorą bezpośredniego udziału w nominowaniu kandydatów do zgromadzeń regionalnych ani do zgromadzenia narodowego, a w dodatku na każde miejsce w parlamencie typowany jest odgórnie tylko jeden kandydat... Domagamy się, aby kandydatów do wszystkich zgromadzeń przedstawicielskich zgłaszali bezpośrednio wyborcy poprzez podpisywanie list wyborczych i aby o każdy mandat mogło ubiegać się więcej kandyda-

tów... W ten sposób przybliżymy się do modelu demokracji uczestniczącej, który powinien być podstawą naszego ustroju...”.

Vladimiro oparł się o zardzewiałą rurę (może ona faktycznie śmierdzi...). Rosario w rozpadających się sandałkach, holenderski turysta, mały Juanito, brygadzysta-donosiciel, młodociane dziwki, ciotka w Miami, od której raz na rok dostawał różnymi drogami jakieś dolary (dopóki nie umarła), osowiali starsi ludzie na chodnikach, wszechwładny Fidel w telewizji, sklepikarka-kombinatorka – dla każdego z nich słowo „wolność” pewnie znaczy co innego. Od dawna myślał, żeby zaryzykować i popłynąć na tratwie albo oponie na Florydę, razem z żoną i córką. Ale nawet jeśli nie zatoną, nie umrą z wycieńczenia i nie padną ofiarą rekinów, jaką mają gwarancję, że Amerykanie nie wyłowią ich i nie odstawią z powrotem na wyspę? A wtedy skończy się nawet ta nędzna praca w transporcie.

Nazwisko... Adres... Podpis... Numer identyfikacyjny... Vladimiro jest czarny, nie należy do partii, nie ma bogatych krewnych za wodą. Może tylko dalej wegetować i żebrać u turystów. Kolejne 20, może 30 lat.

Wstaje i idzie po długopis.

Vladimiro Sánchez jest postacią fikcyjną, jednak wszelkie podobieństwo opisanych faktów i sytuacji do rzeczywistości jest nieprzypadkowe i nieuchronne. ■

Plan im. Vareli

– inicjatywa podjęta przez Chrześcijański Ruch Wyzwolenia, laicką partię opozycyjną na Kubie. Celem planu jest przeprowadzenie referendum w sprawie zmiany konstytucji – tak by respektowała ona prawa człowieka – i w sprawie wolnych wyborów do parlamentu. 10 maja przewodniczący Ruchu dr Oswaldo Payá Sardiñas po zebraniu 11 200 podpisów pod petycją przesłał ją do marszałka zgromadzenia narodowego. Nazwa inicjatywy wywodzi się od nazwiska ojca Feliksa Vareli, XIX-wiecznego księdza i wielkiego rzecznika praw człowieka.



Peggy Guggenheim (1886–1997),
królowa bohemy,
faniem kolekcjonerka.
jej pałac w Wenecji
stał się drugą, po Nowym Jorku,
„kapielnią” sieci



Salomon R. Guggenheim (z prawej),
baronowa Hilla Rebay
i architekt Frank Lloyd Wright
obok makiety
Muzeum Guggenheima
w Nowym Jorku
20 września 1945 r.

MARCEL ANDINO VELEZ

McMuzeum

- Guggenheim to jest to!
- To znaczy co? Sztuka?
- Tak, sztuka
robienia pieniędzy

Spróbujcie wyobrazić sobie hotel, który kosztował półtora miliarda dolarów. Budowany właśnie w Warszawie 30-piętrowy pięciogwiazdkowy Intercontinental będzie kosztował sto milionów dolarów. Hotel za półtora miliarda dolarów nazywa się The Venetian i jest najdroższym hotelem świata.

Oprócz trzech tysięcy apartamentów w The Venetian jest replika Pałacu Dożów (w środku kasyno), most Rialto z ruchomym chodnikiem i 17 restauracji. Jest ściana do wspinaczki i hiperluksusowy kompleks rekreacyjny Canyon Ranch Spa Club, w którym goście mogą zażyć między innymi „kapieli króla Lulura”, masażu

„rytuału Rasuła” i „kompleksowej opieki nad paznokciami”.

Będąca repliką weneckiego Canale Grande galeria handlowa („wyłożona autentycznym brukiem”) mieści 80 sklepów. Co jeszcze upchnięto do najbardziej luksusowego hotelu Las Vegas? Gabinet figur woskowych Madame Tussaud? Tak jest! I co jeszcze? Może coś naprawdę ekstraganckiego? Co powiesz na Muzeum Guggenheima? Muzeum w hotelu w Vegas??? Jak najbardziej! Nawet dwa muzea!!!

Ślimak i pałac

Biały, spiralny gmach nowojorskiego muzeum to jedna z najbar-

dziej znanych budowli świata. Za projektował ją wielki Frank Lloyd Wright dla Salomona R. Guggenheima. Ojciec Salomona, Meyer, w roku 1848 przywędrował do Ameryki ze Szwajcarii i w ciągu kilkunastu lat zdobył fortunę, o jakiej marzyli wszyscy imigranci.

Imperium Guggenheimów obejmowało kopalnie i huty rud srebra i miedzi w Kolorado, na Alasce, w Meksyku i w Chile. Dzięki zaradności Meyera jego synowie mogli w życiu robić to, na co tylko mieli ochotę. Salomon miał ochotę propagować sztukę abstrakcyjną.

Pierwsze muzeum mieszczące się w dawnym salonie samochodowym otworzył w roku 1939.



Dyrektor Fundacji Guggenheima Thomas Krens podczas otwarcia wystawy „The Art of the Motorcycle” w Muzeum Guggenheima w Las Vegas, w hotelu The Venetian, 10 października 2001 r.

Biały ślimak Wrighta mieszczący całą imponującą kolekcję Salomona powstał 20 lat później.

Nowoczesna sztuka była także pasją bratanicy Salomona, Peggy. Od lat 20. bogata Amerykanka patronowała paryskiej cyganerii, wspierając finansowo kolejnych swoich utalentowanych kochanków. Tuż po wojnie Peggy kupiła wenecki Palazzo Venier dei Leoni, nieukończony cacko XVIII-wiecznej architektury, i tu osiadła na resztę życia. Wraz z nią – pokazna kolekcja sztuki. W roku 1976 sędziwa Peggy zapisuje swój pałac i zbiory fundacji zarządzającej muzeum jej stryja. Tak powstaje fundament przyszłego muzealnego McDonald'sa.

Efekt Bilbao

29 maja w Muzeum Salomona R. Guggenheima zakończyła się głośna wystawa: „Brazylia: ciało i dusza”. W ciągu pół roku obejrzało ją ponad 500 tysięcy osób.

– To jedna z najgorszych wystaw, jakie w życiu widziałam – mówi Anda Rottenberg, długoletnia szefowa Zachęty.

Środek muzealnej spirali wypełniał gigantyczny ołtarz z kościoła w Sao Bento de Olinda – arcydzieło brazylijskiego baroku. Przetransportowanie go na Manhattan stanowiło lwią część kosztów wystawy. Specjalne skrzynie, specjalne dźwigi, dziesiątki robotników.

– Nikomu nie chodziło o prawdziwą wartość tego ołtarza. Ją można docenić tylko wtedy, gdy stoi on w kościele. Całe zamieszanie zrobiono, żeby było wielkie wydarzenie, wielkie show. Żeby na długo przed otwarciem wystawy mówiły o niej media – uważa Rottenberg.

„Pomalowane na czarno ściany, ryczące zewsząd ekrany wideo – ta wystawa wywołuje ból głowy, rozprasza uwagę, jest klaustrofobiczna i kakofoniczna. To widowisko, które udaje, że jest prezentacją sztuki. Dzieła sztuki sprowadzono tu do roli rekwizytów show-biznesu. Ta wystawa jest obelgą dla kultury brazylijskiej” – grzmiał recenzent „The New York Observer”.

Dyrektor Fundacji Guggenheima Thomas Krens wie, co robi. Już trzy lata temu postanowił, że kolejne muzeum jego sieci powstanie w Brazylii. Za wielką wystawę władze Brazylii będą mu dożywotnie wdzięczne. Ta wdzięczność nie skończy się na słowach. Rozkręcenie mody na Brazylię ułatwi też pozyskiwanie sponsorów wśród wielkich firm. Narzekania krytyków w niczym nie zmieniają planów Krensa.

Same bilety przyniosły muzeum około czterech milionów dolarów. 600-stronicowy album z wystawy w cenie 50 dolarów sprzedawał się jak świeże bułeczki. Poszło też prawie 20 tysięcy koszulek z logo wystawy, po 28 dolarów za sztukę.

Złożona do skrzyń wystawa poleciała niebawem do Bilbao. Ta nazwa przed rokiem 1997 nie mówiła ludziom nic. Jak za dotknięciem różdżki postindustrialne, toczące bezrobociem i brakiem perspektyw baskijskie miasto stało się celem światowej turystyki. Połyskujące tytanową łuską, zaprojektowane przez Franka Gehry'ego, Muzeum Guggenheima w Bilbao w roku 1999 i 2000 odwiedziło więcej osób niż jakikolwiek inny obiekt na świecie. Do dziś utrzymuje się w pierwszej piątce.

Sto milionów dolarów na zatykający dech w piersiach gmach dały władze Kraju Basków. Z kolei Thomas Krens dał małemu miastu jednego z największych architektów naszych czasów i zaskakujący pomysł, który wywołał tak zwany efekt Bilbao.

– Gdyby Baskowie sami zamówili gmach u Gehry'ego i go sobie postawili, nie mieliby nawet czym tego muzeum zapłacić. Tymczasem Krens wyjął z nowojorskiego magazynu klasykę XX wieku, te swoje ukochane „Mondrian i Kandinskie”, które w kontekście małego miasta i wielkiego muzeum stały się magnesem. I do Bilbao ruszyły miliony – mówi Rottenberg.

Oprócz pieniędzy na muzeum władze baskijskie wpłaciły 20 milionów dolarów na Fundację Guggenheima, która i tak jest właścicielem muzeum w Bilbao. Baskowie wydali więc łącznie 120 milionów dolarów na obiekt, który do nich w rzeczywistości nie należy, i na który mają obecnie niewielki wpływ. Ale przecież po dwóch latach znów byli na plusie. I to jakim!

Giorgio i motory

Thomas Krens ma 55 lat i dyplom magistra sztuki Uniwersytetu Stanu Nowy Jork w Albany. O jego podejściu do sztuki wiele mówi to, że jest też posiadaczem dyplomu MBA Szkoły Zarządzania Uniwersytetu Yale. Krens uwielbia motocykle i czarne ubrania – płaszcze, garnitury i koszułki. Najchętniej od Armaniego. Anda Rottenberg poznała go osobiście:

– Rozmawiałam o nim kiedyś z Frankiem Gehrym. Mówię: „Frank, on mi wygląda na aroganta”. A Gehry na to: „Ależ skąd, to bardzo nieśmiały człowiek”. Ale oczywiście każdy zrozumiął facet jest w rzeczywistości nieśmiały. Krens jest arogancki. Dodatkowo pomaga mu w tym wysoki wzrost. Na wszystkich może patrzeć z góry. Do sztuki nie bardzo ma wyczucie. To widać po wystawach, których sam jest kuratorem. Jak już się za to bierze, to wychodzi mu fatalnie. Złe wieś dzieła, złe je do siebie dobiera.

Rottenberg przyznaje, że Krens jest za to świetnym menedżerem. Wszyscy, którzy z Krensem rozmawiają, odnoszą podobne wrażenie. Szef wielkiej światowej instytucji kulturalnej mówi językiem marketingowca. Gdy rozmawia z dziennikarzami, woli mówić o biznesie muzealnym niż o sztuce.

„Sensem życia jest ciągle promowanie siebie” – ogłosił jesienią 2000 roku, podczas otwarcia wystawy poświęconej... Giorgio Armaniemu. 400 ubrań rozmieszczonych na spiralnej rampie nowojorskiego gmachu dokumentowało 25 lat pracy dyktatora mody. Wielkie telebimy emitowały bez przerwy hollywoodzkie filmy „ubrane” przez Armaniego. Przede wszystkim „Amerykańskiego żigolo”, w którym Richard Gere gra luksusową męską prostytutkę. Hollywoodu nie zabrakło również na otwarciu wystawy. Gwiazdy przyszły masowo zamanifestować swoje przywiązanie do Armaniego.

Gdy zwinęto już czerwone dywany, przed Guggenheimem ustawiły się tłumy zwykłych zjadaczy chleba. W Nowym Jorku wystawę obejrzało milion osób. Drugie tyle w Bilbao. Giorgio zrewanżował się Krensi dotacją w wysokości 15 milionów dolarów.

Potem była Sztuka Motocykla – The Art of the Motorcycle – obwożona od trzech lat po kolejnych Guggenheimach.

Na otwarciu wystawy Krens, zagorzały motocyklista, mówił: „Motocykl, będąc uosobieniem tak wielu wątków naszej epoki – techniki, pędu, nonkonformizmu, przemiany – jest doskonałym



Gmach Muzeum Guggenheima w Bilbao, autorstwa Franka Gehry'ego, to oprócz katedry Sagrada Família w Barcelonie najlepiej znany budynek Hiszpanii



Artyści krytykowali Franka Lloyd Wrighta za to, że jego architektura przytłacza dzieła sztuki. Wright chciał z kolei, by budynek i sztuka stanowiły jedność. Na zdjęciu: uroczyste otwarcie Muzeum Guggenheima w Nowym Jorku po remoncie. Rok 1992

wehikułem umożliwiającym zrozumienie XX wieku”.

Muzealnicy i część prasy nie kryli oburzenia. Krens ripostował: „Kultura to nie tylko edukacja, to także rozrywka. Odnosimy sukcesy, bo jesteśmy autentyczni w tym, co robimy. Nie jesteśmy na sprzedaż”.

Oficjalnym sponsorem wystawy jest BMW. I choć spośród prezentowanych 130 motocykli tylko sześć to produkty koncernu, na okładce kosztującego 65 dolarów katalogu znalazła się właśnie maszyna BMW. Motocyklem tej firmy jeździ po Nowym Jorku także sam Krens.

McGuggenheim

Na świecie jest 30 tysięcy restauracji McDonald's, 13 tysięcy pizzerii spod znaku Pizza Hut, trzy tysiące sklepów odzieżowych Gap. W Stanach do wielkich sieci należy już niemal wszystko.

– W kapitalizmie sieć doskonale zdaje egzamin. A kultura jest z gospodarką bardzo ściśle zwią-

kulturalne w Ameryce nie otrzymują praktycznie żadnych dotacji ze środków publicznych. Guggenheim skazany był na hojność donatorów i dochody z biletów. Krens zaczął od wynajmowania prestiżowej budowli na potrzeby firm. Bankiety wielkich instytucji finansowych, wesela nowojorskich krezusów, sympozja wśród arcydzieł – kto da więcej?!

W końcu udało się uzbierać kwotę wystarczającą na remont. W roku 1992 nowojorczyki ujrze- li odnowionego ślimaka. Krens nie zrezygnował jednak z dochodów z wynajmu. Podniósł tylko ceny. Słynną budowlę można dziś wynająć za pośrednictwem oficjalnej strony internetowej fundacji. Jednak wynajmowanie pomieszczeń ciasnego muzeum to nie był gwarant stabilnego rozwoju. Krens, raczej menedżer niż muzealnik, zaczął wprowadzać swój plan światowej ekspansji. Po co?

– To rozwijanie konsorcjum według klasycznego amerykańskiego modelu. Im większe, tym większe wpływy, tym jesteśmy

koncertowe to element gry rynkowej. Tam, gdzie rosną, przybywa turystów. Wraz z nimi miejsc pracy. Rozrastają się węzły komunikacyjne. Infrastruktura. W takich ośrodkach chętniej osiedlają się wykształcone i zamożne kadry. Napływają inwestycje. Jak to w ekonomii, nie do końca wiadomo, co jest skutkiem, co przyczyną. Za to każdy widzi efekt Bilbao.

Krens poczuł, że sieć własnych placówek pozwoliłaby w pełni wykorzystać sztukę, która w ogromnych ilościach zalega magazyny. Bezproduktywnie. Wystarczy tylko powiesić ją na ścianach, zrobić szum i ludzie przyjdą. I sztuka z magazynów zacznie zarabiać. Genialne.

Potrzeba tylko nowych powierzchni. Najlepiej na całym świecie, tak, by te same dzieła mogły przynosić dochody, wędrując od muzeum do muzeum.

Baskowie przyszli do Krensa sami. Krens patrzył w tym czasie na Berlin, bardzo modne miasto. Niemcy zajęci odtwarzaniem własnych muzeów Guggenheime zbytnio się nie przejęli. Ale Deutsche Bank udostępnił parter w nowej siedzibie przy Unten den Linden. W roku 1997 powstało Deutsche Guggenheim. Niewielka salka i niezbyt imponujący program, ale duży sukces promocyjny. No, i liczy się, że jest.

Wcześniej Krens otworzył filię w nowojorskim Soho. Też nic specjalnego.

– Szczerze mówiąc, obie te placówki są bardzo słabe. Myślę, że to tylko przyczółki dalszej ekspansji – mówi Śliżińska.

Wielki spektakl

Efekt Bilbao sprawił, że do drzwi Fundacji Guggenheima ustawiła się długa kolejka. 60 miast zapragnęło mieć u siebie taką maszynę do zarabiania pieniędzy.

Jesienią roku 2000 Krens powołał „wielką trójkę”: on i dwie wyrocznie współczesnej architektury – twórca „Bilbao” Frank Gehry i Holender Rem Koolhaas, budowniczy wielu imponujących gmachów w Europie i USA.

Wielka trójka udała się w objazd po świecie, szukając lokalizacji na kolejne Guggenheimy. Najlepszy okazał się... Nowy Jork.

Jeszcze w grudniu roku 2000 burmistrz Giuliani, Krens i Gehry ogłosili, że nowy gmach Guggenheima powstanie na portowym nabrzeżu w dzielnicy Lower East Side, przy dolnej końcówce Manhattanu.

Gmach w formie spletanym tytanowych wstęg ma mieć wysokość 40 pięter, mieścić komercyjny biurowiec (dochody!) i gigantyczne powierzchnie wystawowe. Unosząca się nad wodą bryła ma kosztować 800 milionów dolarów, stworzyć 2,5 tysiąca stałych miejsc pracy i drugie tyle w otoczeniu muzeum. Rocznie odwiedzi je – według szacunków – trzy miliony osób, co da łączne wpływy z biletów, sprzedaży gadżetów i usług w wysokości 280 milionów dolarów.

Równocześnie zaczęto mówić o wielkim muzeum w Rio de Janeiro, mniejszym w Salzburgu i w szczególnie bliskim sercu Krensa Petersburgu.

Jeśli w całym tym natłoku liczb umknęli mej uwadze artyści i sama sztuka, to nie stało się to przypadkowo.

– Światowy trend jest taki, że architektura staje się ważniejsza od samej sztuki. Może dlatego, że jest bliższa *designowi*, który odgrywa dziś kluczową rolę. Może dlatego, że architektura jest pozornie przystępniejsza w odbiorze. Na pewno też w tej epoce widowiska architektura widowiskowa świetnie się odnajduje – mówi Śliżińska. – To fascynujące zjawisko. Parę lat temu każdy pędził do Bilbao i nawet nie pamiętał, co tam w środku obejrzał. Od zeszłego roku furorę robi Muzeum Żydowskie w Berlinie. Architektura Liebeskinda jest wspaniała i tylko ona jest tam ciekawa, bo ekspozycja wewnątrz jest fatalna, nie da się tego ogarnąć ani zrozumieć zamyśłu kuratorów. Natomiast publiczność kupiła pomysł, że architektki są bogami.

Viva Las Vegas!

Spośród kilku najwspanialszych dawnych muzeów świata tylko jedno cierpi na katastrofalny brak gotówki. Oczywiście, chodzi o Ermitaż.

Kolekcje zgromadzone w Peters-

Dziś wielkie muzea czy sale koncertowe to element gry rynkowej. Tam, gdzie rosną, przybywa turystów

burgu musiały śnić się Krensowi po nocach. Gdyby je z tej barbarzyńskiej Rosji wydestać i rozwieść po Guggenheimach... W dodatku Ermitaż ma tę sztukę, którą miliony kochają najbardziej – przełom XIX i XX wieku. Impresjoniści. Postimpresjoniści. Wczesny modernizm.

Pod koniec roku 1999 do Krensa zadzwonił niejaki Sheldon Adelson. Słyszał o tym Bilbao i chciałby coś zaproponować. Jego konsorcjum wybudowało właśnie najdroższy hotel świata i, by zapewnić inwestycji odpowiedni prestiż, przydałoby się coś ekstra. Coś jak muzeum. „Gdzie ten hotel?” – zapytał Krens. „W Nevadzie. W Las Vegas!” – odparł Adelson.

Vegas – niekończący się strumień ludzi żądnych wrażeń i okazji do wydania pieniędzy. Ekstremum amerykańskiego przemysłu rozrywkowego. Piramidy, posągi Sfinksa większe niż w Egipcie. Sztuczne wulkany, sztuczni piraci, repliki całego świata. Adelson nie żartował – bogacącym się na Nasdaqu Amerykanom potrzeba nowych, coraz bardziej wyszukanych rozrywek. Wszyscy chcą być bardziej *sophisticated*. Można na tym zarobić masę pieniędzy. „Co pan na to, panie Krens?”.

Zrobiono szczegółowe badania rynku. Wyszło, że zamiast jednego, lepiej wybudować od razu dwa muzea. Za wejście do każdego skasuje się po 15 dolarów. Szacunki mówiły o pięciu tysiącach osób dziennie. Przez calusięńki rok. Zaprojektowanie przybudówek do gigantycznego, neorenesansowo-eklektycznego-amerykańskiego The Venetian zlecono Remowi Koolhaasowi.

Tymczasem Krens załatwił kontrakt życia, czyli długoletnią umowę z petersburskim Ermitażem. Fundacja Guggenheima zobowiązała się w ciągu kilku lat wyremontować i zaadaptować na potrzeby ekspozycyjne gmach Sztaby Gene-

ralnego, zaś Ermitaż miał udostępnić swe zbiory muzeom sieci. Zwłaszcza jednemu. The Guggenheim Hermitage w Las Vegas.

Koolhaas zaprojektował dwa hipernowoczesne budynki. Jeden pomieści arcydzieła z Petersburga, drugi – wielkie wystawy wędrujące po sieci Guggenheimów.

Otwarcie nastąpiło w bardzo nieszcześliwym momencie, zaledwie trzy tygodnie po 11 września. W Guggenheim Las Vegas umieszczono wystawę „The Art of Motorcycle” dostosowaną do nowego budynku przez samego Franka Gehry'ego. Po drugiej stronie hallu The Venetian, w muzeum Guggenheim Hermitage, zawisło 45 arcydzieł Cézanne'a, Chagalla, Gauguina, Kandinskiego, Matisse'a, Moneta, Picassa, Renoira, van Gogha. Łączna wartość ekspozycji: dwa miliardy dolarów. To o jedną czwartą więcej, niż wart jest cały The Venetian.

W oficjalnej informacji prasowej z otwarcia muzeów można przeczytać między innymi:

„W geście dobrej woli wobec estetyki Las Vegas Rem Koolhaas pokrył sufit jednej z hal muzeum repliką sceny ze sklepienia Kaplicy Sykstyńskiej”.

Logika Spice Girls

W lutym bieżącego roku lewicowy tygodnik nowojorski „The Village Voice” ogłosił manifest przeciw Krensowi.

„Poprzez przekształcenie muzeum w światową sieć rozrywkową, zwiększenie »oglądalności«, wystawianie kompromitujących widowisk i napychanie kieszeni fundacji Krens planował stworzenie z Guggenheima kolejnej globalnej marki. Tworzenie błyszczących pałaców przeznaczonych do jednorazowej konsumpcji przez jednodniowych turystów to mylenie muzeum z Broadwayem. Tworzenie me-

dialnego zgiełku wokół bezwarunkowości szmiry to logika Spice Girls. Niestety, ta logika rządzi też Guggenheime” – czytamy w artykule Jerry'ego Saltza.

Anda Rottenberg od kilkunastu lat przyjaźni się z Frankiem Gehrym. Architekt obiecał jej zaprojektowanie muzeum sztuki współczesnej w Warszawie. Nie będzie to kolejny Guggenheim.

– Muzea Guggenheima mają wśród fachowców fatalną opinię. Same budynki są wspaniałe, ale nikt nie wie, do czego oni dążą. Na początku chciałam zaproponować Krensowi budowę Guggenheima w Warszawie. Ale jak się zorientowałam, czym to grozi, zrezygnowałam. Wydalibyśmy wielkie pieniądze na coś, co nie byłoby naszą własnością. Ja chciałabym stworzyć wielkie muzeum pokazujące polską sztukę na tle sztuki światowej. Tymczasem Krens uprawia kulturowy imperializm.

Po 11 września Fundacja Guggenheima wpadła w finanso-

we tarapaty. W Las Vegas wyschły tłumy. Nowy Jork zawiesił budowę nowego muzeum. Brazylia czeka na lepsze czasy. Nie dojdzie do skutku budowa muzeum w Salzburgu.

Niezależnie od tego, czy ekspansja Guggenheima powiedzie się, czy nie, światowe muzea i tak się zmienia.

– Do muzeów na zawsze wejdzie moda, *design*, fotografia. Szumne widowiska. Nas interesują już inne rzeczy niż nawet 10 lat temu. Dobry *design* to nie tandeta. Ja na przykład bardzo lubię Armaniego – mówi Śliżińska. – Taka jest współczesność. To jest bardzo interesujące.

A wielkich sieci i tak nie unikniemy. Moskiewska Szkoła Baletu Teatru Bolszoi szybko goni Guggenheima. Ma już trzy „licencjonowane” placówki: w Melbourne, Tokio i Rio de Janeiro.

MARCEL ANDINO VELEZ

Od końca XIX wieku nie powstało na świecie tyle muzeów i wielkich galerii, ile w latach 90.

zana, zatem i tu rozwój sieci wydaje się czymś naturalnym – mówi Milada Śliżińska z Centrum Sztuki Współczesnej w Warszawie, jedna z czołowych polskich kuratorów sztuki. – Sieci dużo łatwiej wywierać nacisk na władze lokalne. Znana marka dużo łatwiej oddziałuje na opinię publiczną. Mniej kosztuje organizacja i promocja poszczególnych wystaw, można z nimi trafić do szerszej grupy odbiorców. Sieci muzeów czy galerii mają mniej obciążeń związanych z ubezpieczeniem dzieł i transportem. Duży może więcej.

W roku 1989, gdy rządy w nowojorskim Guggenheime przejął Thomas Krens, muzeum odwiedzało rocznie 350 tysięcy osób. Gmach wymagał natychmiastowego remontu. Prywatne instytucje

lepsi. Nie chodzi o sztukę, tylko o poczucie potęgi – zwraca uwagę Anda Rottenberg.

Nastąpiła globalizacja. Krens mówi, że przetrwają tylko globalne instytucje i firmy. Równocześnie *prosperity* lat 90. udowodniła, że masowi konsumenci chcą wydawać pieniądze na sztukę czy – szerszej – na kontakt ze sztuką.

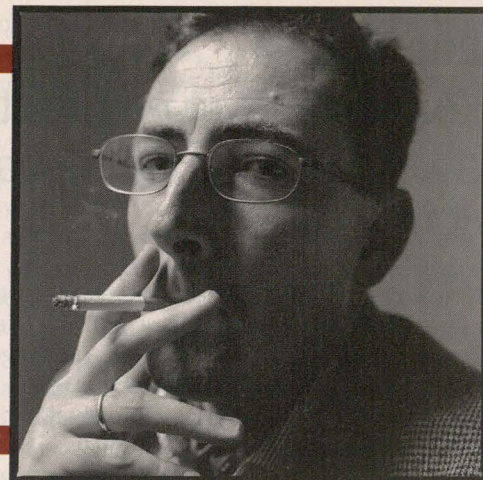
– W bogatych społeczeństwach chodzenie do muzeów to normalna forma spędzania wolnego czasu. Ludzie mają pieniądze i czas, zaś muzea doskonałą się w przyciąganiu i tego czasu, i tych pieniędzy – mówi Śliżińska.

Od końca XIX wieku nie powstało na świecie tyle muzeów i wielkich galerii, ile w latach 90. Wcześniej budowle te powstawały głównie z pobudek nacjonalistycznych. Dziś wielkie muzea czy sale

ZAMÓWIENIE	KOSZT WYSYŁKI POKRYWA WYDAWCA	ZAMÓWIENIE
„Nie wszystko o moim życiu“	ilość	cena zł
„Statki, które mijają się nocą“		15
„Dorosnąć“		10
		10

Wydawnictwo AKAPIT PRESS, ul. Beczkowa 30/3, 93-487 Łódź
tel. (42) 6809370; www.akapit-press.com.pl • info@akapit-press.com.pl

O użyteczności kolei



Kocham koleje. Ten stalowy mikroświat pełen szyn, dworców i konduktorów. I rozkładu jazdy, który rządzi tym wszystkim. Kolej – pierwszy w naszej cywilizacji znak przyspieszenia rozwoju, od którego naszym pradiadom zakreśliło się w głowach.

Kocham kolej jako zjawisko ekonomiczne, społeczne i towarzyskie. A szczególnie uczuciem darzę ekspresy na linii Kraków – Warszawa. Pamiętam ten dzień, gdy wsiadłem do takiego ekspresu, wybierając się do Warszawy – jak się okazało – po nową pracę, nowe życie. Działo się to u początków III Rzeczypospolitej, gdy wszystko wydawało się takie niezwykłe, a całym krajem wstrząsał dreszcz Wielkiej Przemiany połączony z ogólną troską o zdrowie Premiera Mazowieckiego.

Ponieważ od tej pory byłem częstym pasażerem ekspresów tej linii, nietrudno było dostrzec, że kolej włączyła się w nurt wydarzeń. Ni z tego, ni z owego ekspresy zaczęły jeździć punktualnie, choć w samym PKP nic się nie zmieniło i było brudno jak za czasów upadłego reżimu. Tłok panował niewiarygodny, zwłaszcza w piątki, gdy część rządu wracała do Krakowa. Często, stojąc na jednej nodze lub czekając na stolik w „Warsie”, można było przysłuchać się podejmowaniu strategicznych dla kraju decyzji, być świadkiem historii dziejącej się między jednym a drugim piwem, nominacji ambasadorskich dokonywanych w przejściu do toalety.

A potem historia przeniosła się do innych ekspresów (na przykład z Gdańska), zrobiło się luźniej,

wagony stały się bardziej czyste i pojawiła się miła obsługa z „bezpłatnym poczęstunkiem na koszt PKP”. Kolejowy salon warszawsko-krakowski funkcjonował coraz lepiej, mimo że brać konduktorska postanowiła włączyć się w przemianę wolnorynkową i proponowała na własną rękę kupno biletu za pół ceny. Śmiała akcja policji i prokuratury położyła temu kres, udowadniając, że sprawy w kraju idą generalnie w słusznym kierunku. Pojawili się nowi pasażerowie, z rodzaju, jakiego jeszcze nie oglądali stali bywalcy: hałaśliwi biznesmeni w białych skarpetkach – aniołowie Nowego.

Po pewnym czasie i oni zniknęli, a ich miejsce zajęli młodzi ludzie z podręcznymi komputerami i telefonami komórkowymi. W przedziałach unosił się duch wielkich korporacji, język światowych przepływów finansowych i zapach dobrych wód po goleniu. Nikt już nie rozmawiał o Ojczyźnie ratowaniu i nowym tomie poezji Czesława Miłosza. Ewidencje kapitalizm krzepł, wychodząc z fazy pierwotnej akumulacji kapitału. Czyli tak, jak miało być.

Ale nie wiem dokładnie kiedy, jakoś pod koniec minionego wieku, coś zaczęło się dziać nie tak. Najpierw drobne opóźnienia, potem narastający nieład i niepach w wagonach (i to pierwszej klasy!), coraz bardziej zgorzkniali konduktorzy. Właśnie wtedy spotkałem kolegę, który świeżo po podróży służbowej w Niemczech i Francji uraczył mnie relacją o tym, jak wyglądają prawdziwe europejskie ekspresy. Z tej opowieści wynikało, żeśmy Białoruś

i Azja w kolejach, i że ten dystans zastraszająco się pogłębia.

Trudno było nie przyznać mu racji. Zaczęliśmy się przyzwyczajać do opóźnień, do incydentalnych braków wagonów restauracyjnych. Z okien przedziałów zniknęły firanki z gustownymi nadrukami „PKP”, ale za to panie roznoszące „bezpłatny poczęstunek”, jakby chcąc zrekomensować widoczne niedostatki firmy, nosiły coraz krótsze spódniczki. Na koniec drastycznie zmalała liczba młodych ludzi w garniturach, z podręcznym sprzętem elektronicznym i dobrymi wodami po goleniu. Powiało beznadzieją, tak dobrze mi znaną z okresu młodości.

Teraz, gdy wsiadam rano do „mojego” ekspresu, samotnie zaszyty w pustym przedziale rzewnie wspominam dawny blizny i optymizm ekspresów lat 90. I zastanawiam się – co takiego wydarzyło się w Polsce, że – jak mówił niezapomniany premier Rosji Wiktor Czernomyrdin – „miało być lepiej, a wyszło jak zwykle...”.

I dlatego, proszę Państwa, ja pociągami linii Warszawa – Kraków będę oceniał programy gospodarcze polityków, tryumfy polskich negocjatorów z Unią Europejską, prawdziwość rzecznika rządu Michała Tobera. A kolej będę nadal kochał miłością niezmienną, bez względu na stan, w jakim się znajduje. Mam ku temu powody, rzec by można, najzupełniej rodzinne. A było to tak.

Mój pradziadek ze strony mamy Ludwik Korzeniowski miał interes perfumeryjny na ulicy Floriańskiej w Krakowie. Popołudniami wyjmował z kasy dzienny utarg, nakazywał subiektowi sta-

ranne zamknięcie sklepu i udawał się następnie na dworzec Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. Po zaledwie parogodzinnej podróży (wieloletnia monarchia habsburska była komunikacyjnie o niebo sprawniejsza niż jej narodowe następczynie) wysiadał na banhofie w Wiedniu. Dalej wypadki toczyły się utartym torem: spacer po Kertner Strasse, opera, kolacja w wesołym towarzystwie, powrót nocnym pociągiem do Krakowa. Akurat na porę otwierania sklepu. Powtarzające się co i rusz eskapady dziadka były przedmiotem zgorznienia zacnych krakowskich kupców, a moja prababcia – obiektem powszechnego współczucia.

Utracjuszowski styl życia Ludwika Korzeniowskiego kontrastował z mrówczą zapobiegliwością i oszczędnością jego kolegów korzystających z *prosperity* spokojnych lat początku XX wieku. A tu nagle wojna, panie, światowa, i takie zamieszanie się porobiło, że Polska powstała, ale oszczędności szlag trafił. I okazało się, że pradiadunio słusznie czynił, przedkładając operę wiedeńską nad oglądanie kurtyny Siemiradzkiego w Teatrze Miejskim w Krakowie, i przedkładając szastanie nad ciulanie. Co było możliwe dzięki sprawnej Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej.

Opowieść tę dedykuję tym, którzy zapoznali się już z planami podatkowymi Ministerstwa Finansów (na razie nieoficjalnymi) na rok następny. Na koniec chciałbym nadmienić, że wobec złego stanu kolejnictwa zostają jeszcze linie lotnicze.

BARTŁOMIEJ SIENKIEWICZ

REBUS ADOPCYJNY



BARAN - i - KISIEL - OW - FIRMA - REBUSOWA - W - KRAKOWIE

1 K	2 PAT	3 S	4 LA	5 PI	6 K
ATY	NIA	ES	ENKA		
7 PI	8 S	9 TAR	10 G	11 KU	
	IK		MS	NIA	

Naciąganie kultury

SALON Nr5 WYTRZEŻWIEŃ

POD REDAKCJĄ TADEUSZA NYCZKA

ROZMAWIA Z MINISTREM KULTURY ANDRZEJEM CELIŃSKIM



Redaktor naczelny salonu Nyczek wita Ministra, kolegów, koledzy witają Ministra, siebie wzajemnie, ogólna atmosfera miłego podniecenia.

Minister lekko spięty, pozostali także. Red. nac. ma pomysł, żeby to Minister o coś zapytał, ale rezygnuje, bo niby o co Gość ma zapytać: co słychać? Więc bierze oddech i zadaje pierwsze pytanie: czy mianowicie, zdaniem Gościa, nadal znajdujemy się w tak zwanym okresie przejściowym, który wiele usprawiedliwia. Bo z przedstawionego w kwietniu projektu zmian organizacji i finansowania kultury „Szansa dla kultury”, pierwszego większego dokumentu sporządzonego przez nowe władze ministerstwa, trochę wynika, jakoby luksus się skończył i parasole ochronne trzeba związać.



Celiński: Nie, nie, wszystko jest nadal absolutnie przejściowe. Funkcjonujemy w starych strukturach zarówno finansowych, jak i decyzyjnych. Taki drobiazg. Kiedy przyszedłem do ministerstwa, okazało się, że wszelkie projekty finansowane z budżetu państwa przez Ministerstwo Kultury są dysponowane

Minister bezpardonowo rozprawia się z roszczeniami osobistości świata kultury, nie lubi gadać o niczym, coraz częściej wierzy, że dla Polaków można zrobić wiele, ale z Polakami – nic

w sposób niejawni. Czyli społeczeństwo nie ma podstawowych informacji o finansowaniu kultury. To pokazuje skalę nonsensu. Więcej o przeszłości nie będzie.

Parę krótkich wyjaśnień. Po pierwsze, za stałem budżet opracowany rok temu. I został

jeszcze ścięty. Czyli jest, jak jest. Żeby nie było niejasności: wszelkie zarzuty, które formułowano dotąd wobec mnie, przyjmuję. Ale też odwieram, i to bardzo ostro. I bez żadnego poczucia humoru. Dla mnie świat kultury polskiej, te wielkie nazwiska... oni nie zauważyli, co się stało w tym kraju, że w przededniu szansy europejskiej możemy ją stracić przez głupie załamanie finansów publicznych... To dla mnie jest porażające. Po prostu nie spodziewałem się, że ludzie, którzy są małą, cienką warstwą w Polsce, w dodatku mają intelektualne narzędzia do rozpoznawania sytuacji, przy tym nie są skażeni tak mocno władzą czy polityką jak inni – czyli ja na przykład – zachowują się w tej sprawie jak rozkapryszeni gówniarze.

Zapada chwila ciszy w obliczu dotkliwego doświadczenia Ministra. Red. nac. odważa się cicho spytać o doprecyzowanie zagadnienia.

Przyszło do mnie 80, może stu ludzi w ciągu tych czterech czy pięciu miesięcy, łącznie z największymi nazwiskami. I w dwóch czy trzech rozmowach chodziło o coś innego niż forsa dla siebie... Nie chce mi się dalej o tym mówić. Ale jeżeli przychodzi ktoś znany ze swojego konformizmu, któremu z całą pewnością bliżej do prawicy niż lewicy,

i nie zauważył, co się stało w Polsce w ostatnich dwóch latach, a ma kolejne pretensje, to znaczy, że żyjemy w świecie absurdu. OK. Dość o tym.

Red. Bolecki, korzystając z ministerialnego oddechu na rozładowanie zdenerwowania pomieszanego z rozżaleniem, pyta, czy dobrze zrozumiał, że tu budżet się wali, a tam jakby nigdy nic różni panowie podnoszą palce do góry w sprawie forsy.



Celiński: Dokładnie jakby to były lata 60., 70., 80. Mówię jasno i niech nie będzie tu żadnych fałszywych tonów. Jeszcze jedno. Przepraszam, ale nie mam żadnych kompleksów wobec waszych środowisk.

W latach 70. ja sobie sam stworzyłem środowisko. Nie miałem zamiaru być artystą ani niczym takim, ale aspirowałem do rozmaitych znajomości, lubiłem mieć wokół siebie ludzi, którzy mają sens. Z jednej strony było tam coś z polityki, na przykład, żeby się środowisko nie rozleciało, a z drugiej – bardzo egoistyczny pomysł otoczenia się ludźmi, na których tylko można, bo ja wiem... [lekki śmiech] popłynąć. Zresztą był między nami nieprawdopodobny dystans. Ja miałem 26 lat, 27 lat, a tam byli ludzie absolutnie pierwsi, absolutnie pierwsi, pod każdym względem. Na przykład Andrzej Kijowski, żeby dalej już nie mówić. Jak robiłem to spotkanie w Muzeum Narodowym [głośna debata z 6 kwietnia nad projektem „Szansa dla kultury” – red.] najpierw chciałem zrobić żart, a potem się przestraszyłem, że nikt nie zrozumie. Żart, ale poważny. Chciałem mianowicie, żeby jako pierwszy wystąpił premier. Tyle się przecież gadało, że w sejmowym exposé Millera nic nie było o kulturze. To był mój błąd, po prostu nie dałem do exposé swojego wkładu. Ale wydawało mi się to kompletnie bez znaczenia. Przecież to nadal czysta retoryka. Jak się kiedyś za Peerelu mówiło o sprawach zagranicznych, to zawsze trzeba było zacząć od Związku Radzieckiego, potem coś o demokracjach ludowych itd. itd. Mnie do głowy nie przyszło, że to będzie tak istotne dla tak zwanego świata kultury. Te dwie, trzy czy sześć linijek. Jestem synem ekonomistki i inżyniera i mam wrodzoną niechęć do gadania o niczym. Matka była siostrą Jana Józefa Lipskiego [szmerek porozumiewawczy wśród redaktorstwa, bo nieżyjący już J. J. Lipski to słynna postać powojennego ruchu intelektualnego], wyszła za inżyniera z bardzo biednej chłopskiej rodziny. To był pełen mezalians. Tymczasem inżynier był bardzo sprawny intelektualnie, zorganizowany finansowo. Odziedziczyłem po nich z jednej strony absolutny pragmatyzm, z drugiej, po Janie Józefie, polski romantyzm patriotyczny. Więc nie mam

kompleksów tego środowiska. Te trzy-cztery miesiące utwierdziły mnie tylko, że słusznie ich nie mam. Coraz bardziej wierzę w to straszne zdanie Piłsudskiego, że dla Polaków można zrobić wiele, ale z Polakami nic. Od takich jak ja oczekuje się, że położą na stół i odejdą. A ja nie chcę rozdawać pieniędzy.

Miałem prosty projekt na Ministerstwo: jeden filar to budżet, czyli wszystkie naturalne zobowiązania, muzea, zabytki, biblioteki itd. Drugi filar – wyłączone finansowanie konkret-

Przyszło do mnie stu ludzi w pięć miesięcy, łącznie z największymi nazwiskami.

I w dwóch czy trzech rozmowach chodziło o coś innego niż forsa dla siebie

nej aktywności. Żadnych etatów, żadnych instytucji. Chciałem, żeby tych pieniędzy w ogóle nie było w Ministerstwie. No, ale to okazała się utopia, nikt by tego nie przyjął. Więc będzie hybryda [w głosie Ministra słychać nutę jawnego zawodu]. Kiedy ogłosiłem, że chciałbym powołać zespoły specjalistów do dysponowania pieniędzmi na projekty, w poważnej gazecie zadrwiono, że wymyśliłem sobie „radę mędrców”. Przepraszam, ale żeby śmiać się z mędrców, trzeba być idiotą po prostu. Polskim idiotą.

Red. Zielińska zauważa, że różnych takich i podobnych rad bywało onegdaj tyle, że a nuż nie są to wątpliwości bezzasadne...



Celiński: Nie chciałbym mówić o nazwiskach, ale na głowie stanę, żeby szefem takiej rady, jeżeli w ogóle powstanie, był Kapuściński. Szukam ludzi, którzy nie będą mieli

własnego interesu, by w tym być. No, i poważne nazwisko, którego się łatwo nie traci. Oni mieliby ustalać reguły gry. Natomiast sposoby finansowania byłyby różne w zależności od konkretnych sektorów. Taki film, powiedzmy. Na zjeździe Stowarzyszenia Filmowców, kilka tygodni temu, powiedziałem im, że film jest najbardziej komercyjną ze sztuk i żeby o tym pamiętali. I że będziemy finansować fabułę, ale na samym końcu. Z finansowego punktu widzenia mimo wszystko jest różnica między rzeźbą plenerową a filmem fabularnym. Ale z debiutami jest, oczywiście, inaczej. Debiuty muszą być finansowane. Będę forso-

wał pewne rozwiązanie. Zobaczymy, co wyjdzie, bo tak naprawdę Sejm będzie decydował. Choć nie ukrywam, że z trójkąta: forsa – partie – selekcja projektów, chciałbym partie jak najdalej odsunąć od decydowania. A one będą chciały jak najbliżej, to oczywiste. Ale wracając do filmu. Wyobrażam to sobie tak, że znaję trzech ludzi... [coś sobie nagle przypominając i ton mu się zjeżdża]. O tym kiedyś gdzieś tam powiedziałem i też się śmiali. Ale jeżeli ktoś myśli, że może mnie załamać, wywierając jakąś presję, to się bardzo myli. Bo największą moją siłą jest to, że w każdej chwili mogę odejść. I żadna presja nie ma sensu. Ja to zauważyłem w kontaktach z ubecją. Najbardziej niebezpiecznym człowiekiem dla opozycji byłem wtedy, kiedy oni byli grzeczni. Przy przesłuchaniach zawsze byłem na granicy załamania, że tak powiem. Ale na szczęście zawsze przekraczałem pewną granicę i natychmiast kończyła się rozmowa, jakakolwiek szansa uzyskania czegoś ode mnie. Więc ja się tylko cieszę, jak jest atak, bo wtedy jestem pewny, że OK, to pograamy sobie. Wracając do filmu...



Red. nac. wtrąca uwagę, by Minister, w dobrze pojętym interesie własnym, nie zdradzał tajemnic warsztatu, bo może się podłożyć w wojnie ze środowiskami, które łacniej znajdą sposób na sprowokowanie go do samolikwidacji. Ale Minister, czujny jak grizzly, nie dał się red. nac. sprowokować.



Celiński: To też nie takie proste... Więc z tym filmem. Chcę znaleźć trzech ludzi. Kobieta, mężczyzna, stary, młody... no, raczej młodzi, raczej 30-latkowie, o bardzo różnych doświad-

zeniach. Jeden przewodzi i właściwie decyduje. Przykładowo ktoś taki jak Konwicki z lat 50. i 60. Bo jak się tak naprawdę przyjrzeć historii filmu polskiego, największe nazwisko to Konwicki. Opiekun, akuszer, ten, z którego rąk wychodziły filmy. Prawdziwy mistrz, ojciec polskiego filmu.



Red. Kornatowska, której teren jest obrabiany, nie powstrzymuje się z oddaniem w tej materii sprawiedliwości Jerzemu Bossakowi.

Celiński [zgadza się bez bicia]: OK. Nie chodzi zresztą o nazwiska. Otóż ja sobie wyobrażam, że dam tym trzem ludziom po dwa budżety, jeden mały, drugi duży. Mały na utrzymanie siebie – jeżdżenie po kraju i po świecie. Każdy musi zaliczyć dwa festiwale klasy A i dwa klasy B w ciągu roku. Musi jeździć po Polsce,



Shirin Neshat to jedna z najbardziej twórczych i prowokujących artystek współczesnych. W rodzinnym Iranie ignorowana, nie jest typem agitatora politycznego

Kobiety Allaha

Nie jest osobą mile widzianą w rodzinnym kraju. Aby ominąć pułapki cenzury i inne trudności, kręci filmy w krajobrazach przypominających irańskie – w Turcji, Maroku.

Urodziła się 45 lat temu w Qazvin w Iranie, ale po ukończeniu szkoły średniej wyjechała do Stanów Zjednoczonych. Studiowała sztukę na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley. Od zwycięstwa rewolucji islamskiej w ojczyźnie pojawiła się dopiero po 12 latach nieobecności, w roku 1990. Wizytę tę określiła później jako jedno z najbardziej wstrząsających doświadczeń w swoim życiu. Przede wszystkim z powodu zmiany sytuacji kobiet. Samodzielne, wykształcone, biorące czynny udział w życiu społecznym Iranki odizolowano i zamknięto w strefie wyznaczonej im przez religię. Wizyta ta stała się dla Neshat inspiracją, a sytuacja kobiet we współczesnym Iranie – tematem jej prac.

Jedną z pierwszych prac inspirowanych podróżą do Iranu był cykl fotografii „Unveiling” – „Odsłonięcie” ze zdjęciami kobiet w czadorach. Na tych częściach ciała, na których odsłonięcie zezwala islam – jak stopy i dłonie – pojawiają się napisy. Są to wiersze feministek irańskich, ale także autorów proislamskich. Kolejny cykl pt. „Kobiety Allaha” przedstawiał kobiety walczące – w czadorach, z karabinami.

Dziś Neshat poszukuje bardziej uniwersalnego przesłania i medium. Nie chce być etnograficznym kuriozum. Wybiera instalacje wideo i taśmę filmową. Inspiracją w sposobie obrazowania były początkowo czarno-białe filmy Orsona Wellesa i Alfreda Hitchcocka, a ostatnio – niezależne kino irańskie, na przykład Abbasa Kiarostamiego. Muzyka pełni w jej filmach kluczową rolę. Artystka współpracuje z Philipem Glassem oraz z irańską śpiewaczką i kompozytorką Sussan Deyhim. Tę ostatnią widzimy

w filmie „Turbulent” nagrodzonym przed trzema laty na Biennale Weneckim. Na dwóch ekranach widz obserwuje swoisty pojedynek między kobietą śpiewającą w pustej sali teatru a otoczonymi widzami mężczyzn. Kobieta śpiewa awangardową kompozycję, mężczyzna – pieśń miłosną XIII-wiecznego mistyka Rumiego. W tradycji islamu kobieta nie może wykonywać ani nagrywać muzyki, gdyż to przeżycie mistyczne i religijne zarezerwowane jest dla mężczyzn.

W Polsce zobaczymy też dwie z najnowszych prac Neshat – „Pulse” i „Possessed”. Tę ostatnią pismo „Art Forum” uznało za jedną z najciekawszych prac sezonu 2001.

KATARZYNA MACKIEWICZ

Prace Shirin Neshat można oglądać od 31 maja do 31 lipca 2002 r. w Centrum Sztuki Współczesnej w warszawskim Zamku Ujazdowskim.

FOTOGRAFIE: AUTOSTYLIA SHIRIN NESHAT; UDOŚWIADKO CENTRUM SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ

Baggio, czyli Boski Kucyk

To nie Garibaldi zjednoczył Włochy, ale futbol i telewizja.

A największą gwiazdą futbolu i telewizji jest we Włoszech Roberto Baggio

Włosi też pojechali na mistrzostwa świata. Ale nie wszyscy i w tym całe nieszczęście. Trener Trapattoni nie wziął ze sobą świętej ikony Roberta Baggio. Od Sycylii po Triest połały się łyzy rzesiste. Na murach rzymskiej siedziby związku futbolowego do dziś widnieją graffiti: „Trap – ty morderco! Zabiłeś nasze marzenia!”. Kibice złorzeczą, łyzy ocierają gospodynie domowe, krwawe rany liże rynek reklam. Futbolista Baggio dziewięć lat temu otrzymał Złotą Piłkę, czyli uznano go za najlepszego piłkarza świata. Od tego czasu znosi reklamodawcom złote jajka i jest bohaterem włoskiej mitologii. Pisana od tej pory saga „Cudowne przypadki Boskiego Kucyka” (Baggio chesze się w koński ogonek) liczy już tysiące wątków i epizodów. Dopisywane są na bieżąco – jak opera mydlana.

Socjologicznego fenomenu Baggio nie sposób zrozumieć, nie wiedząc, czym dla Włochów jest *calcio* – kopanie piłki. Oriana Fallaci w historycznej filipice „Wściekłość i duma” wspomina rodakom, że narodową flagą są w stanie wymachiwać tylko na stadionach. To prawda. Ale przecież nie może być inaczej. Państwo włoskie to wynalazek świeżej daty. Powstawało wtedy, kiedy nasi powstańcy styczniowi jechali kibitkami na Sybir. Moi włoscy znajomi na pytanie, kto zjednoczył Włochy, odpowiadają bez namysłu: „Garibaldi i Wiktor Emmanuel”, ale po chwili dodają: „Futbol i telewizja”. Te dwie największe we Włoszech potęgi wyniosły Silvia Berlusconi na fotel premiera. W roku 1993 założył partię Forza Italia. Do tej pory był to okrzyk bojowy włoskich kibiców: „Naprzód, Italio!”. Odezwę do Włochów Berlusconi zaczął: „Postanowiłem wyjść na boisko”. Zwrócił się więc do najszerzego włoskiego elektoratu: fanów futbolu. Rok później był już premierem.

We Włoszech futbol nobilituje. Kopać piłkę nie wstydził się arystokrata Gianluca Vialli, że swoimi futbolowymi sympatiami obnoszą się Luciano Pavarotti i Adriano Celentano, miliony włoskich rodziców posyłają swoje dzieci do szkółek piłkarskich z nadzieją, że a nuż znajdą się w elicie elit – *squadra azzurra*.

Dlatego Robi Baggio, strzelec wyborowy włoskiej reprezentacji, musiał zostać bohaterem narodowym, jego życie – mitem, a *image* – jednym z najdroższych towarów na rynku reklamowym. W dodatku Baggio – według pań (nie wyłączając mojej żony) „chłopiec o znie-



Kibice protestują przeciwko decyzji o niewłączeniu Roberta Baggio do reprezentacji Włoch na mundial 2002

walającym wejrzeniu, zielonych kocich oczach i zagadkowym uśmiechu Buddy” – jak rzadko kto nadaje się na okładki kolorowych pism i reklamowe *billboardy*. Spogląda stamtąd od lat: Baggio w garniturze Armaniego, Baggio w samej bieleżnie, no i przede wszystkim Baggio strzelający nieprawdopodobne bramki.

Paradoksalnie, stał się bohaterem dzięki bramce, której nie strzelił. W roku 1994 w finale mistrzostw świata fatalnie chybił karnego i Puchar Rimeta pojechał do Brazylii. Włosi kochają melodramat, więc telewizja pokazywała epizod tysiące razy. Wreszcie w zeszłym roku uległ nieuchronnej mitologizacji. Pojawiła się reklama, w której użyto tej samej sceny, ale piłka łąduje w siatce i to Włosi są mistrzami świata.

Jednak i samo życie napisało kilka rozdziałów sagi o Boskim Kucyku. Był jednym z dziewięciorga dzieci, które urodziły się państwu Baggio w zasnym miasteczku Caldagno koło Vicenzy. Filigranowemu i mikremu chłopcu (173 centymetry) Pan Bóg wynagrodził nikczemną posturą urodą, a przede wszystkim granicznym cudem opanowaniem piłki i wyczuciem równowagi, które zdaje się przeczyć prawom grawitacji. Każda włoska matka marzy o takim zięciu. Ożenił się ze swoją pierw-

szą sympatią Andreiną z Caldagno, nigdy nie był bohaterem obyczajowego skandalu. Co po niedziawkę odwiedza teściów i rodziców. Napili się chętnie w domu piwa z bratem Eddy, ale nie może, bo mama tego nie lubi. W kolorowych pismach co rusz pojawiają się zdjęcia Robiego z żoną i dwójkiem dzieci. W tygodniku „Familia Christiana” nie ma ich tylko dlatego, że od dziewięciu lat Baggio jest buddystą.

Jest tworem zarówno medialnym, jak i wirtualnym. Internetowe strony włoskich pism kobiecych proponują: „Wpisz tu datę swego urodzenia, a zobaczysz, czy według biorytmów nadajesz się na żonę Baggio”. W komputerowych grach symulujących najbliższe mistrzostwa świata duet Vieri – Del Piero wspiera i będzie nadal wspierał nieco cofnięty Roberto Baggio. Jeśli nie byłoby Robiego, nikt tych gier by nie kupił.

Włosi po prostu nie przyjmują do wiadomości, że 35-letniego Baggio nie będzie w Japonii. Dla nich to koniec naszego świata. Uciekają więc w wirtualny. Tam Baggio nadal ośmiesza najlepszych obrońców świata i strzela wszystkie karne.

PIOTR KOWALCZYK

FOT. EPA / FORUM

Półkole trybun płonie niczym aureola. Wnet okrzyk stadionu: gola, gola, gola!

Gdyby przy okazji rozpoczynających się w ten weekend mistrzostw świata w piłce nożnej urządzono mistrzostwa świata w poezji futbolowej, wskrzeszając tym samym po półwieczu zapomnianą ideę olimpiad artystycznych, polscy poeci zakwalifikowaliby się do tych zawodów z nie mniejszą gracją niż podopieczni trenera Engela. Jesteśmy do takich rozgrywek świetnie przygotowani i dysponujemy wyjątkowo szeroką i mocną kadrą. Na poetyckim mundialu wyłoniona przez „Przekrój” złota jedenastka z pewnością zdobyłaby miejsce na podium. Oderwijmy się więc na chwilę od srebrnych ekranów i – nie przestając kibicować polskim piłkarzom – pomarzymy...

W bramce – Kazimierz Wierzyński ze starej, dobrej przedwojennej szkoły. Jedyne w tym gronie, który zakosztował smaku olimpijskiego złota (w roku 1928 w Amsterdamie). Kibice śpiewają o nim: „Wierzyński, Wierzyński Kazimierz, nie rusz Kazika, bo zginiesz”.

Na lewym skrzydle obrony – młody i utalentowany technik Marcin Hamkała. Szlifował formę, obserwując wyczyny Bońka, Smolarka i Łaty.

W środku obrony – grający twardo i skutecznie, niekiedy na pograniczu faula, Piotr Bratkowski oraz Marian Grześczak, który wykonuje też rzuty karne. Ta para gromi napastników nie mniej skutecznie niż Hajto i Wałdoch.

Prawy obrońca – Tadeusz Pióro. Znany czytelnikom „Przekroju” smakosz obiecuje, że w dniu wielkiego finału Polska upiecze przeciwników na wolnym ogniu i zje ich z rogami.

Lewy pomocnik – Tadeusz Peiper. Legendarny zawodnik doczekał się wielu naśladowców, ale żaden z nich nie potrafił skopiować jego dalekich, wirtuozerskich podań.

W środku pomocy – kapitan drużyny Stanisław Barańczak. Profesor. Dzieli i rządzi. Asekuruje go niezwykle doświadczony Bohdan Zadura, którego niekonwencjonalne zagrywki śledzi z zapartym tchem najmłodsze pokolenie zawodników.

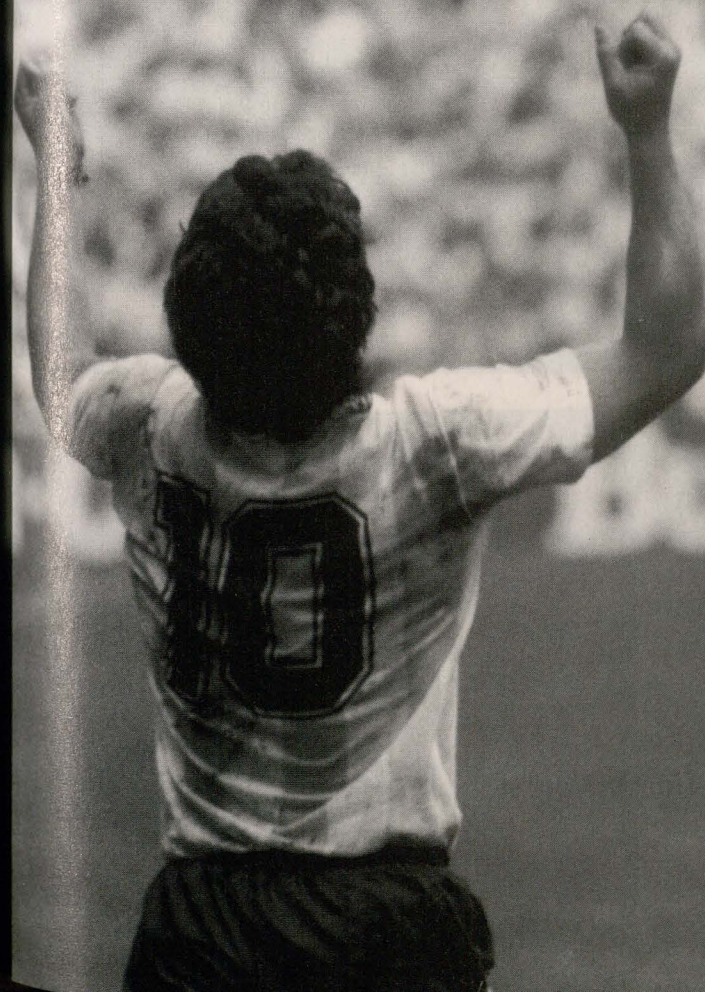
Prawy pomocnik – rutynowany Piotr Sommer. Na wyrywki zna taktyczne sztuczki Wyspiarzy i Amerykanów. Dla lidera „Literatury na Świecie”, mistrza naszej ekstraklasy, nie ma przeciwnika nie do rozszyfrowania.

Parę napastników stanowią Miron Białoszewski (słynący z błyskawicznych, niezmiernie podkręconych strzałów nie do obrony) oraz Jacek Podsiadło, niegdyś straszący przeciwników dredami *à la* Ruud Gullit, teraz, z fryzurą Davida Beckhama, jeszcze groźniejszy.

Tak silnej i zgranej ekipy inne nacje mogą nam tylko pozazdrościć. Taka reprezentacja bez trudu rozgromiłaby synów Albionu na poetyckim Wembley. „Przekrój” zaprasza Państwa na krótki przegląd popisowych zagrywek lirycznego *teamu*. A obok – zdjęcia zawodowców i amatorów sportu, który Pele nazwał kiedyś piękną grą.

PIOTR CZERNIAWSKI

FOT. JORJA VINK / MAGNUM PHOTOS, EKPICURES



Diego Maradona, Mexico City, Meksyk, 1986



MARIAN GRZEŚCZAK

Rzut karny

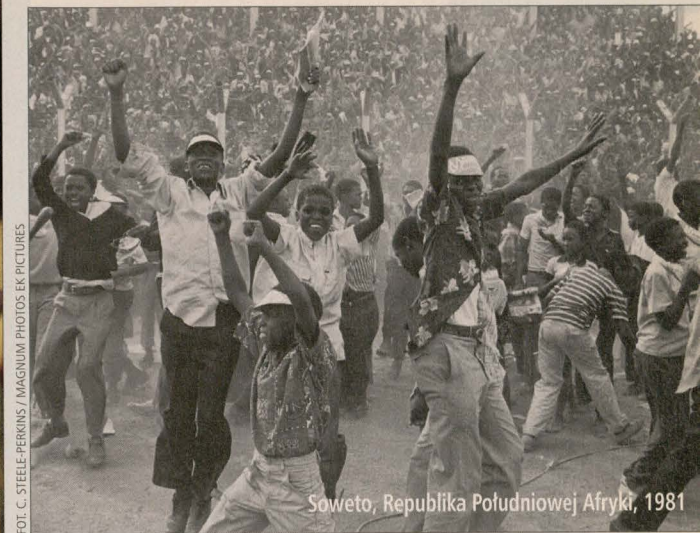
Mój - jego strach,
strach człowieka, któremu los nakazał bronić
zaledwie kilku metrów kuli ziemskiej.
Już „mój” obmyśla lot piłki ku spełnieniu,
już „jego” czeka na niepewną ciemność.
Strach bramkarza przed jedenastką.
Strach strzelca przed bramkarzem.
Jakby od tej jednej chwili zależała przyszłość świata.
O, sprawiedliwości chybotliwa.
Zmienna nadziejo świata.
Tylko piłka jest bezbronna.
Tylko ona jest w tej sekundzie mną
Nagrodą i karą.
Strachem w biegu ku przyszłości.



Mediolan, Włochy, 1966



Paryż, Francja, 1998



Soweto, Republika Południowej Afryki, 1981

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

Match futbolowy

Oto tu jest największe Colosseum świata,
Tu serce żądz i życia bije najwymowniej,
Tu tajemny sens wiąże i entuzjazm brata
Milion ludzi na wielkiej rozsiadłych widowni.

Zamorra wsparty w bramce o szczyt Pirenejów,
Piękniejszy niż Don Juan, obciśnięty w swetrze,
Jak dumny król, w chaosie center i wolejów,
Śledzi kulę świetlistą, prującą powietrze.

Z Uralu w bój posłaną, jak z lufy moździerza,
Trzyma w oczach i więzi, a gdy kula spada,
Jak pajak się nad dziuplą bramki rozczapierza,
Jak krzak wystrzela w niebo, człowiek-barykada.

Pocisk skacze kozłami od miasta do miasta,
Z jednej strony jest Moskwa, z drugiej Barcelona,
Już steruje ku siatce, już spod stóp wyrasta,
Trybuny tracą oddech, cały stadion kona.

I pokażcie mi teraz - gdzie, w jakich teatrach
Milion ludzi wystrzeli takim wielkim głosem:
Zamorra, lecąc w górę, jak żagiel na wiatrach,
Za Atlantycką wybija piłkę jednym ciosem!

Widownia oszalała, krzyczy, bije brawo,
Półkole trybun płonie niczym aureola,
I jak wielka tęsknota za zwycięską sławą
Tętni okrzyk stadionu: gola, gola, gola!

Newcastle, Anglia, 1996

TADEUSZ PEIPER

Footbal

Ptak, który -, ptak któryby był ciekłą latarnią
i rozpiął łuk, huk szeroko wykreślony biodrem,
biodrem najpiękniejszej kobiety, lub spiżarnią
miodów zebranych między najwonnijszym pudrem;
ptak któryby był światłem latającym po zalotnej linii,
smacznym światłem latającym po linii z cukru;
który na szczycie umiałby być zdaniem z wiśni,
czerwonym rozkazem radości w błękitnym cyrku,
a, opadając, chłostał niebo jak gniewna kreska
i ściekał ostrym wodospadem na parujące skóry,
tak leciała przez powietrze piłka dzielnie kopnięta,
żywiąc nasze oczy jedwabną swą bułką, ptak, który -.



STANISŁAW BARAŃCZAK

piłka nożna, żywy jej rozwój w Urugwaju w porównaniu z uwiązaniem sztuk pięknych wynikiem oparcia jej na przepisach lepiej dostosowanych do fizycznych rozmiarów kraju

(z Indeksu poruszonych i pominiętych zagadnień etnicznych, etycznych i dietetycznych)

Urugwaj

Rugaj, urągaj, Urugwaju:
Nie uznaję cię za typ kraju,
Gdzie, na drzwiach widząc znak „Urugwaj”,
Byliby w stanie przejść przez próg dwaj
Ludzie tak wielcy, jak natchniony
Autor tych Strof i, z drugiej strony,
Ich równie boski Ilustrator.
Powstałby przede wszystkim zator,
Tak to jest bowiem z Urugwajem,
Niedużym krajem, że się wzajem
Tratuje lub co najmniej gnienie,
Kto występuje tu w duecie.
Ciasno w tym kraju, jak w tramwaju:
Ścisk panujący w Urugwaju
Odstępuje wolnych duchów tyle,
Że mniej jest ich jedynie w Chile
(Dłuższym, lecz wąskim niczym glista:
Przyszłość kultury jest tam mglista,
Gdyż wręcz obrócić się nie można).
Z wszelkich sztuk jedna piłka nożna
Kwitnie natomiast w Urugwaju;
Gdzie bowiem twórca ma w zwyczaju
Krzyknąć: „Ograniczenie! Gwałt!” –
Piłkarz spokojnie stwierdza: „Aut”.
Patron futbolu, ale wróg waj-
Delotów, gotów jest Urugwaj
Wpuścić nas do Montevideo
Tylko nagranych na wideo.

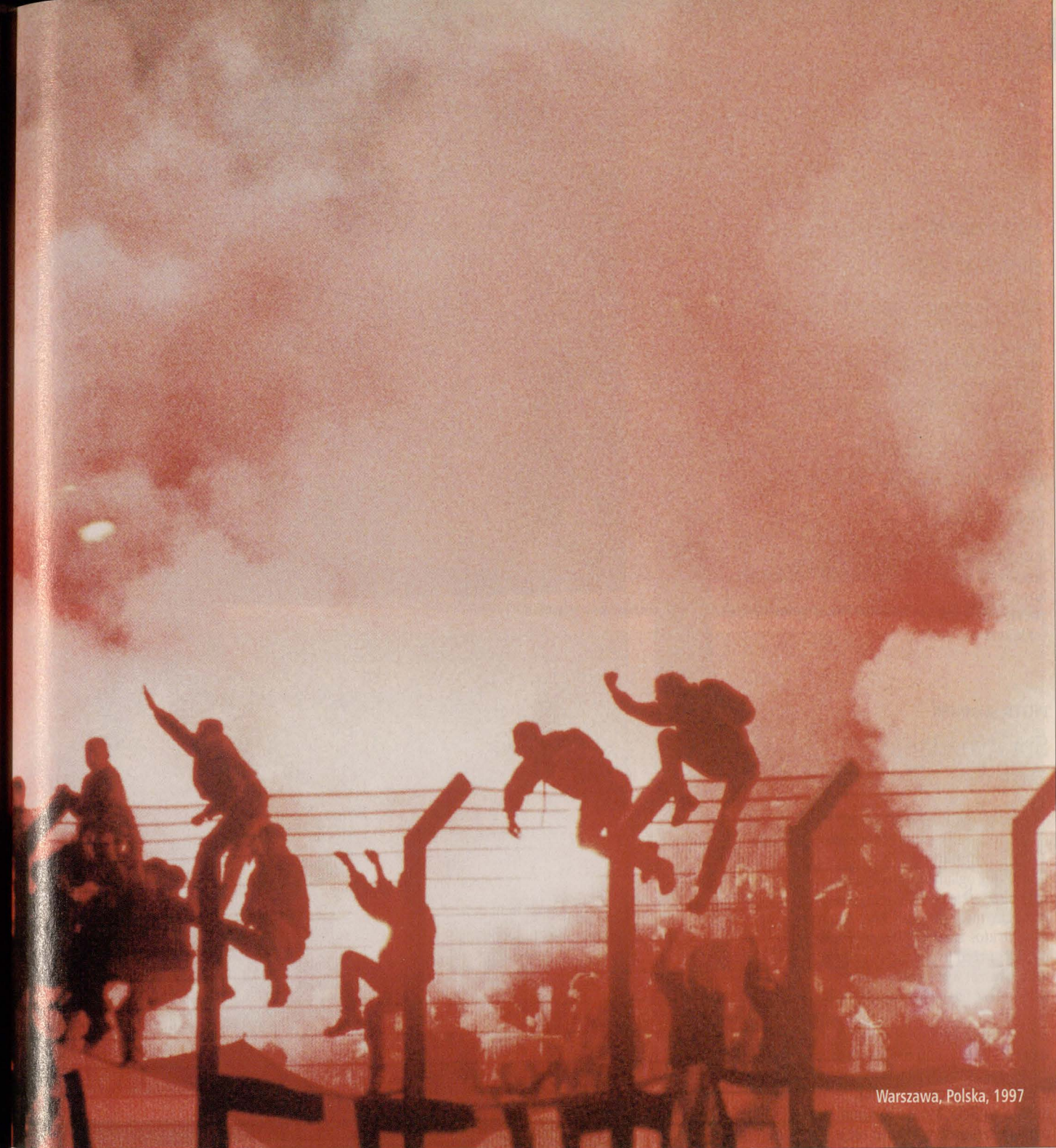
PIOTR BRATKOWSKI

13 grudnia 1981

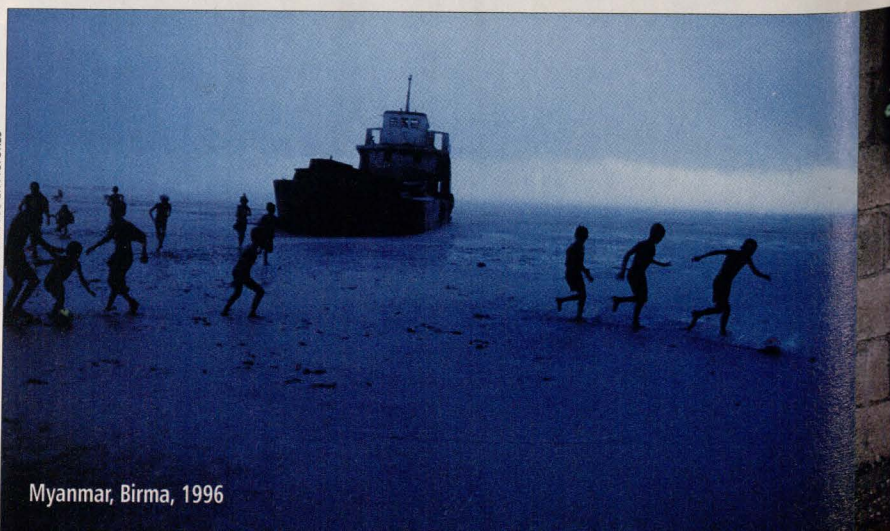
13 grudnia, w Barcelonie, baskijski obrońca, Antonio Goicochea brutalnie sfaulował najlepszego piłkarza drużyny gospodarzy, Berndta Schustera. Od tego czasu w Katalonii jeszcze bardziej nie lubią Basków.

Antonio Goicochea znów fauluje

Antonio Goicochea, zwany przez prasę Madrytu i Barcelony rzeźnikiem baskijskim, tym razem złamał nogę Diego Maradonie, najdroższemu piłkarzowi Hiszpanii. Nie zagra za karę w osiemnastu meczach. W Bilbao uważają, że jest to spisek przeciwko wolnościowym dążeniom ludu baskijskiego.



Warszawa, Polska, 1997



Myanmar, Birma, 1996



Kingston, Jamajka, 1998

Maharasztra, Indie, 1999

MARCIN HAMKAŁO

españa '82

Kaleki lewoskrzydłowy anioł nie wie, jak to jest polatać se po podwórkach, mając niezłą kiwkę i najlepsze korki na osiedlu. Daleko mu do mnie, dziś w dzienniku zapis: strzeliłem dwie, jedną z akcji, drugą z karnego, średnia w tym tygodniu 1,48. Przyglądał mi się łowca talentów z ostatniego piętra i faceci z czołgu.

MIRON BIAŁOSZEWSKI

pociągola

kiw głów
kiw butów
kiw kolan
pociąganie vizaviw
tokkółata

PIOTR SOMMER

Sprawozdanie z meczu piłki nożnej

Kto obok ma ojczyznę, ten jest spokojny (...).
Wiacesław Kuprianow

Czy on też oglądał tamten mecz we Frankfurcie nad Menem, pierwszy poważny mecz sezonu? Bilet by mu pewnie ktoś załatwił. Czy siedział chociaż przed telewizorem i, jak ja tutaj, słyszał w przerwie meczu wiadomość, że go już tam nie ma?

Jak się wtedy czuł, jeśli oglądał, kim już nie był, kim nie był jeszcze? Pytam dziś przyjaciela, co o tym myśli; nie mieli chyba, mówi, innego wyjścia. Mnie o to samo pytają uczniowie w szkole; rację najprawdopodobniej mają publicyści –

w końcu odległości nie są już tak wielkie; ziemia jest wszędzie wystarczająco szara – tylko ta cisza wokół jego domu prześladowa mnie, ciasny krąg powietrza wokół jego ciała. Toteż wracam do meczu, do umownego placu gry, do boiska

spoza którego patrzę. Niewiele z gry rozumiem, przepisów nie znam. Sam sobie zadaję pytania. Które z nich wolno przemilczeć, na jakie odpowiedzieć do końca? Zima; moje okna zamknięte na wylot. Tu, w szkole, źle słychać sędziowskie gwizdki.

[luty 1974]



FOT. IAN BERRY / MAGNUM PHOTOS EK PICTURES

Londyn, Anglia, 1974



FOT. JAMES NACHTWEY / MAGNUM PHOTOS EK PICTURES

Guaratiba, Brazylia, 1998

BOHDAN ZADURA

Wstyd po przerwie

początek jak zwykle trochę nerwowy
niepewność lecz potem akcje nabierają płynności
i tempa

a potem gwizdek i wydaje się że to już
koniec dawali z siebie wszystko
dawali siebie a jednak same straty
po obu stronach
niewiarygodne?

i znowu gwizdek i nagle okazuje się że jest jeszcze
jakaś druga połowa i nie wiadomo jak się
zachować stoimy na środku boiska
nie mając odwagi zbliżyć się
do pola karnego



Chartum, Sudan, 1995

FOT. PETER MARLOW / MAGNUM PHOTOS EK PICTURES

Wiersze pochodzą z następujących tomów: Kazimierz Wierzyński „Laur olimpijski”, Warszawa 1928; Marian Grzeźczak „Człowiek dźwiga ciężary”, Warszawa 1972; Tadeusz Peiper „Żywe linie”, Kraków 1924; Stanisław Barańczak „Geografiol”, Warszawa 1998; Piotr Bratkowski „Nauka strzelania”, Warszawa 1990; Marcin Hamkało „weiter weiter”, Wrocław 1999; Miron Białoszewski „Mylne wzruszenia”, Warszawa 1961; Piotr Sommer „Pamiętki po nas”, Kraków 1980; Jacek Podsiadło „Niczycie, boskie”, Kraków – Warszawa 1998; Tadeusz Pióro „Wiersze okolicznościowe”, Lublin 1997. Wiersz Bohdana Zadury ukazał się w tomie jego szkiców „Między wierszami”, Legnica 2002.

FOT. STANISŁAW JAKUBOWSKI CAF / ADM

JACEK PODSIADŁO

Kadra na mecz z Francją została już powołana

Czy to jamy ziemianek, czy boisk prostokąty, czy w blasku jupiterów, czy w mrocznych nawach świątyń – jest światło, jasność, do której przymierzamy swe głowy, a z której nie zdaje sobie sprawy sprawozdawca sportowy, gdy mówi o strzale głową oddanym „w światło bramki” i o tym, że piłka minęła cel ledwie o ułamek centymetra. Zawsze się liczy gra głową i swego rodzaju wyskok, choć inny jest cel, inny sędzia i niewymiarowe boisko. Są niesklepy, gdzie na niepółkach czekają aureole, aury na każdą pogodę, tęczowe nieparasole, nimby, poświaty, ulotne wonności w otwartym flakonie, które sprawiają, że zwłoki, zamiast wydzielać złe wonie, pachną jak kwiat. Są nieziemskie konstrukcje, budowle strzeliste, o których nic nie wie wiedźma będąca panią minister budownictwa. Sposoby istnienia, o których nic nie wie myśliwy skulony w leśnej ambonie, z której – gdy zjawia się dziki – przemówi do nich grmiąca mowa dwururki nie znośzącej sprzeciwu. Ta jasność, ten nimb, te wonności, budowle i byty, dla których się czuwa, odurza, samobiczuje i pości, jednak są poza zasięgiem naszego oka, ręki i ucha, choć piłkarz, gdy klęczy i płacząc całuje zdobyty puchar, wydaje się nam awatarem, buddą i świętym w getrach. Lecz już za tydzień, strzelając rzut karny, chybia o pięć i pół metra.



Reprezentacja Polski w gmachu KC PZPR, Warszawa, 1974



Grenada, 1983

FOT. P.J. GRIFFITHS / MAGNUM PHOTOS EK PICTURES

TADEUSZ PIÓRO

Bez znieczulenia

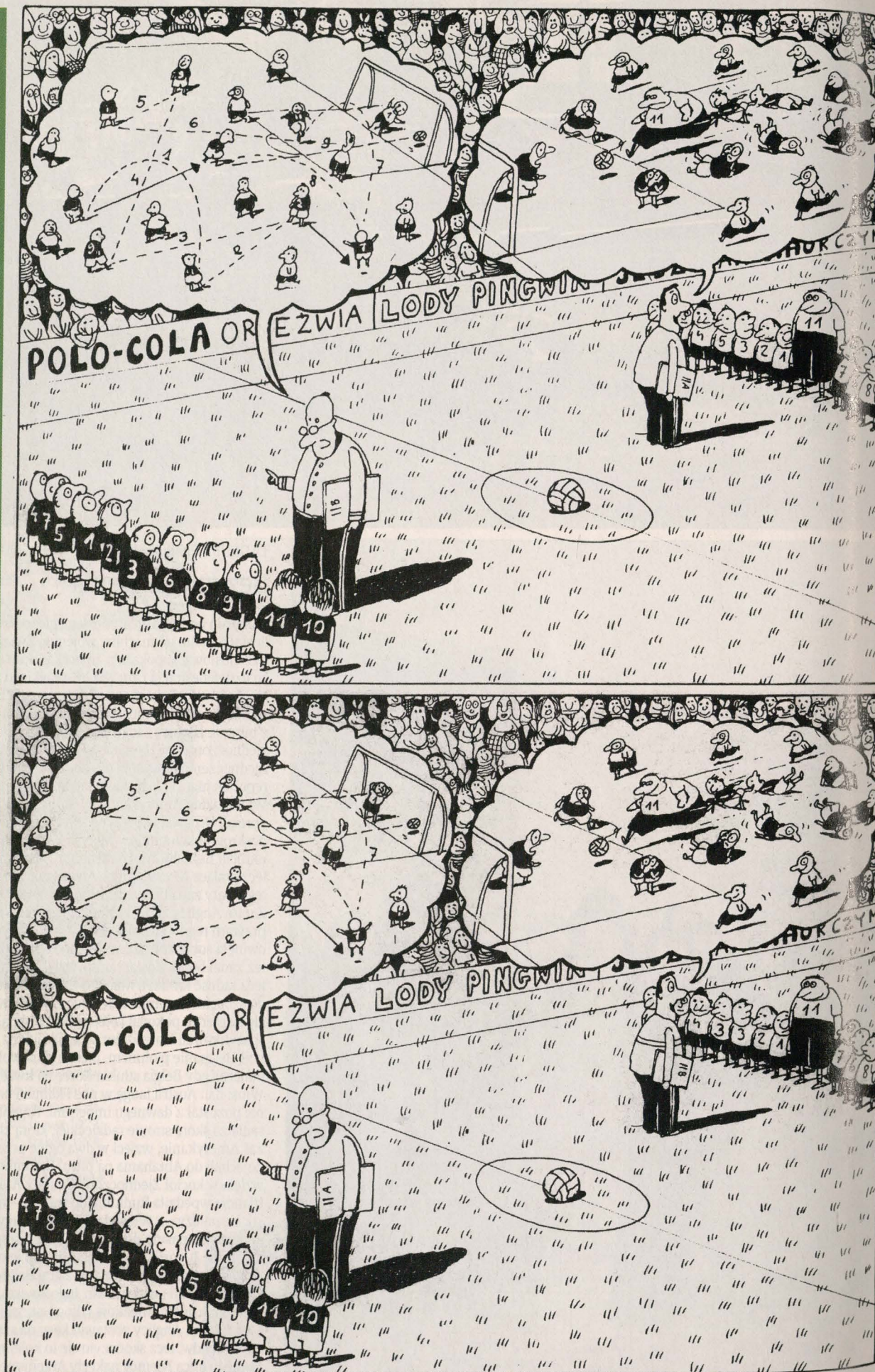
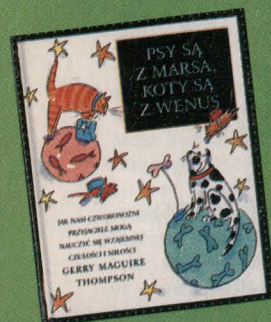
Kamerun podbił Argentynę, lecz niepokromione lwy dostały manto od maszyny wojennej Związku Radzieckiego. Czechosłowacja pokazała amerykańskim oportunistom co to defenestracja i zmogła austriackiego tyra na paluszkach. Szkoci rozłożyli na łopatki Szwedów, lecz cóż, Kostaryka rozniósła ich na szablach tak, że mieli się z pyszna. Niemcy zadali śmiertelny cios Arabom zjednoczonym w Emiratach i zjedli Jugosłowian z rogami. Zjednoczenie Emiratów nie potrafiło oprzeć się federacji republik jugosłowiańskich, która stała się na puch. Włosi rozbili Amerykanów w drobny mak, a Belgowie obrócili Urugwaj w perzynę. Pychę Teutonów poskromili kolumbijscy Metysi. Zakusy Szwedów ukrócił Brazylijczyk pamiętnym basarunkiem, lecz grająca na cztery ręce Argentyna wrzepiła tegie bity zapalczywym chłopcom z brzegów Amazonki. Zanim Anglicy zdążyli osiedlać Egipcjan, potomkowie faraonów przytarli rogi Irlandczykom i Holendrom. Hiszpania owinęła sobie koło palca Koreańczyków, którym Urugwaj też zadał bobu. Kostarykanie wzięli za frak Brazylię, lecz radość krótko trwała, bo Czechosłowacja rozgromiła ich do szczytu. Rumunia ucięła łeb Związkowi Radzieckiemu, ale Kamerun pokonał ją jej własną bronią. Niemcy spacyfikowali Holendrów, wbijając ich na pal, Urugwaj poił Hiszpanię piotunem, piekąc ją na wolnym ogniu, podczas gdy Belgia stukała Koreę na kwaśne jabłko. Włosi dali Austrii fangę w nos i kamień na kamieniu nie pozostał z dawnego imperium. Argentyna załaziła sadła za skórę stronie radzieckiej, którą złapała kolka, zaś Amerykanie, wzięci w dwa ognie przez Austriaków, pojechali do Abrahama na piwo. Kolumbia wzięła w kocioł Zjednoczone Emiraty Arabskie, Irlandia wpędziła Rumunię do trumny – noga za nogą, jak się należy – a Włosi darli pasy z Urugwajczyków aż przecięli pasmo dni ich żywota. Po srogiej rąbaninie Jugosławia skróciła Hiszpanię o głowę, Anglia zmioła z powierzchni ziemi Belgię, Argentyńczycy zaszlachtowali i wykrwawili Jugosłowian, Niemcy położyli trupem Anglików i długo nurzali się we krwi swych ofiar. Anglicy postawili kosy na sztorc i ruszyli na Włochów, lecz skończyło się to kolejnym rozbiorem. Ósmego lipca Niemcy nakryły Argentynę białym prześcieradłem i położyły nogami w stronę wybuchu.

Wyteż wzroczek konkurs dla dzieci

Dziś specjalne wydanie naszej cotygodniowej zabawy – nie szukaj rozwiązania na żadnej stronie, bo go tam nie ma. Dzieciaku, weź czerwony flamaster, zakreśl 20 różnic, którymi różnią się oba rysunki Marka Raczkowskiego. Wytnij, włóż do koperty i przyslij do naszej redakcji. Wśród autorów poprawnych odpowiedzi rozlosujemy siedem egzemplarzy książki G.M. Thompsona „Psy są z Marsa, koty są z Wenus”. Na odpowiedzi czekamy do 10 czerwca.

Nasz adres:
Redakcja
„Przekroju”,
ul. Wiejska 12a,
00-490 Warszawa,
z dopiskiem
„Wyteż wzroczek”.

Powodzenia!



Tajemnica. Zaskoczenie. Przygoda.
Telefon... od tego wszystko się zaczęło.



FILM STEVENA SPIELBERGA

E.T.

THE EXTRA-TERRESTRIAL

20. ROCZNICA

NOWE SCENY · ULEPSZONE EFEKTY SPECJALNE · CYFROWA ŚCIEŻKA DŹWIĘKOWA



UNIVERSAL PICTURES PRESENTS "E.T. THE EXTRA-TERRESTRIAL" DEE WALLACE PETER COYOTE
DREW BARRYMORE HENRY THOMAS AS ELLIOTT MUSIC BY JOHN WILLIAMS WRITTEN BY MELISSA MATHISON PRODUCED BY STEVEN SPIELBERG & KATHLEEN KENNEDY
UNITED INTERNATIONAL PICTURES AMBLIN ENTERTAINMENT www.et20.com SOUNDTRACK ON MCA RECORDS / UMG SOUNDTRACKS DIRECTED BY STEVEN SPIELBERG READ THE SIMON & SCHUSTER BOOKS A UNIVERSAL RE-RELEASE UNIVERSAL
© & 2001 UNIVERSAL STUDIOS



Radio 24

CANAL+

FOX KIDS

W KINACH OD 31. MAJA

WWW.FILMONET.PL

VIVA!

BRAVO

onet.pl



Grudzień 1970. Narodowy Spis Powszechny na warszawskim Grochowie

Dlaczego Polacy boją się spisu? Co chcą ukryć przed rachmistrzami i swoim państwem?

MAŁGORZATA FIEDASZ

Lukowica, woj. krakowskie. „Pod wpływem plotek o tym, że spis ma rzekomo dać podstawę do nakładania wysokich podatków, chłopci: Kościelny, Zajac i Dynowski sprzedali jakiemuś kombinatorowi za bezcen część żywego inwentarza. Szajka handlarzy koni, szerząc plotki na temat spisu, usiłowała wyłudzić od małopolskiego chłopca J. Klimczaka w Świdniku, woj. krakowskie, jedyne konie, ofiarowując mu 700 złotych. Interwencja sołtysa zapobiegła tej oszukańczej transakcji”.

Chmielnik, gmina Tyczyn. „Podczas zebrania miejscowi bogacze usiłowali straszyć chłopów, iż po spisie zostaną im zabrane obrazy i kożuchy”.

Warszawa. „Gdy komisarz spisu wy zapukał rano do drzwi mieszkania przy ulicy Filtrowej, właścicielka wręczyła mu klucze od szaf i biurka: »Niech pan robi tę... rewizję« - wyjąkała zboląłym głosem. Głośny wybuch śmiechu przekonał z miejsca lękliwą i łatwowierną niewiastę o bezpodstawności jej domysłów”.

Biała, pow. brzeziński. „Na budynku bogacza Stanisława Gabrielskiego, który szerzył kłamliwe wersje o spisie, chłopci wymalowali farbą napis: »Tu mieszka siewca kłamstw - wróg chłopów i robotników«. (...) Ludność z oburzeniem potępia plotkarzy rozsiewających w okresie przedspisowym różne kłamliwe wersje i wyśmiewa naiwnych, którzy uwierzyli plotkom”.

Tak między innymi relacjonowało „Życie Warszawy” spis powszechny, który odbył się w grudniu roku 1950. Od tamtej pory Polacy spisywali się czterokrotnie, zazwyczaj między 6 a 12 grudnia. Jeszcze w 1960 „Życie Radomskie” apelowało: spis nie jest ani dla milicji, ani dla wydziałów finansowych.

A jednak ludzie się bali. I boją się do dziś. Choćby nie wiem jak przekonywać Polaków, że informacje, które przekazują rachmistrzom, pozostaną utajnione, obawa nie odeszła wraz ze starym ustrojem. Obawa o co?

– Od roku nie płacę abonamentu, chociaż mam telewizor. Jestem podłączony na lewo do kablówki. Przez chwilę zastanawiałem się, czy wpuścić do domu rachmistrza i jakie mogą ponieść konsekwencje – przyznaje się Marcin Bobrzański, lat 32, dziennikarz. W końcu podjął męską decyzję: – Na wszelki wypadek będę udzielał odpowiedzi w kuchni. Tam nie ma telewizora.

Anita Gęgiel, lat 29, która zajmuje mieszkanie komunalne znajomego, od razu postanowiła udawać, że jest tam tylko przypadkiem. Umówiła rachmistrza ze swoim kolegą i zamierza spisać się tam, gdzie jest zameldowana, u rodziców. Ci zresztą potwierdzili słuszność jej obaw: już raz administracja cię ścigała. Dobrze, że się nie spisałaś. Jeśli informacje by przeciekły, znowu by cię ktoś podkładał.

SPIIS LĘKÓW POWSZECHNYCH

Rachowanie ludzi

MICHAŁ KOPCZYŃSKI

Narodowy Spis Powszechny jest gwarancją przejścia do historii. Historii statystyki

Polakom, którzy nie zechcą poddać się spisowi powszechnemu, grozi kara pieniężna. Unikającym spisów Chińczykom grożono w XIV wieku poborem do wojska, a XV-wiecznym florentczykom konfiskatą majątku. Dzisiejsza sankcja za odmowę poddania się procedurze jest – jak widać – dużo łagodniejsza, ale też inne są cele spisów. O ile w przeszłości sporządzano je głównie z myślą o opodatkowaniu i powinności wojskowej, o tyle dziś motywy mają charakter poznawczy. Dzięki danym zebranych przez rachmistrzów Główny Urząd Statystyczny będzie mógł określić, na jakim etapie rozwoju znajduje się polskie społeczeństwo. W historii spis był formą kontroli społecznej.

Chodzi o kasę

Jak niemal wszystko, tak i spisy ludności mają swój początek w Chinach. Pierwsze sporządzano tam jeszcze przed rokiem 1000 p.n.e. Ich celem było opodatkowanie oraz rejestracja ludności w celu zobowiązania jej do prac irygacyjnych. Najwcześniejsze spisy, na podstawie których można formułować wnioski o ludności Chin, pochodzą jednak dopiero z 2 roku n.e. Wielokrotnie przepisywane przez urzędników liczby stanowią nie lada problem dla historyków. Przede wszystkim nie wiadomo, jakie kategorie ludności były od spisu zwolnione. Stąd nierzadko się zdarza, że ludność poszczególnych prowincji nie zmienia się przez całe dziesięciolecia, bo łatwiej było przepisać odpowiednią liczbę z poprzedniego spisu, niż organizować nowy. Innym razem ludność wzrasta o kilka milionów w ciągu dekady. To efekt zmiany zasad sporządzania spisów, na przykład uwzględnienia niewolników, których normalnie nie liczono. Jeśli do tego dodamy zwykłe w rejestrach podatkowych oszustwa, to okaże się, że gąszcz liczb słabo odwzorowuje historię ludności Chin.

Spisy biblijne miały na względzie potrzeby praktyczne. „I dał Joab liczbę spisu ludu królowi, i nałożyło się z Izraela ośmset tysięcy mężów mocnych, miecza dobywających, a z Judy pięćset tysięcy waleczników” (Księgi Samuelowe II, XXIV, 9, przekład Jakuba Wujka). Chodziło więc o ustalenie liczby mężczyzn zdolnych do służby wojskowej. W Rzymie spisy ludności przeprowadzano od VI wieku p.n.e. po wczesne cesarstwo. W połowie V wieku p.n.e. utworzono urząd cenzora, który nadzorował spis. Celem było oszacowanie majątku obywateli, aby przydzielić ich do odpowiednich kategorii prawnych, od czego zależały zobowiązania wobec państwa i przywileje. Sporządzone przez cenzorów listy służyły jako podstawa poboru do wojska i rozdawnictwa zboża rzymskiemu plebsowi. Ponadto do obowiązków cenzorów należał nadzór nad obyczajami (stąd cenzura). Spisy rzymskie również nastroczały licznych trudności interpretacyjnych. Do dziś nie wiadomo, od kiedy zaczęto uwzględniać w nich kobiety. Być może nastąpiło to u schyłku republiki – około roku 70 p.n.e. – gdy liczba spisanych nagle wzrosła.

W średniowieczu spisów ludności nie sporządzano. Na przeszkodzie stała słabość administracji. Dysponujemy jedynie spisami częściowymi, obejmującymi poszczególne włości, niekiedy całe miasta (na przykład Florencja w roku 1428). Z rzadka mamy do czynienia

Grażyna Bielska, fotoedytor w kolorowym magazynie: – Wynajmuję kawalerkę, ale nikt nie jest tam zameldowany. Nie podam tego rachmistrzowi jako dodatkowego źródła dochodu, bo nie wiem, czy nie dorzucą mi jakiegoś podatku. Ostatnio dostałam list polecony z urzędu skarbowego, żebym dopłaciła 35 groszy. To ja mam państwu, które płaci za wysłanie listu, żeby tylko ściągnąć ze mnie te grosze, sama wskazywać, gdzie jeszcze dopłacać?

Strzeżonego Pan Bóg strzeże

Izabela Kurlej już drugi raz jest rachmistrzem. Po raz pierwszy – jeszcze jako studentka – spisywała mieszkańców Warszawy w roku 1970 (wtedy społecznie, dziś zarobkowo). – Ludzie mieli wówczas poczucie obowiązku. Nie dyskutowali, tylko wypełniali – wspomina. – Teraz wydaje im się, że wszystko wolno.



Rok 1978. Rachmistrz spisowy we wsi Stramny

Mieszkańcy jej bloku woleli więc sami się spisywać. Upierali się, że wiedzą lepiej, gdzie wysłać kwestionariusz („Pani jest niedouczone”). Przyglądali się z krzywą miną ankiecie: „A po co mi to”. I buch drzwiami przed nosem. Niepokoili się, czy nie ma pytań o życie prywatne. Zasłaniaли się ustawą o ochronie danych osobowych. Zapisywali numer z identyfikatora i dzwoniли z komórek, żeby potwier-

dzić wiarygodność rachmistrza. Przyjmowali ją na klatce schodowej. Niektórzy, zwłaszcza starsi, otwierali drzwi dopiero na widok gospodarza domu. Inni patrzyli przez wizjer i udawali, że ich nie ma.

– Tutaj chodzi mnóstwo akwizytorów, jest wiele włamań, pewnie dlatego ludzie mają poczucie zagrożenia – tłumaczy nieufność mieszkańców pani Izabela, która na czas spisu powszechnego uzbroiła się w anielską cierpliwość.

Przedspisowa plotka – lepiej uważaj na wysłannika urzędu statystycznego, bo nigdy nie wiadomo, co i komu przekaże – jest wiecznie żywa. Najlepiej wiedzą to internauci.

„Przez wszystkie lata PRL dostęp do tych akt miały tabuny urzędników i funkcjonariuszy, bynajmniej nieprzejmujących się prawami obywatelskimi” – ostrzegał przed wypełnianiem spisuowego kwestionariusza Mr_P na forum „Gazety Wyborczej”. „Mamy Koreę Północną! Rozśmieszył mnie gość w TV, który stwierdził, że nie ma się

w poprzednich spisach – zauważyła prof. Maria Lewicka, psycholog społeczny. Jej zdaniem to dobrze, że ludzie żądają teraz dodatkowych informacji, wypytują o szczegóły. – To dowód na to, że ze społeczeństwa przedindustrialnego stajemy się społeczeństwem kapitalistycznym, zindywidualizowanym, świadomym swoich praw – mówi.

Ta naturalna i słuszna przemiana nie sprzyja jednak ankietom. Prof. Lewicka ma świeżo w pamięci trudności, z jakimi ona i jej studenci spotykali się ostatnio w czasie badań przeprowadzanych wśród mieszkańców Krakowa, Wrocławia i Warszawy. Zwłaszcza ci ostatni zależli psychologom za skórę. – Byli ogromnie nieufni, mimo że pytaliśmy tylko o poczucie identyfikacji z miastem – mówi prof. Lewicka. Nie obchodził ich cel badania, obawiali się, czy to, co mówią, nie zostanie wykorzystane przeciwko nim. Najmniej chętni do współpracy byli mieszkańcy apartamentowców i zamkniętych, strzeżonych osiedli. Mniej zamożni tak nie grymasili.

Już taka nasza natura

Bezrobotni z numerkami w rękę wyczekujący pod warszawskim urzędem pracy na Grochowie na swoją kolejkę deklarują przyjazny stosunek do rachmistrzów. Łącznie z wytatuowanym 25-latką, który zaledwie wczoraj wyszedł z więzienia („Niech spisują, mnie to obojętne”). Panuje ogólne przekonanie: „Ja powiem prawdę, ale inni będą oszukiwać. Polak ma już taką naturę, że kombinuje na swoją stronę”.

Jest słonecznie, ludzie siedzą na ławkach, po piaszczystym placu biegają dzieci, sporo matek przyszło z wózkami. – Rachmistrza wpuszczę, bo on niczemu nie jest winny. Nie ufam ludziom, którzy to wymyślili, czyli państwu – mówi jedna z kobiet, kołysząc wózek. – I na pewno nie będę już ufała, bo mam czworo dzieci i tylko alimenty.

Mężczyzna z kilkuletnim dzieckiem (kiedyś kładł kable telefoniczne, teraz utrzymuje się dorywczo z prac budowlanych) jest przekonany, że „za złe odpowiedzi można potem odpowiadać przed sprawiedliwością”. Elegancka pani, niegdyś księgowa, dodaje: – Nie ujawniła-

bym dodatkowych dochodów i nie sądzę, by inni to zrobili. Spodziewam się, że w Polsce takie informacje będą potem wykorzystane. Wiemy przecież, jakie oferty przychodzą do nas pocztą. Skąd obcy ludzie mają te adresy? Nie wierzę w szczelność GUS-u.

– Mam zaufanie do rachmistrzów, ale nie do systemu. Nie czuję się jak gospodarz tego kraju, ale obywatel trzeciego sortu – stwierdza właściciel pobliskiego zakładu czapkarskiego. – Pierwsze zamówienie w tym roku otrzymałem w kwietniu. Ratujemy się pożyczkami – uzasadnia swoje poczucie „trzęsawości”.

Na plotki, lęki i obawy związane ze spisem Wiesław Łagodziński, rzecznik GUS, odpowiada: – Przecież tam nie ma żadnych pytań negliżujących. Nie ma nawet pytań o korzystanie z usług radiowo-telewizyjnych. Nie trzeba podawać swojego majątku. Naprawdę nie ma jak wykorzystać tych informacji przeciw ludziom. Ankiety trafiają do biur spisowych, a nie do administracji.

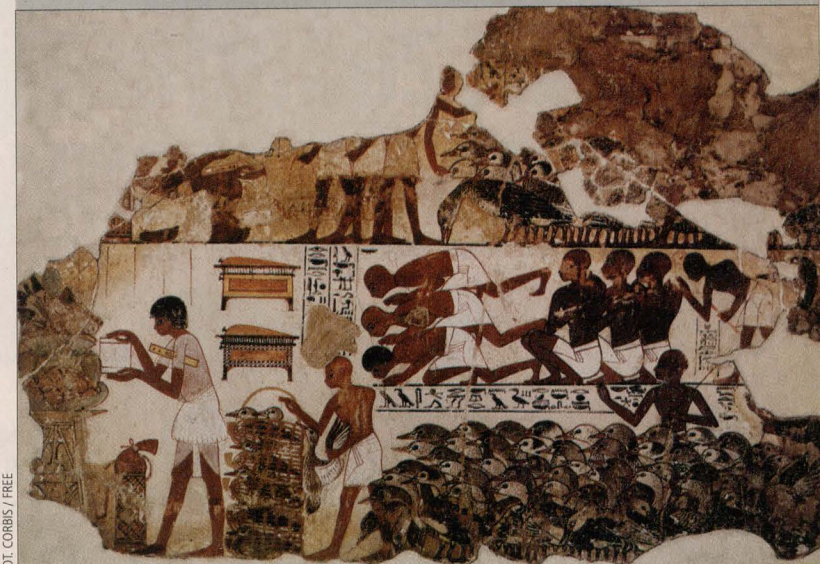
Powtarza, zapewne po raz setny w ciągu ostatnich tygodni, że spis jest zgodny ze standardami międzynarodowymi, z konstytucją i ustawą o ochronie danych osobowych. Jest objęty pełną tajemnicą.

Dla Łagodzińskiego, który sam był rachmistrzem w roku 1960, obecny spis powszechny to spełnienie marzeń. – Przedtem nikt nie tykał tych ankiet, teraz informacje posłużą planowaniu, na przykład, jak rozmieścić szkoły. Będziemy wiedzieli, jak organizować życie społeczne. To inwentaryzacja przed wejściem do Unii. Zbiórka fotografia Polaków.

Jak wyjdziemy na tym zdjęciu? Zanim pozna nas Europa, oglądają nas podczas spisu rachmistrze i rachmistrzynie. Te ostatnie z lekkim zawstydzeniem zwierzyły się „Przekrojowi”: – Jesteśmy zaskoczane przyjmowaniem nas w niekompletnych strojach. Czasami ktoś przeprosi i idzie się przebrać, ale większość mężczyzn się nie przejmuję. Paradują po domu w slipach.

MAŁGORZATA FIEJDASZ

Osoby występujące w tekście obawiały się ujawnić swoje personalia, więc je zmieniliśmy.



Egipski fresk „Spis gęsi”

ze spisami obejmującymi całe państwa. Ewenementem jest sławna angielska Księga Sądu Ostatecznego (Doomesday Book) sporządzona przez Wilhelma Zdobywcę w roku 1086. Nie jest to jednak spis ludności, ale rejestr lenn sporządzony w celu obłożenia ich ciężarami na rzecz króla.

Większe podobieństwo do dzisiejszych spisów mają rejestry podatku poglównego nałożonego w roku 1377. O małej wiarygodności danych niech świadczy fakt, że na ich podstawie podjęto 13 prób oszacowania ludności Anglii, których wynik zawiera się granicach od 2,3 do 3 milionów ludności. Jest rzeczą charakterystyczną, że każde kolejne nałożenie podatku poglównego przynosiło coraz mniejsze sumy, choć trudno przypuścić, by liczba ludności faktycznie spadała.

To samo zjawisko obserwujemy w przypadku polskiego podatku poglównego z lat 1662–1676. Zachowane rejestry pozwalają poznać mechanizm zaniżania liczby zobowiązanych do płacenia podatku. Spadek liczby opodatkowanych o ponad 20 procent to przede wszystkim efekt zaniżania wieku dzieci. Ponieważ podatkowi podlegały osoby mające ponad 10 lat, przeto dzieci albo odmładzano, albo ukrywano. Gdyby więc potraktować z całą powagą dane poglównego angielskiego i polskiego, to należałoby uznać, że typowym modelem rodziny był układ 2 plus 0, najwyżej 2 plus 1. Gdyby tak było w rzeczywistości, to dziś nie byłoby na tym świecie Anglików i Polaków.

Komu wierzyć?

Wiarygodniejsze od spisów państwowych są rejestry kościelne. Duchowni katolicy od połowy XVI wieku byli zobowiązani do rejestracji chrztów, ślubów i pogrzebów. Oprócz tego należało prowadzić księgę stanu dusz sporządzaną podczas corocznej kolędy. Odnotowywano w niej ludność dom po domu, podawano stopień pokrewieństwa z gospodarzem i wiek. Formularz był więc zbliżony do współczesnego. Najstarsze polskie spisy tego rodzaju pochodzą z pierwszej połowy XVII wieku. Dla wieku XVIII zachowało się ich już więcej, choć niestety większość księży lekceważyła ten obowiązek.

Stulecia XVII–XVIII przyniosły rozbudowę administracji państwowej i powiększenie liczebności armii. Utrzymanie ich kosztowało krocie i do tychczasowe źródła dochodów budżetowych nie wystarczały. Trzeba było więc uciec się do podatków bezpośrednich, a to wymagało spisania ludności. Z tych stuleci pochodzi najwięcej rejestrów podatkowych obejmujących całe państwa, oczywiście skażonych typowymi dla źródeł fiskalnych pominięciami i fałszerstwami. Pojawili się też pierwsze spisy niemające charakteru fiskalnego, a jedynie poznawczy.

Jak zostałem narkomanem



Puk, puk, puk. Cisza. Ding-dong. Cisza. Puk, puk, puk. Cisza. Łup, łup, łup! W judaszu ukazuje się oko.

- Czego?!

- Moje nazwisko Bilski. Jestem ze spisu powszechnego, chciałem się umówić na spis.

- Czego?

- Spis powszechny! - wrzeszczę na całą klatkę.

- Coś tam bredzi... Proszę przyjść za pół godziny.

Idę do innego mieszkania. Zza drzwi grzmi telewizor.

Puk, puk, puk. Cisza. Ding-dong. Ding-dong. Cisza. Puk, puk, puk. Cisza. Łup, łup, łup! Drzwi otwierają się. Staje w nich starsza pani z obnażonym brzuchem.

- Co pan tak wali?! Tu się wchodzi, a nie puka!

- Moje nazwisko Bilski, jestem z Głównego Urzędu Statystycznego i chciałbym się z panią umówić na spis.

Wchodzę za nią do mieszkania. Na środku pokoju stoi stół. Pani zasiada za nim, ja naprzeciw niej. Na stole góra lekarstw.

- Jestem głucha, ślepa i na dodatek mam cukrzycę. A pan stukał właśnie w chwili, kiedy robiłam sobie zastrzyk. No, to na kiedy chce się pan umówić?

- Proponuję 25 maja o 14.

- Oj nie, ja właśnie wtedy robię sobie zastrzyk.

Chwila konsternacji.

- No to może o...

- Nie, wie pan co, to robi mi pan zastrzyk. Umie pan robić zastrzyki?

- Nie.

- To się pan nauczy. Jak sama sobie robię, to muszę w brzuch, a pan mi może w rękę. Dobrze?

- Dobrze.

Na odchodne słyszę:

- Pan się nie przejmuj starą babą! Odchodzę niepewny swoich kompetencji w używaniu strzykawki. Jak mam jej zrobić ten zastrzyk? Chyba się będę musiał nauczyć. A czasu niewiele.

Wracam do pierwszych drzwi. Ponownie stukam:

- Czego tam? Kogo diabli niosą?

- Spis powszechny! Marcin Bilski - wydieram się na całą klatkę.

Przez judasza widzę ruch. Otwierają się drzwi. Staje w nich pani w średnim wieku i z dziwnym wyrazem twarzy wpuszcza mnie do środka.

- Jestem ze spisu powszechnego i chciałbym się z panią umówić na spis.

- Co pan taki żółty? Pan spojrz na siebie w lustro. Kto to takich narkomanów dopuścił do spisu?

- Jak możemy się umówić?

- Ja zaraz zadzwonię do tych tam od spisu, dlaczego takich narkomanów dopuszczają do takiej pracy. Ja nie wiem, czy panu mogę powiedzieć swoje dane...

- 25 maja pasuje pani spis?

- Tak. A jaki jest telefon do tych od spisu, ja chcę tam zadzwonić i poskarżyć się na pana, że pan taki narkoman.

- Proszę bardzo - odpowiadam i podaję kobiecie numer.

- O której godzinie pani pasuje? Może być od 14.40?

- Tak.

- Dziękuję bardzo, do widzenia. Ta wizyta bardzo mnie pokrzepiła, bo któż lepiej umie posługiwać się strzykawką niż narkoman?

MARCIN BILSKI

Właśnie taki jest rejestr mieszkańców Nowej Francji, czyli dzisiejszej Kanady, z roku 1664. Obejmuje on jednak tylko niewielką część kraju.

Wiek XVIII to stulecie rozumu. Przyniósł on między innymi zainteresowanie rządzących takimi sprawami jak liczba ludności. Tym razem nie chodziło o egzekwowanie zobowiązań, lecz o czystą wiedzę o zaludnieniu. Pierwszym krajem europejskim, w którym przeprowadzono spis ludności z prawdziwego zdarzenia, była Szwecja (1749). Co najważniejsze, spisy te cyklicznie powtarzano. Szwedzki prymat nie powinien dziwić, bo od ponad 150 lat pastorzy sporządzali tam drobne księgi ludności.

Za przykładem Szwecji poszły inne państwa. W roku 1790 spis powszechny przeprowadziły Stany Zjednoczone, gdyż był on konieczny do ustalenia podziału mandatów w Izbie Reprezentantów pomiędzy różne stany. Przy okazji pojawił się problem natury politycznej, bowiem gęściej zaludnione stany północne powinny mieć znacznie więcej przedstawicieli. Aby zażegnać groźbę politycznej nierównowagi, postanowiono przy podziale mandatów uwzględnić również liczbę murzyńskich niewolników, licząc według parytetu - pięciu czarnych równa się trzem białym.

Spisy w Polsce

Koniec XVIII i wiek XIX to era kultu statystyki. Rządzący domagali się precyzyjnych danych liczbowych o najróżniejszych dziedzinach życia. Jak wspomina jeden z ministrów napoleońskich, cesarz oczekiwał szybkich odpowiedzi naszpikowanych liczbami. Lepiej było zmyślić coś na poczekaniu, niż przyznać się do niewiedzy. Epidemia statystyczna objawiła się również w Polsce. Pierwszy spis ludności - na razie tylko zbiorczy - przeprowadzono w roku 1789 wedle projektu Fryderyka Moszyńskiego. W latach 1790-1792 sporządzano spisy lokalne, a obowiązki rachmistrzów powierzono katolickim duchownym. Wprawdzie tuż po trzecim rozbiore część szlachty oburzała się na państwa zaborcze przeprowadzające spisy („Cóż my Hotentoci, aby nas spisywać” - mówiono), ale opór nie powstrzymał ciekawości władz. W Księstwie Warszawskim przeprowadzono spisy w latach 1808 i 1810. W pierwszym z nich pominięto 22 procent ludności, w drugim już tylko około ośmiu procent.

Upadek Księstwa spowodował, że kolejne spisy odbywały się nierównomiernie w różnych częściach kraju. Najlepsze pochodzą z zaboru pruskiego. Pierwszy prawdziwie powszechny spis miał tam miejsce w roku 1840. Kolejne przeprowadzano co trzy lata aż po 1867, by od roku 1875 przejść na system co pięć lat. W Galicji spisy przeprowadzano w latach 1857, 1869 i od 1880 co 10 lat aż po rok 1910. Najsłabiej na tym tle wygląda statystyka rosyjska. Pierwszy i jedyny spis powszechny imperium przeprowadzono w roku 1897.

Po odzyskaniu niepodległości zadanie przeprowadzania spisów ludności powierzono Głównemu Urzędowi Statystycznemu. Zrealizowano je w latach 1921 i 1931. Publikację wyników redagował ni mniej, ni więcej tylko Hilary Minc, w okresie stalinowskim dyktator gospodarczy Polski. Z wydanych tabel nie można, niestety, zacerpnąć wszystkich interesujących badaczy informacji. Dlatego też ankiety spisowe przechowuje się wieczyście, a ich udostępnianie może nastąpić dopiero po 50 latach od daty spisu (w Anglii nawet po stu latach). Niestety, ziemie polskie nie miały szczęścia pod tym względem. Nie zachowały się akta rosyjskie z roku 1897. Jedyny większy zbiór ankiet przechowywano w archiwum w Lublinie, ale ktoś nieodpowiedzialny podjął decyzję o ich „wybrakowaniu” w roku 1972. Z kolei ankiety międzywojenne gromadzono w Warszawie i tu spłonęły w 1939.

Po wojnie przeprowadzono sumaryczny spis ludności w roku 1946. Nominatywny spis miał miejsce dopiero w 1950. Następne, aż po 1970, przeprowadzano co 10 lat. Kolejny spis zorganizowano w roku 1978, a ostatni - jak dotąd - w 1988. Teraz, po 13 latach, będziemy mieć kolejny spis i choć spisanie się nie jest ani gwarancją wejścia do Europy, ani tym bardziej przejścia do historii, to jednak warto poddać się tej procedurze, choćby z myślą o badaczach, którzy niecierpliwie oczekują na dane.

MICHAŁ KOPCZYŃSKI

Specjalista do spraw



W Polsce jest coraz trudniej o dobrą pracę. Cały czas politycy mówią o tym, że trzeba tworzyć nowe miejsca pracy, ale niewiele z tego wynika. Postanowiłem więc wziąć sprawę we własne ręce i sam sobie trochę potworzyć...

Od ponad 70 lat świadczymy wysokiej jakości usługi komunikacyjne w Poznaniu i rejonie wielkopolskim. Chcąc zagwarantować naszym klientom jeszcze lepszy standard usług, pilnie poszukujemy osoby na stanowisko:

BUS STOP RADIO ANNOUNCER
(spiker radiowy, dworcowy).

Wybrana osoba będzie informowała czekających na przystankach autobusowych pasażerów o tym, jakie autobusy mają opóźnienie. Kandydat będzie zatrudniony w nowoczesnej siedzibie naszej firmy, nie będzie więc musiał na przystanku marznąć tak jak pasażerowie.

Nasze wymagania:

- odporność na stres
- bardzo niewyraźny głos (mile widziane doświadczenie w PKP)
- kompletny brak znajomości języków obcych
- trudności ze zrozumieniem rozkładów jazdy.

W zamian oferujemy pracę w młodym zespole, praktycznie żadnych możliwości rozwoju kariery zawodowej, ale za to darmowy bilet miesięczny.

Jeśli:

- lubisz być w ruchu
- lubisz rozwiązywać problemy
- znasz się na problematyce parkingowej
- nie masz wysokich wymagań finansowych, to zgłoś się do nas!

Lierop Supermarket Developers (LSD) obecnie prowadzi rekrutację na stanowisko:

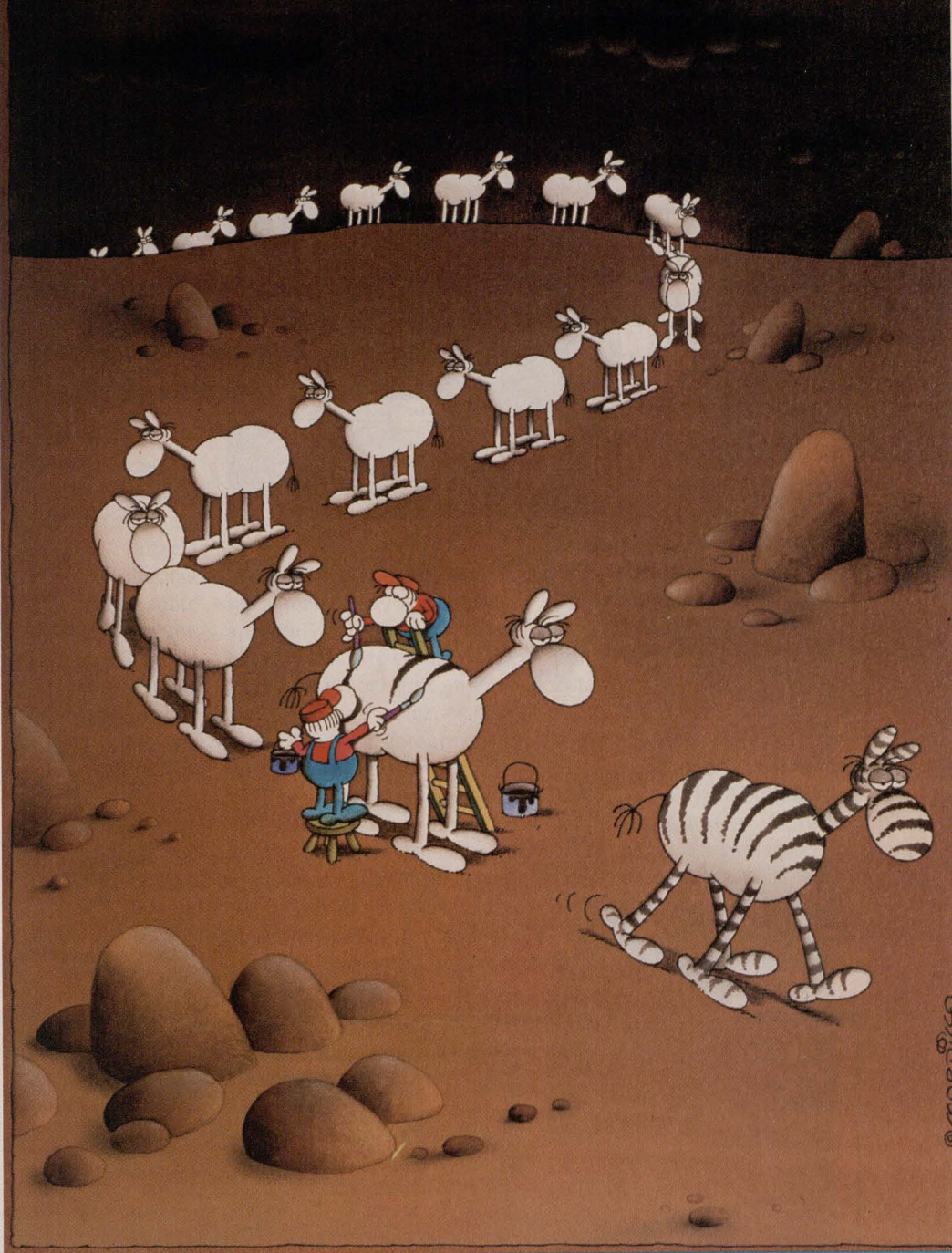
PARKING SPACE SEARCH EXECUTIVE
(specjalista ds. poszukiwania wolnych miejsc na parkingu)

do swoich sklepów w Warszawie, Krakowie i Poznaniu.

Zatrudniona osoba będzie odpowiedzialna za wynajdywanie miejsc parkingowych dla klientów naszych sklepów. Do jej obowiązków należeć będzie:

- wskazywanie charakterystycznymi ruchami rąk wolnych miejsc kierowcom
- utrzymywanie płynnego i bezpiecznego ruchu
- rozładowywanie napięć i konfliktów pomiędzy kierowcami walczącymi o miejsca najbliżej wejścia do sklepów.

RYS. MORDILLO © 2002 OLI VERLAG N.V.



Guillermo MORDILLO

Mile widziane doświadczenie w branży, dodatkowym atutem będzie doświadczenie w charakterze naganiacza spod centralnie położonych dworców w mieście.

Nasz klient jest liderem na rynku komunikacji miejskiej w Warszawie. W związku z dynamicznym rozwojem firmy poszukuje kandydatów na stanowisko:

ekspert ds. kontroli przestrzeni wewnętrznej (autobus)

ekspert ds. kontroli przestrzeni wewnętrznej (tramwaj).

Zadania: koordynacja alokacji miejsc siedzących w autobusie. Nadzór nad przestrzeganiem przez pasażerów prawa pierwszeństwa dla osób starszych, ciężarnych itd. Odpowie-

dzialny za niewpuszczanie pasażerów, w momencie kiedy nie można już oddychać w autobusie.

Oczekiwania: ukończona szkoła średnia, umiejętność gwizdania (każdy inspektor będzie wyposażony w specjalny gwizdek używany do sygnalizowania wykroczeń pasażerów).

Nie zapraszamy do współpracy kontrolerów (jest to dla nich obce pojęcie).

Tych trzech ofert pracy nie znajdziecie oczywiście w żadnej innej gazecie. Ale czy to oznacza, że rzeczywiście nie są one potrzebne?

Christiaan van Lierop

Autor to Anglik, Polak i Holender. W jednym.

Kiedy
byłam młoda,
nie chciałam
słuchać rzeczy,
które wówczas
mówił

Wykład o szczęściu

z RITĄ GOMBROWICZ ROZMAWIA JUSTYNA SOBOLEWSKA

JUSTYNA SOBOLEWSKA: Dlaczego mieszka Pani w Paryżu, w mieście, którego Gombrowicz nie lubił?

RITA GOMBROWICZ: Dla niego była to forma za bardzo skończona, zbyt doskonała. Nie lubił Paryża i chciał się mu przeciwstawić. Lubiał przyznawać sobie luksus niedojrzałości, a tymczasem w Paryżu tak nie można. Ludzie są tu poważni. Jednak dzisiaj właśnie w Paryżu można spotkać wszystkich, którzy zajmują się twórczością Witolda.

„Gombrowicz obnaża Francuzów” – pisał Kot Jeleński, a dziś stał się we Francji modny?

– Modny to chyba złe słowo. Na pewno jest najbardziej znanym polskim pisarzem. Na samym początku twórczości miał najlepszych czytelników i admiratorów, jak Kot Jeleński czy francuscy intelektualści. Dzięki nim miał we Francji mocne poparcie. Dzisiaj trzeba walczyć o jego twórczość. Teraz ma nietypowych czytelników jak na Francję, bo są to niekoniecznie intelektualiści. Pewien młody bankowiec z Nicei, który studiował prawo, napisał mi, że książki Gombrowicza wstrząsnęły jego życiem. I to jest bardzo dziwne, że Witold, jak ja-



książkę „Gombrowicz w Europie” autorstwa Rity Gombrowicz. Rozmawialiśmy z nią w hallu hotelowym w Warszawie. Dookoła kłębiły się wycieczki Japończyków.

kiś wielki psycholog, może zmienić czyjeś życie.

Napisała Pani w swoim wspomnieniu: „Uwielbiałam jego zabawę i gdy umarł, poczułam się ograbiona z codzienności”. Wasze życie w Vence było jak zanurzenie w dzieciństwo?

– Gombrowicz był ludyczny. Wszystko było dla niego grą i zabawą w najgłębszym tych słów znaczeniu. Kojarzył mi się trochę z Pickwickiem Dickensa, każda czynność miała u niego swój rytm. Zmieniał rzeczywistość, tak żeby nosiła jego ślad. Miałam wrażenie, że musi odcisnąć siebie na każdej rzeczy: przedmiocie i człowieku. Z codziennych czynności tworzył mitologię. Często wieczorem zatrzymywał się przed niektórymi przedmiotami w naszym mieszkaniu i rozpoczynał kontemplację. Przed płaskorzeźbą Jaremy wołał: „Cóż za potężne dzieło!” i zaczynał deklamować na przykład Mickiewicza „Skąd Litwini wracali, z nocnej wracali wycieczki”.

Czy dziś zgadza się Pani z jego wykładem o szczęściu, który dał Pani w dniu 30. urodzin? Powiedział tam, że szukanie szczęścia to życiowa tandeta, trzeba raczej myśleć o życiu jako o walce z przeciwnościami.

– Dopiero teraz się z nim zgadzam. Mówił rzeczy, których nie chciałam słuchać, kiedy byłam młoda. Teraz wiem, że to był ktoś, kto wiele wycierpiał i jednocześnie był w pewnym sensie specjalistą od młodości, bo ktoś lepiej niż on potrafił żyć młodością.

Powiedział w tym wykładzie, że kobieta z wiekiem dopiero może stać się podmiotem w swoim życiu, wreszcie być niezależna.

– Bardzo trudno to zaakceptować. Niełatwo jest bowiem zrezygnować z uwodzenia i z bycia uwodzonym. Myślę, że Gombrowicz miał głęboką rację – trzeba zapanować na swoim życiem, a nie samemu być pod władaniem, dominacją rzeczy i innych ludzi.

Siłą jego twórczości było to, że w młodości był wielkim niedojrzałym i że wiele wycierpiał. Całe jego życie było podbojem, próbą

zdobycia dojrzałości. Próbował okiełznać swoją własną niedojrzałość, a robił to zawsze poprzez grę z samym sobą. W rezultacie była to chyba najbardziej dojrzała osoba, jaką spotkałam w życiu. Potrafił stawić czoło rzeczywistości. Mam wrażenie, że jego twórczość jest tak silna i autonomiczna jak on sam.

Czy coś Panią zadziwia w „życiu pośmiertnym” Gombrowicza?

– W związku z Gombrowiczem nic już nie jest w stanie mnie zadziwić. Tak jak za życia jego dzieło było bardzo silne, tak samo po śmierci nie daje sobie przypisać geby. W każdym kraju trochę inaczej widzą Gombrowicza. Na przykład w Argentynie jego książki nie były obecne, a on sam był znany jako ekstrawagancka postać życia kulturalnego. Stał się nawet bohaterem literackim. A teraz pojawia się w nauczaniu uniwersyteckim jako pisarz argentyński. W Szwecji funkcjonuje przede wszystkim jako autor sztuk teatralnych, bo wielcy reżyserzy wystawiają jego sztuki, choćby Bergman, który dwukrotnie reżyserował „Iwonę...”. W Niemczech „Dziennik” był znany dość wcześniej i okazało się, że tam Gombrowicza określa się najczęściej jako myśliciela i filozofa. W krajach dawnego bloku socjalistycznego z utęsknieniem czekano na wydanie „Dziennika” i gdy się wreszcie pojawił, zyskał niezwykłą popularność. Odbiór Gombrowicza zależy od temperamentu. W moim rodzinnym Quebecu bardzo aktualne okazało się to, co pisał o kulturze prowincjonalnej, o nacjonalizmie i katolicyzmie, byliśmy niemal w stu procentach katolikami. Wielu mieszkańców Quebecu ma podobny stosunek do swojego kraju. Pod wpływem Gombrowicza pozostawał jeden z największych kanadyjskich poetów – Gaston Miron, który przyjechał nawet spotkać go w Vence.

Z czasu Vence pochodzi większość zdjęć Gombrowicza.

– Rzeczywiście niewiele istnieje zdjęć z Argentyny – najwięcej pochodzi właśnie z ostatniego okresu jego życia. Witold za-



FOT. MAREK SZCZEPANŚKI

Wszystko
było dla niego
grą i zabawą
w najgłębszym
tych słów
znaczeniu

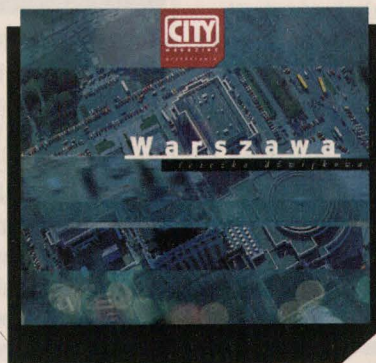
broniał mi siebie fotografować. Teraz bardzo żałuję, że nie miałam aparatu. Złe znosił robienie zdjęć, właściwie tylko Bohdan Paczowski mógł go fotografować. W „Gombrowiczu w Europie” większość fotografii jest upozowana, jak w teatrze. Nasze zdjęcie w pokoju też jest takie. Tylko to [pokazuje na znane zdjęcie Gombrowicza na balkonie w Vence – przyp. red.] zrobiono, gdy o tym nie wiedział. Do zdjęcia Witold przybierał grymasy, ćwiczył je przed lu-

strem. Na wielu fotografiach widać jego rysy zmienione przez leki na astmę, ale cały czas miał piękną twarz: bardzo polską, klasyczną. Zdjęcie, które znajduje się na okładce „Gombrowicza w Europie”, powstało przypadkiem, nikt nas nie ustawiał. Ciekawe, że te wszystkie fotografie potrafiły więcej zdziałać dla rozpoznania jego twórczości niż artykuły i książki. Może dlatego, że zdjęcia uruchamiają wyobraźnię?

Rozmawiała
JUSTYNA SOBOLEWSKA

CITY
MAGAZINE

przedstawia nową płytę



świeża muzyka ze stolicy

premierowe utwory najważniejszych twórców sceny alternatywnej

od 13 maja w sklepach muzycznych w całej Polsce

PATRONI MEDIALNI

PRZE
KRÓT

gazeta.pl

gazeta

radiostacja

machina

kaktus

PRODUKCJA
I DYSTRYBUCJA

Sony Music



Danuta Stenka i Andrzej Chyra w „Płatonowie”

Ruskie lekko nieświeże

Polscy reżyserzy kochają rosyjską klasykę. Gdybyż jeszcze potrafili ją wystawiać

W dialogu Daniła Charmsa na scenie leży sobie Gogol, o którego potyka się Puszkin. Puszkin pada i mówi: „Niech to diabli, ani chybi Gogol!”. Gogol wstaje, otrzępuje się i potyka o leżącego Puszkin: „Cholera, ani chybi Puszkin!”. Puszkin wstaje, otrzępuje się, idzie i znów przewraca się o Gogola: „O, Gogol!” – woła. Gogol wstaje i upada, potknąwszy się o Puszkin: „Niech to, Puszkin!”. I tak wkoło Macieju: Puszkin! Gogol! Puszkin! Gogol!

Historia jakby znajoma, nieprawdaż? – zapytam nie tylko teatromanów śledzących teatralne repertuary. Bo kto się o kogo potyka? Ano polski teatr o rosyjską klasykę.

W mijającym właśnie sezonie moda na wystawianie rosyjskich autorów przybrała rozmiary zastraszające. Co prawda nigdy nie zanikła, nawet po roku 1989,

ale ostatnio gdzie się obejrzyś, grają albo Gogola (jeśli dobrze liczę, za „Rewizora” zabrało się teraz pięciu reżyserów), albo Dostojewskiego (trzy premiery). Czechow też trzyma się mocno, choć prawdziwy urodzaj na niego był rok temu. Zapewne i „Mistrz i Małgorzata” Lupy wywoła lawinę inscenizacji różnych utworów Bułhakowa.

Świetnie – bo dobrej literatury nigdy w teatrze za wiele. Problem więc nie w tym, że tytuł doczekaliśmy się Rosjan w teatrze. Chodzi raczej o to, że jacyś ci Rosjanie dziwni, zeuropeizowani i wysterylizowani. Paweł Miśkiewicz (wystawił Czechowowskiego „Płatonowa” w warszawskim Dramatycznym) i Rudolf Ziolo (sięgnął po „Biesy” Dostojewskiego w Powszechnym) widzą genialne rosyjskie teksty bez kantów i zadziórów od lat zmuszających reżyserów do rewizowania swojego myślenia o teatrze. I tu się

na chwilę zatrzymamy, choć przyznać trzeba od razu, że te dwa spektakle warszawskie są bardzo, bardzo nieudane. (Kto jak kto, ale w Warszawie powinni o Rosjanach wiedzieć więcej – w końcu bliskość Stadionu Dziesięciolecia zobowiązuje). Na podstawie kiepskich przedstawień z Dramatycznego i Powszechnego można sformułować pięć głównych polskich win wobec rosyjskiej klasyki.

Wina pierwsza:

Brzydkich Rosjan grają najprzystojniejsi polscy aktorzy

Dla rosyjskich reżyserów wystawiających Czechowa albo Dostojewskiego poza umiejętnościami aktorskimi przy kompletowaniu obsady istotna jest także twarz aktora. Mówiąc najkrócej, chodzi o to, żeby na twarzy człowieka wypisana była Rosja. Nędza i upodlenie, pogarda dla samego siebie, smutek i wódka. Ale także – w tej samej chwili – naiwność, otwartość, ideowość, marzenia. Rosjanie widziani przez Rosjan nie wstydzą się być brzydki, tandetni i biedni. Są byle

jacy właśnie po to, żeby widz mógł odkryć w nich dobrze skrywaną ludzką piękność, nawet w grzechu czy poniżeniu. Przykład? Zobaczcie „Niedokończony utwór na pianole” Michałkowa, gdzie przemyka gruby i łysawy 30-letni Płatonow. Taka jest cała prawda o prowincjonalnym Don Juanie łowiącym głupie i źle ubrane kobiety.

A co mamy w polskim teatrze? Miszę Płatonowa w Dramatycznym gra blond cherubin Andrzej Chyra, pierwszy zły chłopiec naszych scen. Na dodatek krąg pań otaczających bohatera tworzą Danuta Stenka, Maja Ostaszewska, Agnieszka Roszkowska, Natasza Sierocka. Nie trzeba dodawać, że jest to krąg bardzo atrakcyjny. Nawet Maria Grekow, w sztuce określana jako nieładna, wygląda sztywnie. Problemy Miszy znikają jak ręką odjął – gdzież tu powód do egzystencjalnych buntów i moralnych wątpliwości? Każdy na jego miejscu robiłby to samo: pił i barłoczył! Reżyser zapomina, że dla bohatera co innego uwodzić kobiety piękne, a co innego – brzydkie.

Ziolo w „Biesach” także ucieka od brzydoty świata Dostojewskiego. Niedorozwinięta Maria Liebiadkin ma zmysłowy niski głos Edyty Olszówki i – choć kulawa – ponętna jest nadzwyczaj. Jak dystygowanie porusza się amant Rafał Królikowski jako Stawrogin! Jaką piękną stylową brodę ma Szatow, jakie muskuły samobójca Kiryłow! Nawet Liputin – w książce jedna z kluczowych postaci, podstarzały, bezzębny, brudny urzędnik czytający pisma utopijnych komunistów – to wesoły blondas z włosami do ramion. Na Boga, kto tak obsadza?! Rudolf Ziolo, który studiował reżyserię w Petersburgu! Sprowadzając rosyjskich bohaterów do kanonów telewizyjnej urody, obcinamy im połowę psychologicznych motywacji i całą tajemnicę.

Wina druga:

Wystawione w Polsce sztuki Rosjan o Rosji dzieją się wszędzie, tylko nie w Rosji

Popularne są dwie tendencje. Pierwsza każe szukać w tekście wszystkiego, co uniwersalne. Akcja bowiem winna się dziać w każdym zakątku Europy, a postaci tylko w porywach ekstrawagancji noszą rosyjskie nazwiska i tytułują się *po otczestwie*. Tendencja druga, związana z wolą uniknięcia studiów historycznych nad kostiumami, wnętrzami i epoką, prowadzi prosto ku dramatycznym uwspółcześnieniom. Miśkiewicz myje swoich bohaterów w zakładzie wodoleczniczym: wszędzie roztawia wanny, prysznicze, są kafelki. Jest nawet basen, są leżaki. Płatonow i jego kobiety raz po raz wyskakują z ciuszków. Postaci nie mają żadnych obyczajowych zahamowań, bo i my

dzisiaj ich nie mamy. Reżyser zapomina jednak, że wyzwolenie seksualne Czechowskich bohaterów jest totalnie sprzeczne z przyczynami ich cierpienia i niespełnienia. Nie te czasy, nie te miejsca.

Ziolo idzie jeszcze dalej – jedyne rozpoznawalne miejsce akcji „Biesów” to salon poprzedzielany dyktami na mniejsze klitki, gdzie z jakichś przyczyn mieszkają popularne gwiazdy telewizyjno-teatralne: Joanna Szczepkowska, Rafał Królikowski, Władysław Kowalski. Poza pokojami nie ma świata, który można by zburzyć albo podpalić. No to po co tu przyjechał Wierchowieński?



Rafał Królikowski i Adam Woronowicz w „Biesach”

Wina trzecia:

W polskim teatrze sztuka o Rosji musi być długa jak podróż koleją transsyberyjską

W obu przykładowych przedstawieniach króluje leniwe tempo. Bohaterowie mówią z namaszczeniem, przeciągając zgłoski, jakby jedli ruskie pierogi. Po łatwo rozpoznawalnych z widowni bon motach robią pauzy na śmiech lub brawa. Wolne nżanie wątków, cichutkie pulsowanie czasu i przemożna chęć reżysera opowiedzenia o wszystkim, co znalazł w książce lub dramacie. Nie ma możliwości, żeby wykroić rozdział, jeden motyw, historię pojedynczego bohatera! Musi być powolutku o wszystkim, więc siedźcie i patrzcie. Nam się nie śpieszy. Dostojewski i Czechow też mieli dużo czasu.

Wina czwarta:

Sztuki wielkich Rosjan wystawia się bez wyjątku w konwencji realistycznej albo pseudorealistycznej

Z pozoru niby wszystko w porządku – bo tak żąda tradycja teatralna i cechy rosyjskiej literatury. Nie mam nic przeciwko porządnemu realizmowi. Dziwi mnie jednak, jak bardzo ów rosyjski realizm paraliżuje polskich reżyserów. W efekcie zostaje z niego co najwyżej mniej lub bardziej śmieszna obyczajówka, scenki-detale, bez nadbudowy, bez przejścia w inny wymiar. Bo jak jest realizm, to już nie może być szczypty symbolizmu ani metafizycznych odniesień. Tymczasem bez symbolizmu nie ma realizmu Czechowa, a bez metafizycznego lęku – Dostojewskiego. Próżno też szukać u polskich reżyserów złości i wściekłości autora „Biesów” wobec swoich bohaterów albo drwiny i okrucieństwa Czechowa. Akcja i postaci roztapiają się w ciepłej dobroduszości. W najlepszym razie w ironii.

Wina piąta:

Powody, dla których wystawia się klasykę rosyjską, są najczęściej dosyć mętne

Okoliczność niejasnych powodów wystawienia tego, a nie innego, tekstu paradoksalnie wszystko wyjaśnia. Inscenizacje wielkiej klasyki rosyjskiej, owszem, bywają realizowane z powodów artystycznych, ale prawie nigdy z przyczyn ideowych. Bo jest tak, że wypada zrobić Czechowa. To w końcu dobry sprawdzian dla reżysera, test warsztatu. Dostojewski czy Gogol bywa wyzwaniem ze względów obsadowych. W końcu klasyka to są także role dla aktorów. Ale szkoda, że nikt przy okazji nie pyta, co ma nam załatwić taka klasyka w takiej konwencji i w takich obsadach.

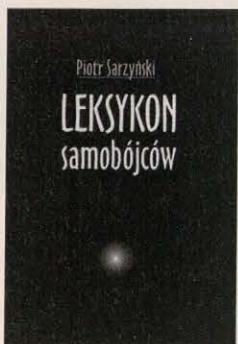
Nudzą mnie śmiertelnie sztampy inscenizacyjne, w jakie wkładamy rosyjską literaturę w polskich teatrach. Czechowa i Dostojewskiego nie wystawia się u nas z ciekawości ludzi i słynnych „przeklętych problemów”. I nie z ciekawości Rosji. Więc wychodzi potem to, co wychodzi – kadłubkowe stwory sceniczne, którym amputowano wszystko, co niewygodne, intrygujące, nieoczywiste.

To bzdura, że porywająco realizować rosyjską klasykę mogą tylko Rosjanie; miwaliliśmy i u nas przykłady świetnych inscenizacji. Przecież w teatrze nie chodzi o to, żeby odtwarzać Rosję i Rosjan, ale o to, żeby nasze myślenie o tej literaturze dorównywało skali oryginału. Inaczej nadal będziemy się potykać o każdego wielkiego Rosjanina w teatrze.

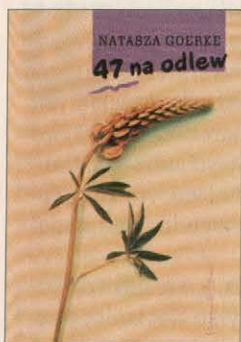
ŁUKASZ DREWNIK



„Intymny portret uczonych. Korespondencja Marii i Stanisława Ossowskich”, wydawnictwo Sici, Warszawa 2002



Piotr Sarzyński „Leksykon samobójców”, Iskry, Warszawa 2002



Natasza Goerke „47 na odlew”, wyd. Prószyński i S-ka, Warszawa 2002

Kto by pomyślał, że życie prywatne profesorów istnieje, a nawet bywa piękną historią miłosną. Poznają się w roku 1915. Uniwersytet Warszawski znowu rusza, a oni, młodzi i poważni, wstępują na filozofię. Ich romans pączkuje właśnie listownie, początki są trudne: introwertyczna Maria kaprysi i mnoży komplikacje, żarliwy Stanisław popełnia nietakty. Uczucie z latami rozkwita, oboje wzajemnie się uzupełniają: ona pomaga mu zachować dyscyplinę w pracy naukowej, on otwiera ją na ludzi i przyrodę. Stają się w zasadzie nierozłączni, na szczęście niekiedy rozdzielają ich okoliczności życiowe i temu zawdzięczamy korespondencję udostępnioną przepisowe ćwierć wieku po śmierci Marii. W swoim „Ethosie rycerskim” Ossowska pisała, że prawdziwa dama nie czyta cudzych listów. Sama była *grande dame*, zawsze trzymała się prosto i nosiła sznurek pereł, a mąż społecznik godził się z jej arystokratyzmem. Popelniamy zatem niedyskrecję, a przecież wnikając w relację tej fascynującej pary, nie czujemy zażenowania, raczej wzruszenie. I tak nie odkryjemy sensacyjnych tajemnic, bo oboje się cenzurowali – o ich działalności w Klubie Krzywego Koła na przykład musimy czytać między wierszami – ale i tak okazuje się, że najciekawsza jest codzienność. To w jej świetle poznajemy nowych Ossowskich: nie pomnikowe małżeństwo, tandem intelektualny czy instytucję moralną, lecz parę ludzi zakochanych w sobie przez ponad pół wieku. (JJ)

W długim łańcuchu biologii, od mikrobów po prezydenta Francji, samobójstwo jest wynalazkiem ściśle ludzkim; nie spotkano żaby samobójczyni ani tym bardziej marchewki, co by się sama chciała unicestwić wskutek egzystencjalnego stresu albo zawiedzionych uczuć. Jest więc gestem związanym z bolesną samoswiadomością popychającą do odbierania sobie życia; innym przypadkiem są samobójstwa na zlecenie albo z przyczyn honorowych. Rytuałów samobójczych jest wiele. Oczywiście górują najpopularniejsze: wieszanie się, strzelanie, topienie, trucie, wyskakiwanie. Bywa jednak, że ktoś sam siebie z fantazją udusi złotym łańcuchem albo połknie garść rozżarzonych węgli. Problemy z samobójcami miewają nie tylko ich rodziny, lecz także – na przykład – religie. Ale doktryny doktrynami, a samobójców nierzadko rozgrzeszano prywatnie, bo widać naprawdę już nie mogli wytrzymać. Piotr Sarzyński, specjalista od sztuk pięknych w „Polityce”, napisał zdumiewającą książkę o tych nieszczęśnikach, którzy w dziejach ludzkości cokolwiek znaczyli, postaciach prawdziwych, ale i tych fikcyjnych, literackich. „Leksykon samobójców” czyta się jak kryminał. Co chyba niedziwne, ale ja mówię tu także o stylu – prostym i wciągającym. Z encyklopedycznych not czyni on lekturę równie kuszącą, jak kuszący bywa paryski bruk widziany oczami frustrata z wysokości wieży Eiffa. (TN)

Czytelnicy znali dotychczas Nataszę Goerke jako autorkę miniatur prozatorskich, w których surrealistyczna wyobraźnia pisarki stwarzała światy zamieszkiwane przez melancholijnych bohaterów o niecodziennych i nieodparcie śmiesznych imionach i nazwiskach. Te opowiadania przypominały nieco filmy animowane dla dorosłych – pod niepozorną z pozoru formą skrywały prawdy nieprzyjemne i obrazoburcze.

W swojej najnowszej książce Goerke zamieszcza trzy utwory, z których dwa – i owszem – przypominają „dawną” autorkę „Księgi pasztetów” z jej dalekowschodnimi fascynacjami i wymierzonymi w kulturę masową zjadliwościami. Natomiast nowela tytułowa odświeża nieco zmienione oblicze pisarki z Hamburga. Jest to mianowicie monolog 47-letniego mężczyzny opowiadającego o swoich „skomplikowanych związkach z doczesnością”. Rzecz napisana kryształicznymi i nieodparcie śmiesznymi zdaniem przytłacza atmosferą sennego kosmaru i psychicznego rozchwiania. Zawsze lubiłem spać, ale sprawia mi to jakby mniejszą przyjemność, od czasu gdy wyczytałem u Goerke takie zdanie: „Od dzieciństwa prześladowała mnie straszna myśl o śnie, który nie kończy się nigdy, gdyż przebudzenie śni się tak samo jak cała reszta”. (MARBAR)

Nieznośna ukochana Anglia

Można w czytaniu Orwella – publicysty i krytyka – zasmakować, niekoniecznie będąc przy tym smakoszem jego ulubionych tematów

Kogo na początku XXI wieku, prócz historyków i krytyków, może zainteresować polska prapremiera wyborów esejów, artykułów, recenzji, felietonów czy listów Orwella, z których najpóźniejsze pochodzą z końca lat 40.? Nie jest to pytanie retoryczne ani ironiczne. Od czasu upadku bloku sowieckiego nawet wciągający literacko koszmar „Roku 1984” nie robi już nad Wisłą wrażenia jak kiedyś. Można zatem bez ironii pytać: kogo jeszcze może w Polsce dziś obchodzić, co Orwell myślał o zmierzchu imperium brytyjskiego, o zidioceniu tamtejszych elit politycznych doby Monachium, o wojnie domowej w Hiszpanii lub o aberracjach intelektualnych angielskiej inteligencji i jej podatności na sowieckie wpływy?

Świat, który ukształtował, inspirował i wściekał Orwella, już dawno nie istnieje. Nie ma Imperium Brytyjskiego, nie ma Sowietów, nie ma III Rzeszy ani nawet dziedzicznych miejsc w Izbie Lordów. Nie ma nawet takiej Labour Party, której Eric Arthur Blair (bo George Orwell to pseudonim) nie szczędził zjadliwych krytyk. Zupełnie inny Blair (Tony) ostatecznie zostawił z niej tylko nazwę. Coś w rodzaju rewolucji socjalistycznej poniekąd w Anglii się dokonało, ale nie w taki sposób, o jakim marzył Orwell na początku lat 40., ani tak, jak się obawiał, pisząc o schyłku życia „Rok 1984”.

Orwell generalnie zawiódł jako jasnowidz i czarnowidz, chociaż to najprawdopodobniej właśnie on w roku 1945 po raz pierwszy użył terminu „zimna wojna” w artykule o bombie atomowej. Artykuł ten zresztą trafił także do polskiej antologii publicystyki Orwella pod tytułem „Jak mi się podoba”. Tytuł wyboru, zapożyczony (nie licząc Szekspira) od autorskiego cyklu, który Orwell publikował na łamach lewicowego

George Orwell



Jak mi się podoba

pisma „Tribune”, trzeba uznać za trafny. Na tle dość szarej masy współczesnych mu lewicowych intelektualistów brytyjskich Orwell błyszczał bystrością i niezależnością myślenia, za co był zresztą nie lubiany i miewał kłopoty z publikowaniem. Przy tym nie miał w sobie nic z „rewizjonisty” w stylu partyjnych intelektualistów, którzy przejrżeli na oczy dopiero kilka lat po tym, gdy Stalin swoje zamknął. Sowietów i ich zachodnich apologetów Orwell po prostu nie cierpiał.

Z lektury „Jak mi się podoba” wylania się ciekawy obraz człowieka, który z jednej strony potępiał wielki kapitał, dziedziczne przywileje i w ogóle wszystko powyżej angielskiej *lower middle class*. Całkiem poważnie też postulował nacjonalizację brytyjskiej gospodarki. W imię „sprawiedliwości społecznej” i jako sposób na pokonanie Hitlera.

Z drugiej strony widać wyraźnie, że ideom socjalistycznym Orwell oddał wprawdzie całe serce, ale za to tylko kawałek umysłu. Całą jego resztę zachował dla siebie, a była to olbrzymia reszta, na którą obok rozmachu i jednoczesnej dyscypliny w myśleniu składał się jego geniusz literacki. „Być może najbardziej uderzającą cechą brytyjskiej kultury jest jej łańcuchowość (...) Nie ma innego kraju zamieszkanego przez białych, w którym równie łatwo

jest zepchnąć kogoś z chodnika”. Cytat ten pochodzi z eseju „Lew i Jednorożec”, pełnego mrzonek o perspektywach rewolucji socjalistycznej w Anglii. Ale jest to zarazem tyleż ostry, co pełen ciepła i dowcipu tekst o kulturze i narodowym charakterze Anglików. Niejeden w tej antologii, która mogłaby nosić tytuł „Moja nieznośna ukochana Anglia”.

Są wreszcie w książce „Jak mi się podoba” teksty, które dla polskiego czytelnika mogą brzmieć zgoła odkrywczo. Kto naiwnie mniema, że prawdziwą nowomowę i pseudonaukowy bełkot wynaleźli i zmonopolizowali niedouczeni politrucy za żelazną kurtyną, zostanie oświecony przez artykuł „Polityka i język angielski”.

Z kolei osoby przekonane dotąd, że niebanalne analizy polityczno-ekonomiczne opowiedane przez populistów, a powtarzane na bazarach, stanowią unikalny dorobek młodej polskiej demokracji, doznają olśnienia przy czytaniu relacji Orwella z rozmowy dwóch angielskich biznesmenów podsłuchanej ponad pół wieku temu w szkockim hotelu. Rozmowa dotyczyła... Polaków zabierających Anglikom miejsca pracy i wykupujących angielską ziemię, a przynajmniej domy.

Na nasze szczęście antologia tekstów Orwella stoi pierwszorzędnymi polemikami, a nie drugorzędnymi polonikami, chociaż i tych nie brakuje. I znów na nasze szczęście Orwell zdawał się naszą nację raczej lubić.

Można w czytaniu Orwella – publicysty i krytyka – zasmakować, niekoniecznie będąc przy tym smakoszem jego ulubionych tematów. Doceniając zasługi tłumaczy w oddaniu tych smaków po polsku, kończę niniejsze omówienie „Jak mi się podoba” przypisem^[1].

[1] Autorzy polskich przekładów bez żadnych komentarzy w przypisach tłumaczyli pojawiający się w książce kilkakrotnie angielski termin *public schools* dosłownie jako „szkoły publiczne”. Polskie skojarzenia z tym terminem mogą prowadzić do nieporozumień. Najbardziej znanym przykładem angielskiej *public school* jest elitarna i snobistyczna Eaton, do której uczęszczał sam Orwell. Jedyny w całej książce przypis wyjaśniający to terminologiczne dziwactwo jest... autorskim przypisem Orwella. Co też ma swój smaczek.

DOBROSLAW RODZIEWICZ

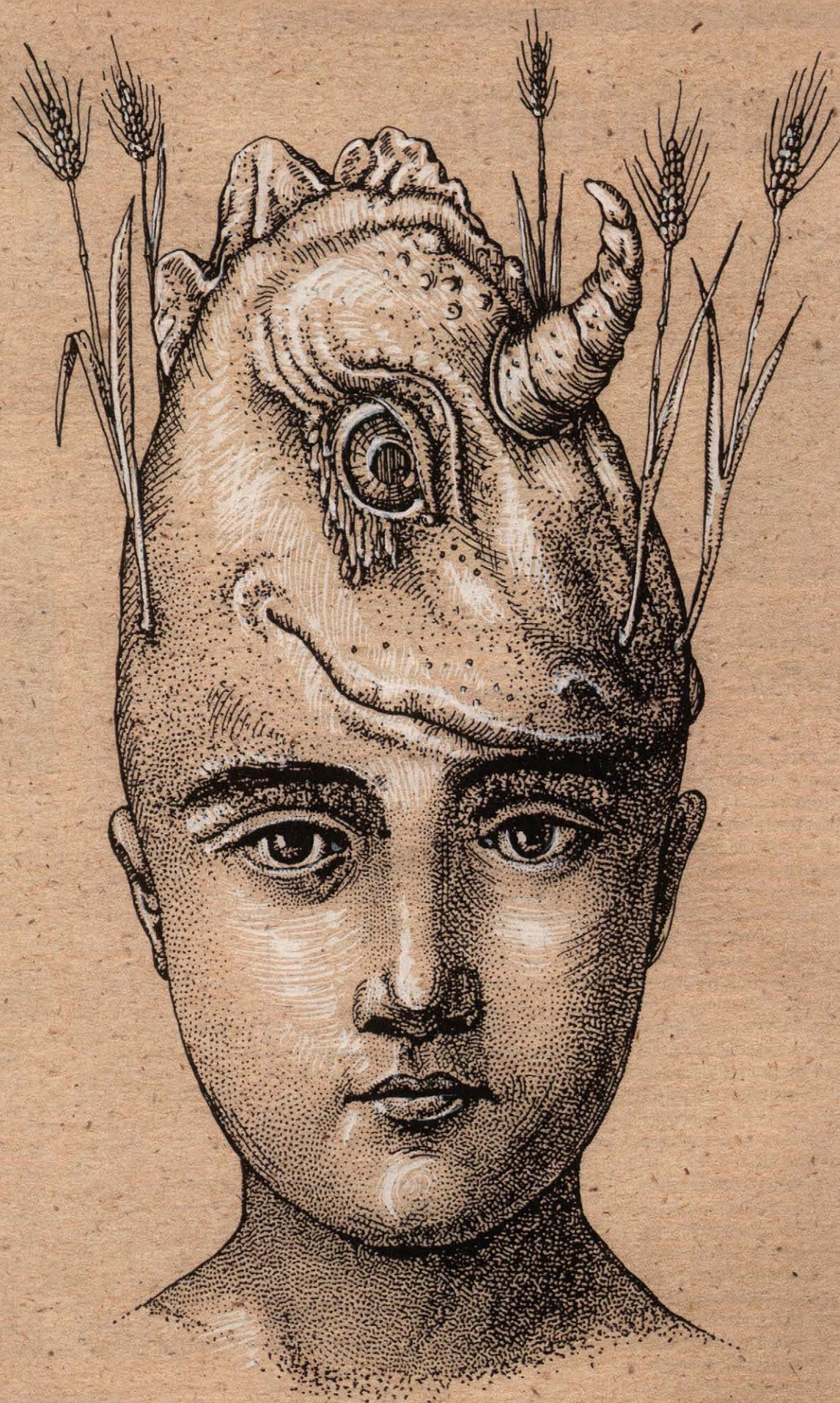
George Orwell „Jak mi się podoba”, przeł. Anna Husarska, Marcin Szuster, Bartłomiej Zborski, Aletheia, Warszawa 2002



Julian Krzyżanowski „Historia literatury polskiej. Alegoryzm – preromantyzm”, PWN, Warszawa 1974; 694 s.

„No, i co wtedy zrobicie?” – spytał mnie Jerzy Pilch i Marian Stala, którym opowiadałem tę niesmaczną historię. Miałem 24 lata, zacząłem właśnie pracę na uczelni i w nagłym zastępstwie dwóch samodzielnych pracowników naukowych prowadziłem na wydziale zaocznym egzamin z historii literatury staropolskiej. Student, który jako pierwszy pojawił się w gabinecie, miał na oko grubo po pięćdziesiątce i wyglądał na tak przestraszonego, że było to dla mnie krępujące. W przedmiocie literatury staropolskiej sam nie czułem się zbyt kompetentny. „Głupstwo, panie magistrze. Niech pan po prostu przepytuje ich z Krzyżanowskiego” – przypomniałem sobie radę profesora S. Niestety, na żadne z pytań, nawet najłatwiejszych (o „Sielanki” Szymonowica, o „Pieśni” Kochanowskiego), mężczyzna po pięćdziesiątce, który stał przede mną, nie potrafił odpowiedzieć, na zmianę błędąc bądź też czerwieńjąc. Wyprowadzony z równowagi otworzyłem jego indeks i sięgnąłem po pióro. „Niestety, muszę postawić panu...” W to, co nastąpiło, zanim wypowiedziałem słowa: „...ocenę niedostateczną”, do dzisiaj trudno mi uwierzyć. Mężczyzna po pięćdziesiątce chwycił moją rękę i nim zdążyłem mu ją wyrwać, trzy razy pocałował mnie w dłoń. „Byle te trójkie, panie profesorze, byle te trójkie” – poprosił błagalnie, a potem zakrył sobie twarz i wstrząsnęło nim bezgłośnie łkanie. „No, i co wtedy zrobicie?” – spytał mnie Jerzy Pilch i Marian Stala. „A jak myślicie?” – ciekaw byłem, czy któryś zgadnie. „Wyp...!eś debila na zbitą mordę!” – nie miał wątpliwości Pilch. Marian Stala, historyk literatury z długoletnią praktyką dydaktyczną, milczał. „Postawiłeś trójkie...” – powiedział wreszcie i w jego głosie zabrzmiała udręka. Miał rację. Postawiłem. Do dzisiaj mi wstyd.

ZBMENTZEL@WP.PL



A.S. BYATT

RYSUNKI DMITRIJ SZEWIONKOW-KISMIEŁOW

Oddech smoka

A.S. Byatt jest jedną z najwyżej cenionych brytyjskich pisarek. Rozgłos przyniosła jej wydana w roku 1990 (wydanie polskie 1998) powieść „Opętanie” wyróżniona prestiżową nagrodą Bookera. „Dzinn w oku słowika”, nowa książka Byatt, to zbiór baśni dla dorosłych, w których pod warstwą fantastycznej – i fascynującej – fabuły kryją się rozważania o sztuce, społeczeństwie, miłości. Przedstawiamy fragmenty jednej z tych opowieści. Całość ukaże się niebawem w wydawnictwie Prószyński i S-ka

Dawno, dawno temu w pewnej otoczonej górami wiosce żyli sobie rodzice z dwoma synami i córką, których imiona brzmiały: Henryk, Jacek i Ewa. Wioska leżała u podnóża góry, a poniżej, w głębokiej misie doliny, rozpościerało się jezioro, kryształowo czyste przy brzegu, czarne jak atrament w niezgłębionym środku. W cieniu górskiego grzbietu rosły gęste świerkowe lasy, wioskę wszelako otaczały kwitnące łąki i sady, i pola zbóż, niezbyt bujnych, lecz wystarczających na potrzeby mieszkańców. Niedostępne szczyty okrywały błękitne cienie lodów i migotliwe płaty śniegu, a zbocza porane były długimi, zstępującymi bruzdami przypominającymi ślady monstrualnego pług. W Anglii koliste wgłębienia wokół niektórych wzgórz przypisuje się uściłkom starożytnych smoków, toteż i w tej krainie powiadano, że wąwozy owe wyrwały w pradawnych czasach potworne gady schodzące z gór. Wieczorami, przy ogniu, rodzice dostarczali dzieciom miłego dreszczyka, opowiadając o płomienistym, rozbrykanym smoczym pochodzie.

Henryk, Jacek i Ewa nie bali się smoków, ale każde z nich na swój sposób obawiało się nudy. Życie w wiosce powtarzało się pokolenie za pokoleniem; ludzie rodzili się, kochali, zostawali rodzicami i dziadkami, umierali. (...)

Henryk był świniopasem, Jacek zaś uprawiał rolę, siał i zbierał. Henryk miał wśród świń swego ulubieńca, młodego wieprzka imieniem

Borys, rozumne stworzenie, które umiało sprytnie się wymknąć i nie spodziewanie wykopać trufle. Jednak nawet igraszki Borysa nie były w stanie złagodzić dojmującej nudy Henryka. Marzył o wielkich miastach za górami, o tłumach zaaferowanych ludzi, barwnych i zajętych. Jacek lubił patrzeć, jak wschodzi zboże, zielone igły w czarnej ziemi, wiedział też, gdzie znaleźć prawdziwkę i leśny miód, lecz i jego nudę przysmaki te łagodziły tylko nieznacznie. Marzył o ogrodach kipiących za wysokimi murami otaczającymi ogromne pałace, o subtelnych smakach, ognistych przyprawach i nieznanym w dolinie napitkach. Marzył także o dzikich tańcach i o ciałach gnących się swobodnie przy wtórze instrumentów, o których tylko słyszał: cytrze, bębnach bongo, fortepianie, dzwonach rurowych.

Ewa tkła kilimy. Mogłaby tkąć we śnie, myślała, i często tak właśnie było; gdy się budziła, w głowie jej się kręciło od powtórzeń i wariantów, skręconych nici, ruchu wątku i osnowy. Śniła o nieznanym kolorach, o fiolecie, cynobrze, turkusie i oranżu, o barwach kwiatów i piór ptasich, o miękkim jedwabiu i mocnej bawełnie. Śniła o sobie, nieco starszej Ewie, ubranej w karmazynowo-srebrną szatę. Śniła o morzu, którego nie umiała sobie wyobrazić, śniła o słonej wodzie, smakując własne niecierpliwe łzy. Nie tkła zbyt dobrze, za mocno naciągała nić i jej wzory marszczyły się, ale taką miała pracę. Była tkaczką; chciała

być podróżniczką, żeglarką, uczoną medyczką, śpiewaczką operową w blasku światła rampy, wśród ryku zachwyconych tłumów.

Możliwe, że pierwszym zwiastunem nadchodzących nieszczęść były relacje myśliwych o niezwykle obfitych lawinach spadających wysoko w góry. A może – jak twierdzili później niektórzy – były to rozgorączkowane, różowe swity lub zachody słońca płonące przesadnym szkarłatem. Stamtąd, znad granicy śniegów, zaczęły dobiegać dziwne pomruki i trzaski, które wieśniacy omawiali, jak zwykli omawiać wszystkie dźwięki, obce i znajome – wielokrotnie i miarowo powtarzając swe uwagi, aż Henryk i Jacek zgryzali zębami z wściekłości na niezmiennosc owych rozmów. (...)

Po pewnym czasie ujrzeni na tle nieba wybrzuszenia, jakby knykcie gigantycznej pięści, sześć pagórków w miejscu, gdzie przedtem nie było nic, sześć pagórków, które mogły mieć wielkość dużych szop albo małych domów. (...)

Pewnego dnia pewna kobieta w ogrodzie powiedziała:

– To wygląda prawie tak, jakby pełzły do nas nie lawiny, lecz żywe stworzenia, wielkie gady; ogromne, kiwające się, tyse łby, guzowate, dziobate i rogate, z pasudnymi, gorącymi, mokrymi ślepiami, tyjącymi czerwienią w wielkich, błotnistych oczodolach; dwanaścioro oczu – widzicie je? – i dwanaście owłosionych nozdrzy na sześciu tępych ryjach z szarego błota.

I po wielu deliberacjach, porównaniach, opisach i dyskusjach nad szczegółami wszyscy już je widzieli, były właśnie takie, jak powiedziała, sześć tłustych, kiwających się, ohydnych łbów ciągnących za sobą ciężkie cielska, tak długie jak droga z ich wioski do sąsiedniej, ciągnących je z trudem, a nawet, zda się, z bólem, nieludzko powoli, lecz nieubłaganie.

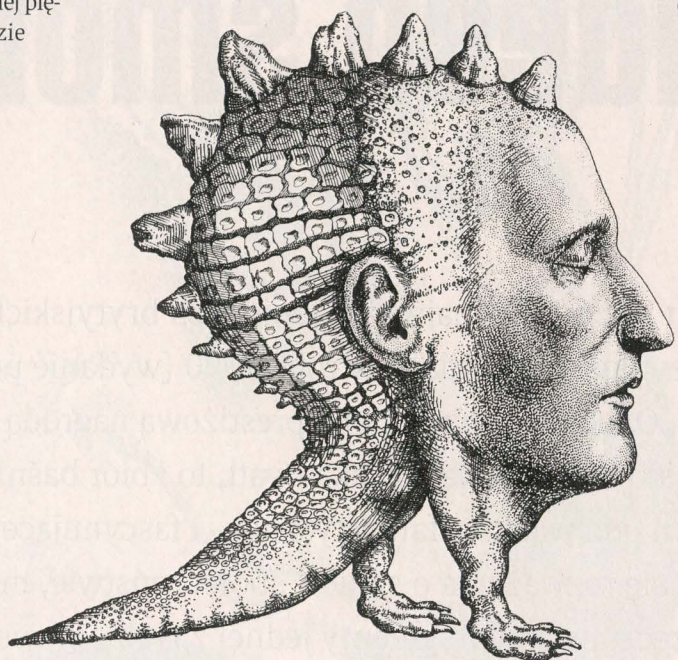
Kiedy się zbliżyły – a powolność, z jaką się posuwały, miała w sobie coś nierzeczywistego, jak ze snu – ujrzeni ich wielkie paszcze, szerokie jak u wielorybów, uzbrojone w sierpowate ostrza, niby straszliwe dzioby z rogu albo chityny, których używały, aby kopać i pożerać kolejne warstwy ziemi i wszystko, co się na niej znajdowało – krzaki, płoty, stogi, drzewa owocowe, kilka owiec, czarno-białą krowę, staw i wszelkie w nim życie. Wsasyły i cięły ze świstem, plując miłąm popiołem, syjąc nim ze straszliwych szczęk, sprawiając, że osiadał na wszystkim dokoła. I w miarę jak się zbliżały, poprzedzając je tuman popiołu pokrywał wszystko w domach i ogrodach, oblepiał okna, wpadał do studni. I popiół ten cuchnął, był niewymownie wstrętny. Z początku mieszkańcy wioski złościli się i próbowali go usuwać, potem jednak przestali, gdyż był to daremny trud, za to zaczęli się bać. Co prawda, wszystko działało się tak wolno, że przez czas jakiś odczuwali zaledwie nierzeczywistość, na poły ekscytującą obawę, później jednak owdłasnili nimi prawdziwy, mdlący, paraliżujący strach, a nastąpiło to wówczas, gdy stwory znalazły się na tyle blisko, że widać było ich oczy w obwódkach śluzu lepkiego niczym roztopiona guma, i ich ogniste jęzory. Owe języki w niczym nie przypominały radosnych, czerwonych proporców, jakie miały smoki na malowidłach w kościele, ani też ognistych mieczy archaniołów. Były to jęzory mokre i rozlazłe, pokryte grubą, przezroczystą skórą; szkarłatne brodawki i kubki smakowe wielko-

ści kapusty żarzyły się na nich niczym węgle, ociekały kleistą, siarczaną mazią, cuchnęły rozpaczą i nieskończonym rozkładem, jakby nigdy, przenigdy, aż do końca świata nie miały się już oczyścić. Odrażające były też ciała gadów, garbate, pełzające, miazdzące, szare, powolne, niewybredne; ich pyski były za wielkie, by można je było zobaczyć w całości, postrzegano je tylko po kawałku. Lecz najgorszy okazał się smród, i to on wywoływał lęk, potem panikę, a potem beznadziejny, rozdygotany paraliż jak u królika w obliczu gronostaja lub u myszy, która widzi węża.

Wieśniacy długo, o wiele za długo, omawiali możliwość zniszczenia wioski i sposoby zabicia potworów lub odwrócenia ich uwagi, dyskusje te wszakże okazały się jałowe i spełzły na niczym. Spierali się o kierunek posuwania się gadów, o to, czy przejdą przez wioskę, czy też ominą ją z tej lub innej strony. Później oczywiście z łatwością przyznali, że wioska od początku leżała na drodze tego straszliwego pochodu, lecz nadzieja zwodzi i inercja zwodzi, trudno bowiem sobie wyobrazić, że zniknie coś, co zdawało się trwałe jak kamień. To też mieszkańcy o wiele za późno powzięli plan ewakuacji i w końcu uciekali w wielkim pośpiechu i zamęcie, biegając tam i sam w zaduchu i dymie smrodliwych oddechów, chwytając dobytek jak popadnie, porzucając jedno, łapiąc drugie, kłębiąc się jak przerażone mrówki w mrowisku. Uciekali do lasu z workami ziarna i garnków, z pierzynami i pościelami boczką, całkowicie oszołomieni bliskością ohydnych stworów. (...)

W końcu Jacek, Henryk i kilku innych młodych mężczyzn wybrało się w stronę wioski, aby z bliska obejrzeć rozmiar i naturę spustoszeń. Niebawem odkryli, że zbliżają się ku ścianie płomieni i wstrętnie cuchnącego dymu, ciągnącej się przez całe hektary pastwisk i pół uprawnych, za którą dostrzegali wielkie, guzowate narośla na łbach potworów, obecnie już bardziej od siebie odległych, rozchodzących się na boki niby spiętrzone wody delty rzecznej. Jacek powiedział do Henryka, że te wachlarzowato rozchodzące się ścieżki raczej nie wróżą, by coś ostało się z wioski. Henryk odparł w roztargnieniu, że wśród dymu poruszają się jakieś postacie, lecz nagle zawołał, że to świny biegające z kwikiem tam i z powrotem. Wtem z dymu, kwicząc i dysząc, wypadła jedna z nich; Henryk krzyknął: – Borys! – i rzucił się w ślad za swym wieprzkiem, który dziko chrząknął i poszarżował z powrotem w ciemność. Jacek ujrzał jeszcze okopcone sylwetki świni i człowieka, po czym usłyszał odgłos potwornego ssania i poczuł tchnienie gorącej pary oraz gęsty, dławiący, ognisty oddech, od którego zatoczył się i zemdlął. Gdy się ocknął, jego skóra była pokryta grubą warstwą lepkiego popiołu i wydawało mu się, że słyszy bulgotanie wrzającej cieczy w gadzim brzuchu.

Przez chwilę myślał, że po prostu będzie tak leżał na drodze zbliżającej się paszczy i zostanie przez nią zagarnięty wraz z polem i żywopłotem. Potem jednak mimo wszystko postanowił uciekać i metr



po metrze, czołgając się i potykając, oddalił się nieco od gada. Wyczerpany i chory leżał przez kilka godzin pod kolczastym krzakiem, po czym podniósł się obolały i wrócił do leśnego obozu. Miał nadzieję, że Henrykowi także udało się wrócić, lecz w gruncie rzeczy się nie zdziwił, gdy okazało się, że tak nie jest. (...)

I pewnego dnia, w podobnie nieokreślony sposób, jak nadeszły, gady skończyły odchodzić, i stało się jasne, że przepadły w jeziorze, pod nim lub za nim, pozostawiając za sobą tylko brutalne ślady ciężkich odwłoków i zapach spalenizny w ziemi, skale i w zmiażdżonym, zwiędłym świecie roślinności.

Gdy wieśniacy powrócili, by z daleka popatrzeć na swą wioskę, zniszczenia zdały się im tyleż powszechne, co równomierne; zmiażdżone domy, wyrwane z korzeniami drzewa, poryta, dymiąca i spopielona ziemia. Błąkali się wśród ruin, grzebiąc wśród cegieł i desek, niekiedy znajdując – jak to ludzie – utracone w zgłiszczach skarby i drobiazgi, monetę, pół książki, pogięty garnek. I niektórzy z tych, którzy zaginęli w początkowym zamęcie, pojawili się teraz z opalonymi brwiami lub poparzonymi twarzami, inni zaś nie. Jacek i Ewa wrócili razem i przez chwilę nie mogli się zorientować, gdzie szukać ruin tego, co było ich domem. Ale gdy okrzyki stertę gruzu, nagle ujrzeni, że ich dom jest nietknięty. Obok niego, równoległe do płotu, przechodził jeden ze smocznych wąwozów, lecz sam płot stał nadal, a za płotem ogród, weranda, drzwi i okna, takie jak zawsze, jeśli pominąć lotny popiół. I Jacek podniósł kamień, pod którym zawsze trzymali klucz; leżał na miejscu, jak zawsze. Weszli więc do domu i oto były – stoły i krzesła, kominek i półka, i krosna Ewy stojące przy oknie na tyłach domu, z którego roztaczał się widok na zbocza

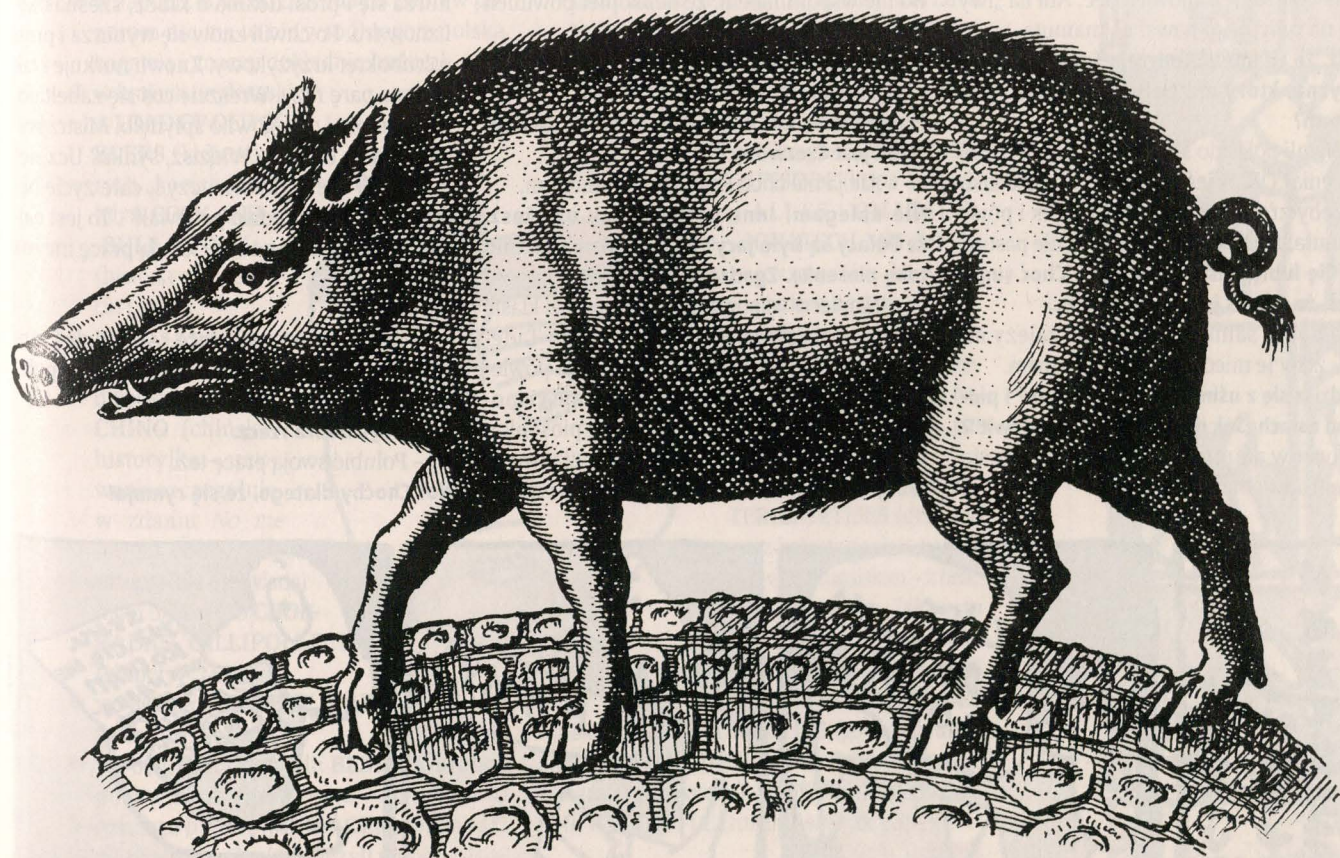
i szczyty gór. Wówczas za tylnymi drzwiami rozległ się ciężki łomot, a kiedy Jacek je otworzył, ujrzał wieprzka Borysa z lekko zwieszoną głową, pachnącego pieczoną wieprzowiną, bez jednego włoska na osmalonym grzbiecie, z radosnym, powitalnym wyrazem w małych, głęboko osadzonych ślepkach.

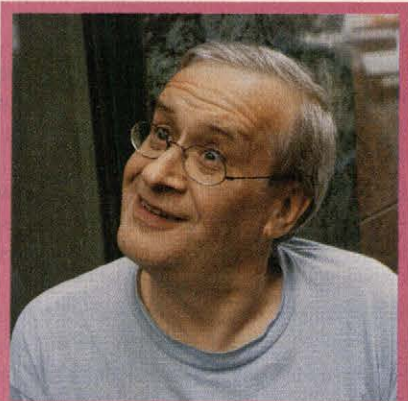
Widząc, iż wieprzek jakimś cudem uniknął smocznych oddechów i ognistych jęzorów, powzięli nadzieję, że wróci także Henryk. Czekali z nadzieją całe dni i miesiące, całe lata, wbrew rozsądkowi. Ale nie wrócił. (...)

Wieśniacy odbudowali swoją wioskę; ocalone rzeczy w ocalonym domu otoczyły nowe domy, gdzie w ogrodach kwitły nowe kwiaty, wschodziły nowe warzywa i przyjmowały się nowe sadzonki. Ludzie zaczęli snuć opowieści o gadach schodzących z gór i opowieści owe także były przeciwieństwem nudy. Popiół i wstrętny oddech, miazdzenie i pożeranie stawały się w nich ciekawe, podniecające, zgoła piękne. Pewne rzeczy przeszły do legendy, o innych nie mówiono wcale. Jacek opowiadał o porywczej odwadze Henryka, który rzucił się w kłęby dymu, ażeby ratować wieprzka, ale nikt nie wspominał o codziennej udręce oczekiwania i wciąż malejącej nadziei na jego powrót. Świętowano przedsiębiorczość wieprzka, który tak dzielnie się uratował, lecz nie jego przyszły los, nieuchronny w tych ciężkich czasach. A wszystkie te opowieści stworzone przez ludzi zdumionych swoim ocaleniem stały się z czasem zaklęciami przeciwko nudzie dla ich dzieci i wnuków, zagadkowymi zwiastunami prawdziwych związków, jakie istnieją między spokojem, pięknem i przerażeniem.

A.S. BYATT

Przełożyła BARBARA KOPEĆ-UMIĄSTOWSKA





inne pytania

Helikopter powinien być czerwony

MARIA CZUBASZEK: Polujesz?
JANUSZ WEISS: Nie.
Na nic?

- Aaa! Doprecyzowałaś pytanie. Bo w potocznym rozumieniu, kiedy ktoś pyta, czy polujesz, ma na myśli faceta ze strzelbą i jakąś zwierzynkę. I w tym sensie nie poluję.

Na żadną zwierzynkę?
- Na żadną.

Chcesz powiedzieć, że również nie wędkujesz?

- Nie boję się tego powiedzieć. Ani na „lwy by, ani na ryby”. Ani nawet na mamuta.

A wiesz, że zdaniem Andrzeja Sapkowskiego mężczyzna, który nie poluje i nie łowi, jest mutantem?

- Bo woli pójść do sklepu i kupić sobie coś do jedzenia? OK. A jeśli on czuje w sobie taką chęć, żeby zrobić krzesiwo i toporek i pójść na mamuta, to też OK! Ale mnie to nie pasuje. I za to Cię lubię. Jeszcze bardziej. Choć sugerowałaś, że na coś jednak polujesz...

- Na dobre samopoczucie. Bo zależy mi na tym, żeby je mieć. A nie zawsze mam.

Nie budzisz się z uśmiechem na twarzy? I piosenką na ustach „Jak dobrze wstać skoro świt”?

- Nawet w najmniejszym zakresie. Ja się w ogóle trudno budzę.

Większość śpi

Janusz Weiss, satyryk, radiowiec, w rozmowie z Marią Czubaszek

Jesteś z tych, którzy jak Andrzej Poniedziałki, niezależnie, o której wstaną, budzą się o drugiej po południu?

- Blisko. Po pierwsze bardzo późno się kładę. Dzięki czemu przedłużam wczorajszy dzień. Po północy wciąż dla mnie jest ten poprzedni. I te nocne godziny są najlepsze. Jest ciemno, cicho i spokojnie. Większość naszego społeczeństwa śpi i nic mnie nie może zaskoczyć, nic nie może się zdarzyć złego.

A rano?

- To już zupełnie co innego. Na pewno jest to postawa raczej pesymisty. Obca ludziom, którzy szybko kończą dzień, cudownie zadowoleni przykładają głowę do poduchy i już śpią.

Bo jutro też będzie dzień? Dobry bardzo?

- Właśnie. I dlatego rano, zanim otworzą oczy, już są szczęśliwi. Ja tego nie mam.

A gdybyś miał możliwość przez dzień być kimś innym? Chciałbyś być...

- Helikopterem.

Bo lata?

- Nie. Bo to ładne jest.

Ty nie jesteś ładny?

- Też jestem. Ale nie jestem czerwony. Aha! Bo nie wspominałem, że helikopter powinien być czerwony.

Trzeba było od razu tak mówić.

- Dla mnie to oczywiste.

Przepraszam. Dla mnie jest oczywiste, że Kapturek jest Czerwony.

- Ale ja nie chciałbym być Kapturem.

Nie nalegam. Inne pytanie. Czy uważasz, że Polacy są byle jacy? Bo słyszałam ostatnio taką piosenkę. Zgadzasz się z tym?

- Najpierw wspomnienie. W siódmej klasie pani spytała mnie, dlaczego w „Panu Tadeuszu” ktoś coś komuś powiedział, a ja powiedziałem, że inaczej by się poecie nie rymowało. Myślę, że podobnie jest z tą piosenką. „Polacy są byle jacy” to świetny szlagwort. A czy ma jakiś sens? Nie prowadziłem i nawet

nie znam żadnych badań na ten temat, więc nie umiem i nie mam prawa odpowiadać arbitralnie, czy Polacy są tacy, czy owacy.

Też się rymuje.

- Ale na szlagwort mniej pasuje.

Lecimy rymami? Przepraszam. Wiem, że wolałbyś czerwonym helikopterem.

- Niekoniecznie lecieć. Powiedziałem, że ewentualnie chciałbym robić za helikopter.

A co najbardziej lubisz robić?

- Nic.

I gdybyś nie musiał robić czegoś zarobkowego...

- To bym nic nie robił. Społeczeństwo na wysokim stopniu rozwoju uznaje, że pewni ludzie muszą być i żyć, i sponsoruje ich. To jest bardzo dobry model i żałuję, że do tego jeszcze nie doszliśmy. Zwłaszcza gdyby mnie zaliczono do takich, byłbym bardzo szczęśliwy.

Czy to znaczy, że nie lubisz swojej pracy?

- Może Cię zaskoczę, ale lubię.

Nie zaskoczyłeś mnie. Zdaniem amerykańskich psychologów każdą pracę można pokochać.

- Poważnie? Bo był taki żart. Mistrz kanalarski zostaje wezwany do zatkanego szamba. Rozebrał się do slipów i nurkuje. Po chwili wynurza się i prosi ucznia o klucz, szesnastkę. I znów fru. Po chwili znów się wynurza i prosi o śrubokręt krzyżykowy. Znowu nurkuje i tak jeszcze parę razy. Wreszcie coś się zabełtało, zabulgotało i całe gówno spłynęło. Mistrz wychodzi i do ucznia: „Widzisz, synku? Ucz się! Bo jak się nie będziesz uczyć, całe życie będziesz tylko narzędzia podawał!”. To jest najlepszy przykład na to, że każdą pracę można pokochać.

A poważnie?

- Też lubię swoją pracę. Ale gdzieś tam są te marzenia o sponsorowaniu przez społeczeństwo.

Pomarzyć dobra rzecz.

- Polubić swoją pracę też.

No! Choćby dlatego, że się rymuje!

daje słowo

Bo tak

„Bo” uzasadnia. Dobrze się czuję, bo jestem zdrowy. Albo: Jestem zdrowy, bo się dobrze czuję. Pierwsze to skutek, drugie to przyczyna. Bo jak jestem zdrowy, to się dobrze czuję. Bo jak się dobrze czuję, to mogę powiedzieć, że jestem zdrowy.

Proste, naturalne, bezpretensjonalne. Lepsze od różnych bowiemów i ponieważ. Krótkie, bo krótkie, ale wymowne.

Łączy przyczynę ze skutkiem. Można powiedzieć: wprowadza przyczynę. Ale różne te przyczyny bywają. Bo można powiedzieć: „Nie, bo nie”. Niezbyt to grzeczne, ale da się słyszeć. A na pytanie: „Dlaczego?”, mogę usłyszeć, zwłaszcza od kogoś mocniejszego i mało delikatnego, odpowiedź: „Bo tak!”. I już.

Miałem gdzieś iść, ale nie poszedłem. „Nie poszedłem, bo pomyślałem sobie: co będę szedł”. I nie poszedłem. Była przyczyna. Albo



raczej – miejsce na przyczynę. Taka struktura przyczynowa bez przyczyny w środku.

„Bo tak mi się podobało”. „Bo takie są moje obyczaje”. „Bo tego chcę i już”. „Bo tak ma być”. Tak mówię, kiedy czuję się pewny siebie i swego.

Czasem usprawiedliwia mniej pewnych. „Co tam się dzieje?” – pyta nauczycielka. „Bo, proszę pani, on się przeżywa”. Na przykre pytanie: „Dlaczego to zrobiłeś?!” – bąkam „bo” i dodajemy „bo tego... no... wiesz, bo tak jakoś wyszło...”.

A na inne pytania, na które nie znamy odpowiedzi, możemy refleksyjnie zareagować: „Bo ja wiem?”.

Jerzy Bralczyk

Kici Kici

Jak określić coś niezbyt mądrego

Zestaw niezbędnych wyrażen i zwrotów w różnych językach świata

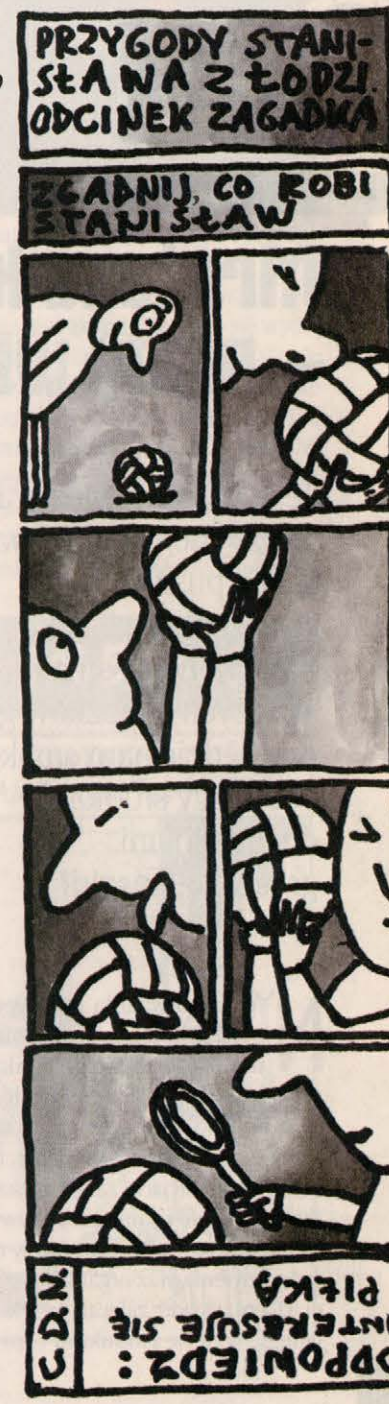
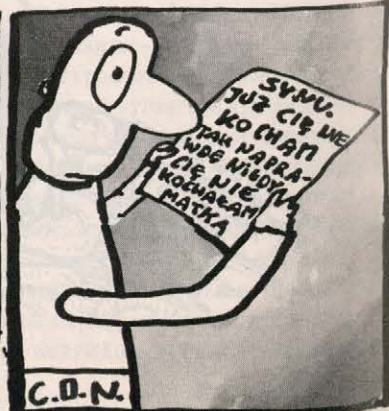
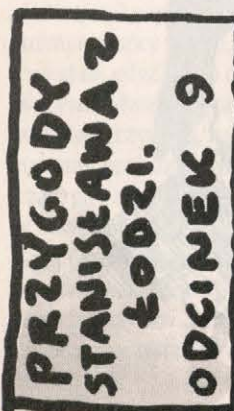
- w Polsce: STEK BZDUR, DUBY SMALONE, BANIALUKI, BREDNIE, BAJANIE, BAJDURZENIE
- w Szwecji: SMÖRJA, SMAR (wyraz – poza bzdurą – oznacza też kicz)
- w Japonii: BAKAGETA KOTO (wbrew pozorom nie ma to nic wspólnego z polską bagatelą i znaczy dokładnie bzdura)
- w krajach anglosaskich: A LOAD OF OLD COBBLERS (ładunek starych „kocih łbów”) lub A COCK-AND-BULL STORY (historia o kociu i byku)
- w Hiszpanii i Ameryce Południowej: CUENTO CHINO (chińska historyjka – używane szczególnie w zdaniu No me vengas con cuentos chinos – nie opowiadaj mi tu bzdur) lub CHORRADAS, GILLIPOLLECES (głupoty)
- we Włoszech: FESSERIE, PANZANA (głupoty, kłamstwo)
- w Portugalii i Brazylii: BESTEIRA (choć pochodzi od słowa besta – zwierzę – to oznacza bzdurę), BOBAGEM (pochodzi od przymiotnika bobo, czyli głupi, i ozna-

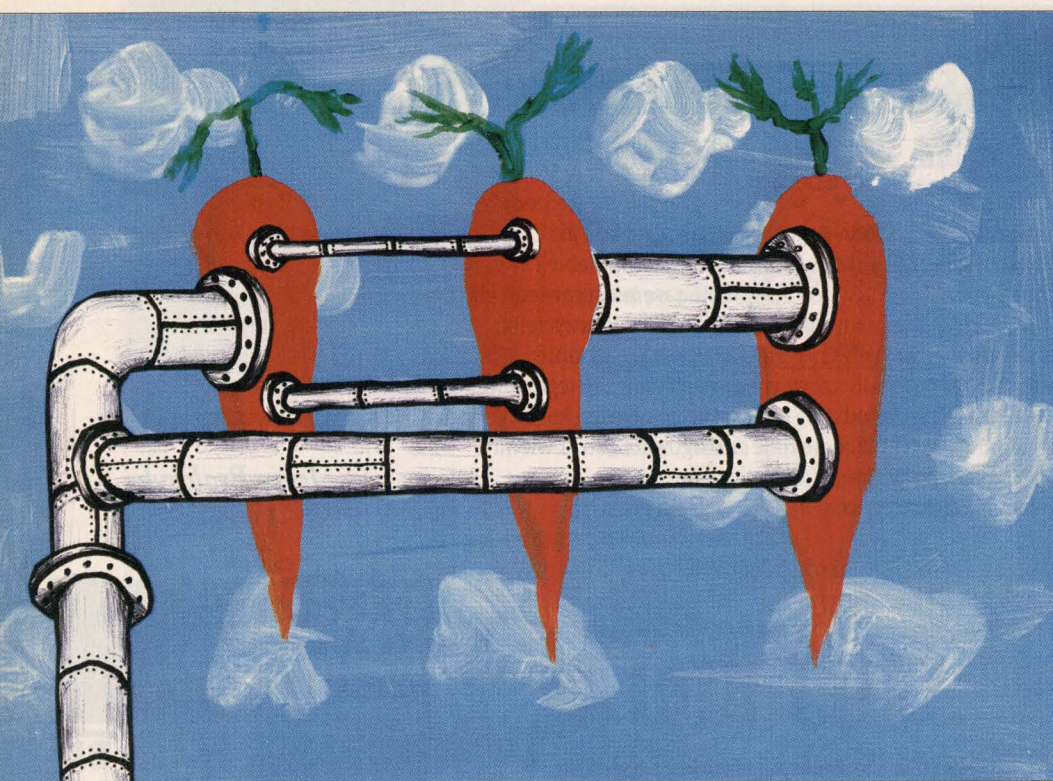
cza głupoty), CONTO DA CAROCHINHA (historyjka, opowiadka Carochinhii: Carochinha – bohaterka bajki dla dzieci – wybiera sobie męża spośród szczura, świni, lisa etc. Cechą charakterystyczną tego sformułowania jest to, że każdy dorzuca w opowieści coś od siebie – jak podczas gry w głuchy telefon lub zabawy przyjaciół André Bretona w surrealistyczny ciąg niepowiązanych ze sobą zdań)

- w Niemczech: EIN HAUFEN UNSINN (kupa bzdur), ALLES QUATSCH, QUATSCH MIT SOSSE (wszystko bzdura, bzdura z sosem)

- w Turcji: SAMA SAPAN (to wyrażenie powstało na bazie określenia „gadać bzdury”)

- we Francji: RADO-TERIE, BETISES (głupoty, wyraz kojarzący się – podobnie jak w portugalskim – z bete, czyli zwierzęciem, jakby to zwierzaki były czemuś winne...), DIRE DES ABSURDITÉS/DES IMBÉCILLITÉS, RACONTER DES ANÉRIDES/DES SORNETTES (gadać absurd, głupoty), DIVAGUER (wbrew pozorom, to nie znaczy dywagować), RAISONNER COMME UNE PANTOUFLE (rozumować jak pantofel)





rys. MARIUSZ WILCZYŃSKI

Mrożona kuchnia polska – nigdy więcej!

Jeśli lubimy świeże raki, to czy mogą smakować nam raki z puszki? Jeśli zachwylił nas kiedykolwiek smak świeżych strączków groszku, czy będzie nam smakować cuchnący środkami chemicznymi groszek z puszki?

Niedawno wpadła mi w ręce „Kuchnia polska” wydana przez Polskie Wydawnictwo Gospodarcze. Brak w niej stronometrykalnych, więc nie wiem dokładnie, kiedy ją wydano, lecz sądzę, że był to przełom lat 50. i 60. Jest to dzieło poważne, o encyklopedycznych ambicjach, zarazem naznaczone troską o higienę i racjonalność żywienia. W obszernym wprowadzeniu autorzy omawiają zasady żywienia oraz organizacji pracy w kuchni. Dla przykładu, zalecają taką kolejność działań: „1) wyjęcie produktów i sprzętu na stół;

2) wykonywanie prac przygotowawczych przy stole; 3) nadzór nad ciepłym przerobem potraw; 4) wykończanie potraw; 5) podawanie ich do stołu; 6) zmywanie naczyń”. Można się domyślać, że odwrócenie tej kolejności byłoby równoznaczne z brakiem naukowego światopoglądu, być może nawet religijnym obskurantyzmem.

Ideologia gra bowiem niemałą rolę w „Kuchni polskiej”. We wstępie czytamy, że „problem racjonalnego żywienia nie był i nie mógł być prawidłowo rozwiązany w Polsce kapitalistycznej, gdzie istniała ogromna dysproporcja między złym odżywianiem się szerokich mas ludności a luksusowym odżywianiem się uprzywilejowanych grup ludności”. Trudno nie przyznać racji autorom: powrót do kapitalizmu przejawia się między innymi wysoką konsumpcją *junk foodu* – chipsów, batonów czekoladowych, hamburgerów, hot dogów, ponurych trawestacji pizzy, a także „zestawów grillowych”. Nie słabnie popyt na prefabrykaty – rozmaite wegety, puszkowane warzywa i owoce morza, mrożone frytki itp. Lecz nie trzeba zaliczać się do „uprzywilejowanej grupy ludności”, żeby nie jeść tych świństw. Wystarczy odrobina troski o higienę i racjonalność żywienia.

Troska ta towarzyszy mi przy lekturze książek kucharskich. Skupiam się najpierw

na składnikach danego przepisu, gdyż po nich poznaję, czy warto go wypróbować. W tym duchu przeczytałem specjalny numer pisma „Kuchnia”, zatytułowany „Polskie jadło”. Bardzo solidna robota, sensowne przepisy na tradycyjne dania, ale muszę zgłosić kilka obiekcji.

Po pierwsze, do karpia w galarecie i kilku innych ryb autorzy polecają przybranie z groszku, co zrozumiałe, lecz groszek pochodzi z puszek, czego już pojąć nie potrafię. Rozumiem, że chodzi o tradycję, lecz tradycję trzeba modyfikować, odchodząc od rzeczy z natury swej obrzydliwych, a taką jest groszek w puszcze, jak również każde inne warzywo lub owoc w puszcze z wyjątkiem pomidorów (na sos). Co więcej, każde warzywo mrożone jest niedobre, z wyjątkiem groszku.

Razi na fotografii udźca jagnięcego przybranie z ewidentnie mrożonej fasolki szparagowej. Przeraza w przepisie na sandacza *à la Radziwiłł* obecność szyjek rakowych z puszek. Proszę Państwa, sprawa jest prosta. Jeśli lubimy świeże raki, to czy mogą nam smakować raki z puszek? Czy jeśli zachwylił nas kiedykolwiek smak świeżych strączków groszku, smakować nam będzie cuchnący środkami chemicznymi, groszek z puszek? Tylko to, co świeże i w sezonie, godne jest uwagi kucharza.

W którymś z przepisów w „Polskim jadle” napotkałem wegetę. Wegeta i podobne jej odmiany glutaminianu sodu nazywane są w Ameryce „zemstą Chińczyków”. Przez wiele lat używano ich w chińskich restauracjach w USA, lecz narastający sprzeciw konsumentów sprawił, że wyszły z użycia. Skąd to świństwo w zdrowej chińskiej kuchni?

Na początku ubiegłego stulecia Amerykanie zmusili Chińczyków i Filipińczyków do kupienia wielkich nadwyżek produkcyjnych glutaminianu sodu (podobnie jak sto lat wcześniej Anglicy, zdelegalizowawszy u siebie opium, wciśnęli cały zapas Chińczykom, co doprowadziło do wojny opiumowej). Zemstą było powszechne zaprawianie chińskich potraw tym środkiem chemicznym. Apeluję do Państwa poczucia narodowej suwerenności, nie tylko dobrego smaku: nie używajcie tego typu chemikaliów, a już nigdy nie zamieszczajcie ich w przepisach publikowanych w wysokim nakładzie.

I jeszcze dwa zdania o sprzeciwie konsumentów. Wiadomo, że w sklepie jest to, co się dobrze sprzedaje. Jeśli konsumenci będą się domagać świeżych ryb i owoców morza lub szparagów przez cztery miesiące w roku, a nie cztery tygodnie, to zarówno handlowcy, jak i hodowcy na to zareagują. Wymagania te muszą jednak znaleźć właściwą trybunę, tę zaś stanowią przede wszystkim czasopisma kulinarne, programy telewizyjne i popularne książki kucharskie. Jeśli przemówimy głośno i dobitnie, to chemikalia i prefabrykaty ustąpią miejsca zdrowej żywności.

TADEUSZ PIÓRO

MILCZENIE JEST GRZECHEM

W numerze 19. „Przekroju” opublikowaliśmy tekst Andrzeja Saramonowicza „Milczenie jest grzechem”, w którym autor krytycznie odnosi się do wstrzemięźliwości, z jaką Kościół, w tym również Papież, komentują ujawniane fakty pedofilii wśród kapłanów amerykańskich. Autor wyznał, że sam, jako dziecko, padł ofiarą takiego molestowania ze strony swojego proboszcza. Publikujemy wybrane reakcje na ten tekst oraz uwagi Rady Etyki Mediów.

WAŻNY TEMAT, WAŻNE WĄTPLIWOŚCI

Artykuł Andrzeja Saramonowicza przerywa milczenie w sprawie pedofilii wśród duchowieństwa. Podzielim intencję autora i zgadzam się z argumentacją przeprowadzoną w pierwszej części artykułu. Jednocześnie zaszokowało mnie oskarżenie o pedofilię nieżyjącego od sześciu lat ks. Olgierda Nassalskiego, mojego wychowawcy, a później przyjaciela.

Autor opowiada o wydarzeniu ze swego dzieciństwa jako ofiara i jedyny świadek – przestępstwa seksualne rzadko bowiem popełniane są w obecności innych ludzi. Mimo że byłem z Andrzejem Saramonowiczem na tym samym obozie w Licheniu w roku 1976, moje zasadniczo różne wspomnienia nie mogą świadczyć przeciw prawdziwości jego świadectwa. Mogą jednak rzucić pewne światło na tamte wydarzenia i dlatego chcę je przytoczyć.

Andrzej Saramonowicz opisuje, że podczas obozu letniego ks. Nassalski wziął go do swojego pokoju i za zamkniętymi drzwiami ściągnął mu spodnie i majtki, by obejrzeć geni-

talia. Ksiądz był ubrany w sutannę. Autor nie wspomina, żeby go wówczas dotykał. Nie wiem, co działo się wtedy w głowie księdza, ale dobrze pamiętam, że w Licheniu były kleszcze i że ks. Nassalski usuwał mi kleszcza bodajże z pachwiny, co było dla mnie, wówczas 10-latka, niezwykle krępujące, niemniej konieczne z medycznego punktu widzenia (na obozie nie było lekarza, natomiast ks. Nassalski miał pewne przygotowanie medyczne). Być może przebadani przez niego chłopcy drapali się w tych miejscach – nie wiem. Nic dziwnego, że Andrzej Saramonowicz czuł się w tej sytuacji skrępowany – pamiętam swoje własne zażenowanie. (...)

Kłopot z pozostałymi przykładami domniemanego molestowania polega na tym, że przydarzyły się one innym osobom, które Andrzej Saramonowicz pamięta z dzieciństwa (...). Z artykułu nie wynika jednak, by rozmawiał z nimi ostatnio – wydaje się, że opiera się na wspomnieniach sprzed ponad ćwierćwiecza, kiedy sam miał 10 lub 11 lat. Opisuje wkładanie ręki pod spodnie w zaciemnionej salce katechetycznej (...). Jednak pisze o tym w liczbie mnogiej, nie twierdząc, że ksiądz Nassalski akurat jego obmacywał. Może więc opisuje tylko fantazję chłopców, w której katecheta mógł odgrywać rolę zboczeńca? Czy ktoś z uczestników katechezy, dziś już dorosłych, potwierdza, że był przed laty obmacywany przez księdza?

W relacji Andrzeja Saramonowicza ks. Nassalski miał często rozdawać obrazki, by ocierać się o uczniów. Pamiętam, że często łapał za rękę rozbiegane dzieci, kładł dłoń na ramieniu, kiedy do kogoś z nas mówił, itp. Był zdecydowany, ale nie podnosił głosu. Nie pamiętam

żadnych zachowań, które wówczas lub teraz odbierałbym jako erotyczne. W wieku około 10 lat, przed wyjazdem na wycieczkę, nocowałem u ks. Nassalskiego w pokoju i mogę tylko stwierdzić, że zachował się wobec mnie nienagannie i że spaliśmy na oddzielnych posłaniach. Przypuszczam te wspomnienia jako własne świadectwo. Oczywiście nie stanowi ono zaprzeczenia świadectwa Andrzeja Saramonowicza.

Rzekome pedofilskie skłonności księdza miały w końcu wyjść na jaw, kiedy podczas parokrotnych odwiedzin u chorego kolegi autora wkładał mu rękę pod kołdrę. Kolega powiedział o tym mamie, ta skontaktowała się z innymi rodzicami, a Andrzej Saramonowicz musiał opowiedzieć w domu o tym, co go spotkało na obozie. Rozmowa z rodzicami uświadomiła chłopcu, że padł ofiarą seksualnego nadużycia. Rodzice zdecydowali, że ze względów politycznych nie mogą wywołać skandalu. Zapadło wieloletnie milczenie, które autor postanowił przerwać swoim artykułem.

Musiło to być trudne ze względu na panujące w Polsce obyczaje – rzadko i niechętnie rozmawia się o seksualności w sposób rzeczowy. W tej sytuacji artykuł Andrzeja Saramonowicza dokonuje ważnego wyłomu. Jednocześnie nasuwa wiele pytań i rodzi wątpliwości.

Dziecko padające ofiarą molestowania seksualnego może nie rozumieć tego, co się wydarzyło. Sprzyja to bezkarności napastującego, a także utrudnia jednoznaczne odtworzenie wydarzeń i ustalenie zamiarów. Nie zawsze jest łatwo ocenić zachowania osoby dorosłej na podstawie relacji dziecka, zwłaszcza jeśli zachowanie to nie ma cech jawnie seksualnych (na przykład „ocieranie się”). Wyznanie dziecka trzeba samemu zinterpretować i pomóc je

„REDAKTOR WSZĘDOBYSLSKI” — ANDRZEJ MLECZKO.

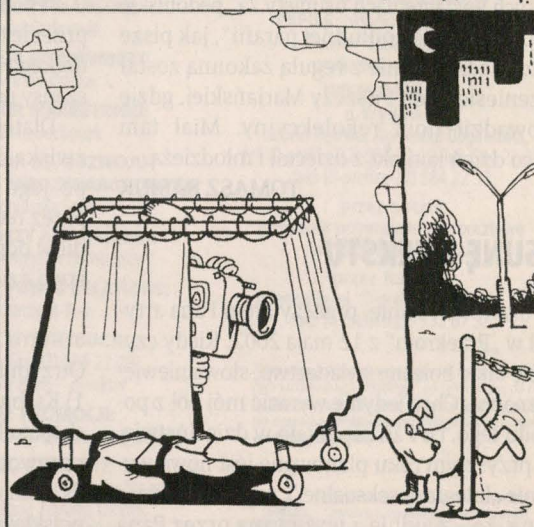
NAJWAŻNIEJSZE DLA REPORTERA JEST POKAZANIE PRAWDY O ŻYCIU BEZ RETUSZÓW I ZAFASZOWAŃ.



NIESTETY, ZDARZA SIĘ, ŻE JUŻ SAM WIDOK KAMERY DEPRYMUJE I NIE POZWALA SIĘ WYLIZOWAĆ.



DLATEGO CZĘSTO JEDYNYM WYJŚCIEM JEST WYKORZYSTANIE UKRYTEJ KAMERY.



Andrzej Mleczko

zinterpretować dziecku. Andrzej Saramonowicz, któremu rodzice uświadomili, co się stało, a następnie wybrali milczenie („popelnili błąd, ale rozumiem też, co nimi wówczas kierowało”), miał niewątpliwie prawo opowiedzieć swoją historię. Nam zaś wolno się zastanawiać, czy z tej opowieści wynikają fakty, do których przekonuje nas autor.

Nie posądzam Andrzeja Saramonowicza o konfabulację. On rzeczywiście uważa się za ofiarę molestowania. Jest możliwe, że był molestowany. Nie zmienia to faktu, że jego relacja jest nierzetelna. Skoro osądza konkretną osobę na podstawie zdarzenia, które przytrafiło się jego koledze przed 25 laty, to czy nie powinien wyjaśnić, kiedy z tym kolegą ostatnio rozmawiał i co ten kolega powiedział na ten temat jako osoba dorosła? Czy któryś z kolegów z lekcji religii potwierdził jako człowiek dorosły, że ks. Nassalski wkładał mu kiedyś rękę w spodnie? Od odpowiedzi na te pytania zależy nie tylko pamięć o zmarłym, lecz także etyczna postawa autora artykułu. Czy to możliwe, że doświadczony dziennikarz tych pytań nikomu nie zadał? Dlaczego powołuje się wyłącznie na swoje wspomnienia, skoro opowiada o zdarzeniach, w których nie uczestniczył? Czy wolno, wytaczając takie oskarżenia, nie wyjaśnić wszystkiego? Złazszcza że opisując to wydarzenie, w którym sam brał udział, autor nie opisuje czynu jednoznacznie seksualnego.

Nie zaprzeczam relacji Andrzeja Saramonowicza, ale oczekuję odpowiedzi na te pytania. Chodzi mi o prawdę o bliskim mi człowieku. Chodzi mi również o poziom dyskusji o wykreśleniach seksualnych. Cieszy mnie, że temat został podjęty. Martwi mnie, że został podjęty – w moim odczuciu – nierzetelnie i że ofiarą tej nierzetelności mógł paść człowiek niezwykle miary, który w swojej obronie nie może już nic powiedzieć. Zależy mi, żeby przełamywanie milczenia w trudnej sprawie pedofilii nie pociągało za sobą niesprawiedliwych oskarżeń.

I jeszcze jedno: ks. Nassalski nie został po tych wydarzeniach usunięty za „pedofilskie skłonności” do „odludnej parafii”, jak pisze autor, lecz zgodnie z regułą zakonną został przeniesiony do Puszcy Mariańskiej, gdzie prowadził dom rekolekcyjny. Miał tam na co dzień kontakt z dziećmi i młodzieżą.

TOMASZ BASIUK

USUNĘ Z TEKSTU

Szanowny Panie, przeczytałem Pana artykuł w „Przekroju” z 12 maja 2002. Kiedy czyta się takie bolesne świadectwo, słowa niewiele znaczą. Chcę jedynie wyrazić mój ból z powodu tego, co Pana spotkało w dzieciństwie. W przyszłym roku planowane jest nowe wydanie „Integracji seksualnej”, zapewniam więc Pana, że – zgodnie z wysuwana przez Pana

sugestią – usunę z tekstu i z bibliografii cytowaną książkę „Jak pracować nad charakterem”. Z wyrazami szczerzego szacunku

JÓZEF AUGUSTYN SJ

UWAGI RADY

Sz. Pan Roman Kurkiewicz
Redaktor Naczelny Tygodnika „Przekrój”

W związku z niedawną publikacją na łamach Pańskiego pisma tekstu Andrzeja Saramonowicza pt. „Milczenie jest grzechem” („Przekrój” nr 19 z dnia 12 maja br.) Rada Etyki Mediów pragnie przekazać dwie uwagi.

1) Rozważania p. Saramonowicza na temat nauczania Jana Pawła II w kwestii katolickiej etyki seksualnej, a zwłaszcza – na temat jego stanowiska wobec ujawnianych ostatnio nadużyć seksualnych księży katolickich, zajmujące większą część tekstu i wyeksponowane przez identyfikującą się z nimi w ten sposób redakcję, opierają się w wielu punktach na elementarnej nieznajomości bądź niezrozumieniu wypowiedzi i dokumentów papieskich. Uważamy, że pismo opiniotwórcze, zabierając głos na tak ważny społecznie temat, powinno przestrzegać – zapisanych w Karcie Etycznej Mediów – zasad prawdy i poszanowania dobra odbiorcy, zwłaszcza gdy w grę wchodzi atakowanie wielkiego autorytetu moralnego.

Nawet jeśli fakty sprzed 30 lat przytaczane przez p. Saramonowicza są prawdziwe, mogą one wprawdzie usprawiedliwiać jego subiektywne poczucie krzywdy, ale w żaden sposób nie usprawiedliwiają tak uproszczonych i uogólnionych sądów wypowiedzianych pod adresem papieża.

2) Pan Saramonowicz ma oczywiście prawo ujawnić publicznie swoje przykre doświadczenia z dzieciństwa, ale budzi stanowiący sprzeciw moralny ujawnienie przez niego z imienia i z nazwiska – oraz opublikowanie przez redakcję zdjęcia – nieżyjącego już, a oskarżanego o naganne zachowania księdza.

Jeśli oskarżenia są fałszywe, zmarły nie ma przecież żadnej możliwości obrony swego dobrego imienia, a jeśli są prawdziwe – nie ma szansy przeprosić za swoje chore zachowania.

Dlatego w podaniu pełnego imienia i nazwiska oskarżanego księdza – w sześć lat po jego śmierci – oraz w opublikowaniu przez redakcję jego fotografii Rada Etyki Mediów dopatruje się istotnego złamania zasad etyki dziennikarskiej.

Sekretarz Rady Etyki Mediów
CEZARY GAWRYS

Otrzymują do wiadomości:

1) Ks. bp Piotr Libera, Sekretarz Generalny Episkopatu Polski 2) Ks. bp Sławoj Leszek Głódź, przewodniczący Rady Episkopatu Polski ds. mediów 3) Ks. Andrzej Pakuła, przełożony polskiej prowincji Księży Marianów.

Od red.: Skład Rady Etyki Mediów – Magdalena Bayer, przewodnicząca, Cezary Gawrys, Maciej Łukasiewicz, prof. Jacek Kurczewski, dr Tadeusz Kononiuk, Piotr Wojciechowski, Józefa Hennelowa, Rafał Wieczyński

ODPOWIEŹ REDAKTORA

Z uwagą przeczytałem list Rady Etyki Mediów, jaki skierowała pod moim adresem. Uważam za całkowicie nieuzasadnione i nieuprawnione przypisanie tekstowi Saramonowicza nieczystych intencji „atakowania wielkiego autorytetu moralnego”.

Andrzej Saramonowicz ma prawo posiadać poglądy na temat konkretnych wypowiedzi Papieża, komentującego ujawnione przypadki molestowania dzieci przez kapłanów amerykańskich. Ma prawo je upubliczniać. Ma to prawo niezależnie od tego, że sam padł w dzieciństwie ofiarą takiego nadużycia ze strony kapłana. Albo nawet ma takie prawo tym bardziej.

Zmarły ksiądz miał ponad 20 lat na ewentualne przeprosiny za swoje chore zachowania. Nie zrobił tego. Jego milczenie oraz milczenie osłaniających go przełożonych nie może chronić go na wieczność przed ujawnieniem prawdy, o którą skądinąd woła Rada. I w moim rozumieniu właśnie takie milczenie budzi prawdziwy sprzeciw moralny.

W moim przekonaniu w tekście Andrzeja Saramonowicza rzeczywistym oskarżonym było i jest milczenie wokół takich wydarzeń. Wówczas (w ciszy przenoszenie księdza na odludną parafię), dzisiaj (cisza nad tym konkretnym tekstem) i, nie daj Boże, w przyszłości. Ale Rada Etyki Mediów ma prawo tego nie rozumieć. I ma prawo ujawniać to niezrozumienie.

W przeciwieństwie do konstatacji REM zaimponowała mi odważna i natychmiastowa reakcja księdza Józefa Augustyna.

A Radzie Etyki Mediów poleciłbym obejrzenie hinduskiego filmu „Monsunowe wesele”. Powstrzymam się od tłumaczenia, dlaczego.

Z poważaniem
ROMAN KURKIEWICZ

OD AUTORA

Dziękuję za wszystkie listy. Także te, w których nie wyrażono zgody na publikowanie. Czuję się zobowiązany do kilku wyjaśnień:

Mój tekst nie był – jak niektórzy próbują odczytać – formą terapii. Nigdy wcześniej nie ukrywałem tego, co mnie spotkało. Nigdy też nie miałem potrzeby, żeby to na siłę upubliczniać. Napisałem go nie z powodu osobistego rewansu czy chęci zdobycia popularności. Po rozważeniu konsekwencji i będąc ich świadom, zdecydowałem się napisać „Milczenie jest grzechem” w interesie publicznym, wbrew

własnemu interesowi osobistemu. W imieniu i w obronie wszystkich dzieci, które spotkały podobne doświadczenia. W nadziei, że Kościół i my zrobimy wszystko, by zapobiec takim zdarzeniom w przyszłości. Żadnych innych motywów nie mam i nie miałem.

Jest mi przykro, bo wiem, że mój tekst musiał wywołać szok u wszystkich, którzy znali Olgierda Nassalskiego jako przyzwoitego człowieka i wspaniałego duchownego. Jest mi przykro, bo wyobrażam sobie, że to, co ujawniłem, sprawiło ból jego rodzinie. Proszę jednak winić za to nie mnie, lecz właśnie księdza Nassalskiego. Bo to nie mój tekst sprzed trzech tygodni, ale jego chore zachowania sprzed dwudziestu kilku lat są pierwotną przyczyną owego szoku i bólu.

Wszystkim, którzy oburzają się, że piszę źle o osobie nieżyjącej, a zwłaszcza Radzie Etyki Mediów, której zdolność empatii rozwinęła się jedynie na poziomie podstawowym, chciałbym uświadomić, że z tego punktu widzenia, jaki przyjęli, widać niewiele. Istotą sprawy – podlegającą moralnemu osądowi – nie jest relacja między 37-letnim mężczyzną, nieetycznym dziennikarzem, a nieżyjącym księdzem, który nie może się bronić, lecz relacja między 52-letnim mężczyzną, nieetycznym duchownym, a 11-letnim chłopcem pozostawionym pod jego opieką, który nie mógł się bronić.

List p. Cezarego Gawrysa dobitnie świadczy, że do wypowiadania się na temat etyki nie wystarczy mieć pieczęć z tym słowem. Teza, iż posiadanie innego zdania niż Jan Paweł II jest nieetyczne i powinno być piętnowane przez Radę Etyki Mediów, brzmi kuriozalnie, z czego p. Cenzor Gawrys najwyraźniej nie zdaje sobie sprawy. Zaś zarzut, iż nie je-

stem w stanie zrozumieć tekstów Papieża, bierze się najprawdopodobniej stąd, iż ja w ich egzegezie kieruję się biblijną zasadą: niech wasze słowa będą: „tak, tak; nie, nie”, a p. Gawrys zasadą, którą zaczerpnął z kart do flirtu towarzyskiego: jeśli kobieta mówi „nie”, oznacza „może”, jeśli „może”, oznacza „tak”, słowa „tak” kobieta nigdy nie używa...

Rewolucyjna etycznie jest również teza p. Gawrysa, że ujawnianie z imienia i nazwiska osób nieżyjących, o których chcemy powiedzieć coś nieprzyjemnego, „budzi stanowiący sprzeciw moralny”. Wychodząc jej naprzeciw, chciałbym poinformować Radę Etyki Mediów, że jako były student historii znam wiele książek, w których autorzy opisują brzydkie rzeczy popełniane przez osoby nieżyjące, często dłużej niż od sześciu lat. I nawet jeśli przytaczane w tych książkach fakty są prawdziwe, opisywane osoby nie mają szans „przeprosić za swoje chore zachowania”. A to jest najważniejszy fundament, na którym p. Gawrys – myląc etykę z etykietą – buduje własny światopogląd moralny. „Proszę, przepraszam, dziękuję”. Dziękuję...

W dodatku, żeby Radzie Etyki Mediów nieco prosty obraz świata skomplikować, powiem, że – mając odmienne zdanie niż Ojciec Święty w sprawie etyki seksualnej – uważam go za wybitną postać, którą darzę ogromnym szacunkiem, zwłaszcza za rolę, jaką odegrał w procesie wychodzenia Polski spod jarzma komunistycznego. Mam też wobec niego wiele czystej sympatii. Mój tekst wynikał z zawodu, który odczułem po przeczytaniu, co Papież powiedział w tej sprawie do biskupów amerykańskich. Odniosłem bowiem wrażenie, że więcej troski poświęca „księżom, którzy zeszli na drogę grzechu”, niż nam, ich ofiarom.

Z Tomaszem Basiukiem, moim dawnym kolegą z obozu ministranckiego, różnie się istotnie w pojmowaniu, co można nazwać „zachowaniem jednoznacznie seksualnym”. Dziwi mnie często wynikająca z tak zwanej politycznej poprawności histeria w doszukiwaniu się zachowań mogących nosić znamiona molestowania, ale pomiędzy taką przesadą a aktem seksualnym bądź czynem lubieżnym (a to, jak rozumiem, Tomasz Basiuk gotów byłby jedynie uznać za przejaw pedofilii) jest, w moim przekonaniu, cała gama zachowań, które przekraczają dopuszczalne granice. Ks. Nassalski był zboczeńcem, ale nie był idiotą – musiał więc znajdować alibi dla swoich zachowań, także wobec molestowanych dzieci. Przytoczony przez Tomasza Basiuka fragment o kleszczach w moim mniemaniu tylko to potwierdza. Problem bowiem w tym – i o tym właśnie pisałem – że ks. Nassalskiego najbardziej interesowały kleszcze w okolicach pachwin. W opisaną przeze mnie „przygodzie” też zostałem poproszony do pokoju ks. Nassalskiego pod pretekstem sprawdzenia, czy nie mam skrzywienia kręgosłupa. Poszedłem ufnie, lecz gdy okazało się, że ksiądz usiłuje zlokalizować mój kręgosłup od pasa w dół, poczułem się nieswojo. Swoją drogą, Tomku – gdzie on studiował tę medycynę?!

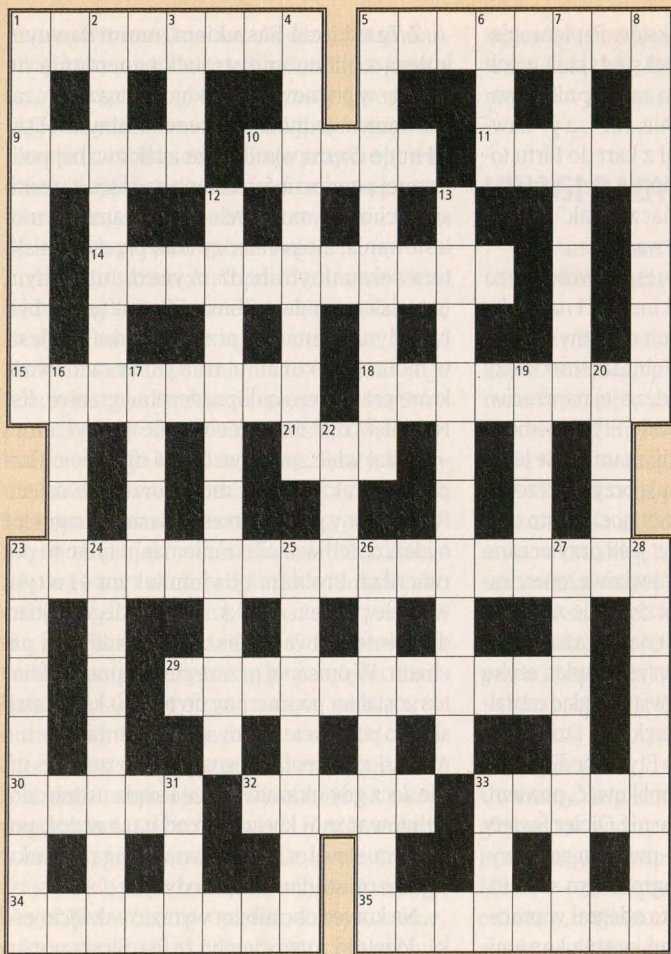
Na koniec chciałbym wyrazić wdzięczność ks. Józefowi Augustynowi za list. Słowa wsparcia od duchownego – jedyne, jakie usłyszałem ze strony Kościoła – były mi bardzo potrzebne. Widząc, jakie konsekwencje ponoszą księża, którzy wystąpili przeciw arcybiskupowi Paetzowi, myślę zresztą, że jest to nie tylko akt prawości, ale i nieklamanej odwagi.

ANDRZEJ SARAMONOWICZ



Założył w roku 1945 w Krakowie Redaktor **MARIAN EILE**

REDAKTOR NACZELNY: Roman Kurkiewicz Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO: Jacek Kowalczyk ASYSTENTKA REDAKTORÓW NACZELNYCH: Maria Świątlik SEKRETARZE REDAKCJI: Magda Bauman (szef), Ewa Biała, Magda Gędzińska KULTURA: Manana Chyb (szef), Bogna Świątkowska (z-ca), Marcin Baran, Paweł Dunin-Wasowicz, Joanna Gromek Ilg, Leszek Mazan, Tadeusz Nyczek, Magda Sendecka, Marcin Sendecki, Justyna Sobolewska WYDARZENIA: Dariusz Rosiak (szef), Małgorzata Fiejdasz, Agnieszka Litorowicz-Siebert, Filip Łobodziński, Wojciech Maziarz, Jakub Mielnik, Magda Papuzińska, Wawrzyniec Smoczyński, Kazimierz Targosz, Anna Tarnowska, Michał Wójcik REPORTAŻ: Monika Piątkowska, Leszek Talko (szefowie), Marcel Andino Velez NAUKA: Jan Stradowski (szef), Olga Woźniak ROZRYWKA: Paweł Sito (szef)	PRACOWNIA GRAFICZNA: Piotr Gidlewski (szef), Łukasz Dziedzic, Maria Klich, Dos Dominos FOTOEDYCJA: Agnieszka Steinhagen (szef), Anna Majewska, Ewa Morgunow, Marek Szczepański, Bogdan Krężel (fotograf) KOREKTA: Lucyna Dyczkowska (szef), Tatiana Hardej ARCHIWUM: Wanda Lacrampe PRODUKCJA: Agencja Poligraf – Maciej Kowalski REDAKTOR TECHNICZNY: Alan Jawor ADRES REDAKCJI: ul. Wiejska 12a, V p., 00-490 Warszawa, tel. (0-prefiks-22) 584 25 25, faks (0-prefiks-22) 628 86 32 e-mail: redakcja.przekroj@edipresse.pl WYDAWCA: Edipresse Polska SA, ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa, tel. (0-prefiks-22) 584 22 00, faks (0-prefiks-22) 584 22 01 PREZES WYDAWNICTWA: Zbigniew Napierała	WICEPREZES: Krystyna Kaszuba WICEPREZES-DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY: Ewa Redel DYREKTOR FINANSÓW: Paweł Satkowski DYREKTOR WYDAWNICZY: Ewa Niebecka DYREKTOR MARKETINGU: Izabela Bochenek DYREKTOR DS. ROZWOJU I KONTAKTÓW MIĘDZYNARODOWYCH: Agnieszka Smit DYREKTORZY ARTYSTYCZNI: Elżbieta i Bogdan Żochowsy DYREKTOR PUBLIC RELATIONS: Katarzyna Bem DZIAŁ DYSTRYBUCJI: tel. (0-prefiks-22) 584 22 28, Grzegorz Barej – dyrektor DZIAŁ PROMOCJI: Marcin Fedisz (kierownik), Agata Obrębska BIURO REKLAMY: Agata Eigner – dyrektor, Maciej Stożek, Bartek Kluczyk, Adriana Olczak, Marzena Kiedacz (Kraków)	Warszawa, ul. Wiejska 19, tel. (0-prefiks-22) 584 22 94 faks (0-prefiks-22) 584 22 98 DRUK: Winkowski Sp. z o.o., ul. Okrzei 5, 64-920 Piła, tel. (0-prefiks-67) 210 84 00 PAPIER: okładka – LumiArt 90 g, środek – Stella Press 60 g; producent – Sora Enso PRENUMERATA: u Wydawcy Izabela Dębska, Agnieszka Bogdańska, tel. (0-prefiks-22) 584 22 29 lub 584 22 30 faks (0-prefiks-22) 584 22 32 przez pocztę przedpłaty przyjmują urzędy pocztowe na terenie całego kraju przez Ruch SA informacja tel. (0-prefiks-22) 532 87 31, faks (0-prefiks-22) 532 87 32 Zabroniona jest bezumowna sprzedaż numerów bieżących i archiwalnych „Przekroju” po cenie niższej od ceny detalicznej ustalonej przez wydawcę. Sprzedaż po cenie innej niż wydrukowana jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością prawną. Artykułów niezamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian i skróć w nadesłanych artykułach i listach.
---	--	---	---



KRZYŻÓWKA nr 22

POZIOMO:

- 1 w pęczku lub w słoiku
- 5 do całego karpia
- 9 przysiadzik
- 10 wyjście ze złych nawyków
- 11 można w nie pójść
- 14 skarżypyta
- 15 gdy ambicje duże, a szlachciura nietęgi
- 18 walczy na bosaka
- 21 elementarna dziewczyna
- 23 zarabianie i ciulanie
- 29 składa bity i bajty
- 30 elegancki przepych
- 32 Macierewicz za młodu
- 33 ładne z dziurką na choince
- 34 czytelnia „Pana Tadeusza”
- 35 idzie jak po sznurku

PIONOWO:

- 1 wciska kit
- 2 die Konferenzstadt
- 3 10-nogi przysmak

- 4 niedzielna wdowa głowę męża chowa
- 5 spotkanie na szczęblu niepaństwowym
- 6 niepewna historia
- 7 nie walce, choć wiedeńskie
- 8 z polskiego na chamski: kawał kija do obicia ryja
- 12 nie obroni, choć przy broni
- 13 daje kopa sercu
- 16 z biografią w garażu
- 17 pokłosie występu Wojskiego
- 19 wypinamy po nagrodę
- 20 tętni, szumi, wrze
- 22 symbol MGM
- 23 nieruchawy sprzęt wojskowy
- 24 rozminięcie się
- 25 13 września jej sąsiedzi stukają w ściany
- 26 B. Tyszkiewicz lub M. Braunek
- 27 bez niej nie mkną po szynach tramwaje
- 28 cel kupienia lodu
- 31 duży kurek
- 33 trzy litery, które zawsze chce powiększyć PSL

Rozwiązanie krzyżówki nr 19:

POZIOMO: 1. narciarz 5. harpagon 9. lulki 10. konie 11. opał 12. gęsi 14. świat 16. osa 18. okno 19. marynarka 21. kalkulator 22. obrona 23. szorki 25. torfowisko 28. tajemnica 32. zima 34. oko 35. Artur 37. mowa 38. neon 39. parka 40. obrót 41. elewacja 42. żurawina

PIONOWO: 1. naleśnik 2. rolki 3. idioty 4. zapłon 5. hangar 6. piki 7. ganek 8. niedojda 13. stawonogi 15. amok 17. samorodek 18. ozór 20. rolnictwo 23. szczypce 24. róża 26. Ikar 27. operetka 29. Joanna 30. montaż 31. Canova 33. morze 36. targi 37. Maja

Za poprawne rozwiązanie krzyżówki nr 17 nagrody wylosowali: I. Haczurska, Łódź; K. Jarczyński, Kielce; W. Ostrowski, Starachowice; A. Prostak, Zawiercie; K. Zielińska, Warszawa.

KRZYŻÓWKA nr 21 (poprawiona)

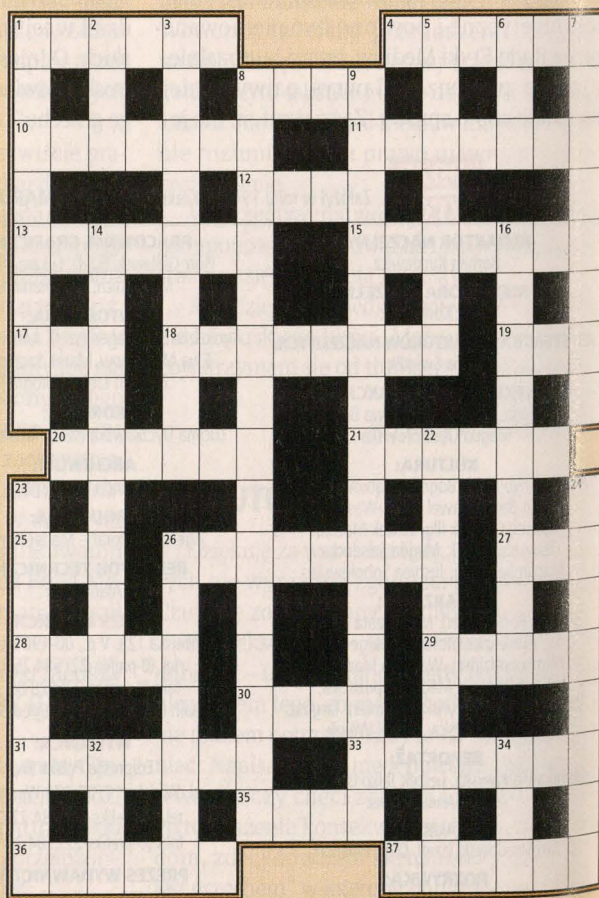
Dziękujemy i przepraszamy! Dziękujemy za liczne sygnały na temat błędów w krzyżówce sprzed tygodnia, za które przepraszamy. Komputer otrzymał upomnienie za niesubordynację i również prosi o wybaczenie. Wybaczymy?

POZIOMO:

- 1 nieboszczka
- 4 oplakany
- 8 z kurkiem, ale nie na dachu
- 10 w ogródku
- 11 zajmą się wnętrzem, choć nie psychologowie
- 12 na górze
- 13 syn Zygmunta i Frydy
- 15 chwali swój tył
- 17 karciany polonez
- 18 Aidakoel w lustrze ładnie wygląda
- 19 gad dla eleganek
- 20 rolnikowi stoi w polu
- 21 między Aocją i Ceocją
- 25 w talii albo grając talią
- 26 „Szpilki” dla ubogich
- 27 po dorobku lub z dorobkiem
- 28 świecące oczko krakowianki
- 29 milczenia, choć w nazwie jakby mówienia
- 30 mebel lub samochód
- 31 żółte w sklepach za czerwonych

PIONOWO:

- 33 znak graficzny
- 35 swoje lub mobilne
- 36 całowanie jej nie należy do przyjemności
- 37 profesja Bułhakowa, Czechowa i Lema
- 1 w sweterku nawet latem
- 2 ...szczęścia
- 3 efekcik donosiku do NIK-u
- 5 jak kula u nogi
- 6 kawał zwierza
- 7 to nie Kraków w indiańskim narzeczu, to wulkan między Sumatrą a Jawą
- 8 no, po prostu serce się tam kraje
- 9 zdarza się wśród bliźniaków
- 14 Grześ Piaskowy
- 16 zdradzenie puenty – dla dowcipu
- 22 pocałunek meduzy
- 23 gotowy lek
- 24 społecznik z lufami
- 26 członek kapituły kościoła
- 32 ból w częściach dolno-tylnych
- 34 Białej szukaj w stopce



JOLKA nr 22

Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. Po wypełnieniu należy rozszyfrować następujące hasło:

Ł12 / A16 – F4 – C14 – G10 – D9 – H1 / E7 – L1 – K2 – K12 – H5 / B1 – L7 – C8 – H14 – H8 – Ł10 – J6 / Ł14 – D4 – I10 / I8 – D16 – A12 – K10.

Wyrazy 10-literowe:

- „Polka” na półce • nieważko spaceruje

Wyrazy 9-literowe:

- piżama leżaka • ramię żurawia
- Tomasz, mąż Bani • Czatyrdah gór

Wyrazy 8-literowe:

- ruch z hurra! • kula p.o. nogi
- rachowanie na oko • naftostrada
- poletko świętego Izydora
- przelewana, gdy się nie przelewa

Wyrazy 7-literowe:

- sprzęt zbędny z nonajronowego punktu widzenia • pacynkokukielka z archipelagu • zaświstał i zazgrzytał

- w Rzymie • pielesze pepeszek

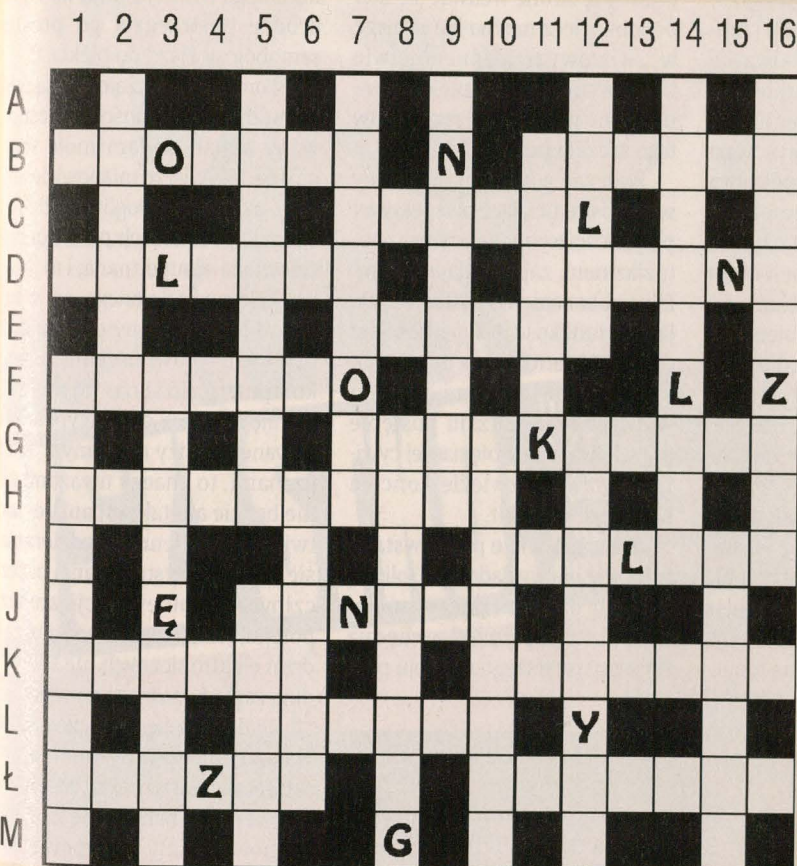
- przecierek z węgielek • ptaszek od warzenia kaszek

Wyrazy 6-literowe:

- muł informacji • w adresie Baby-Jagi
- bałagan z artystycznej półki • basior na balu bez wader • dulcynea Janosika
- kręcący się oddział • bezkarowość
- męczyzna na całe życie • rodowód z koroną • bobrzyk na kołnierzyk • róg architekta • aktor się nie nagra

Wyrazy 5-literowe:

- wychodzi w Watykanie • element konstrukcji budy



Rozwiązanie jolki nr 19: NAWET NAJLEPSZY DOWCIP ROBI SIĘ NUDNY PO CZTERECH DNIACH (ze „Srebrnego grotu” Glena Cooka).

Rzędami: Etrusk, marines, lufka, obuwie, modły, kolanka, ryps, nawóz, katharsis, euro, halo, perfekcja, Tokio, moda, rozbiór, popyt, bolero, nosze, absolut, rycina.
Kolumnami: ekoprzestępca, rękopis, urwisko, portal, klekot, horyzont, Ofelia, Elias, magnesik, Cerber, romans, hamulec, nadawca, szyszkojagoda.

Za poprawne rozwiązanie jolki nr 17 nagrody wylosowali: Eugenia Bartuzi, Lublin; Teresa Dziopa, Paczków; Marek Gluchowski, Ciechocinek; Sobiesław Karzykowski, Lublin; Piotr Kołakowski, Moryń. Gratulujemy!

Rozwiązanie rebusu pokoleniowego ze s. 31.: WIELE DZIECI JEST NASZYCH.



Pomiędzy Czytelników, którzy do niedzieli 9 czerwca (decyduje data stempla pocztowego) nadesłali poprawne rozwiązanie jolki lub krzyżówki, rozlosujemy 10 egzemplarzy książki Macieja Łuczaka „Rejs, czyli szczególnie nie chodzę na filmy polskie” (wydawnictwo Prószyński i S-ka).

Nasz adres: „Przekrój”, ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa, z dopiskiem Jolka 22, Krzyżówka 21 (poprawiona) albo Krzyżówka 22.



Odpowiedź z poprzedniego numeru

Łatwiejsze jest znalezienie prawdziwego zdania na drugiej kartce. Zdania z tej kartki wykluczają się nawzajem – tylko jedno z nich może być prawdziwe. Zatem prawdziwe jest zdanie numer 1.

Zdania z pierwszej kartki też wykluczają się nawzajem. Zatem tylko jedno może być prawdziwe. To znaczy, że 99 zdań jest fałszywych. Czyli prawdziwe jest zdanie nr 99.

Suma numerów prawdziwych zdań na obu kartkach wynosi zatem sto. I na kieszonkowe w tej wysokości może liczyć Placek, jeśli udzieli prawidłowej odpowiedzi.

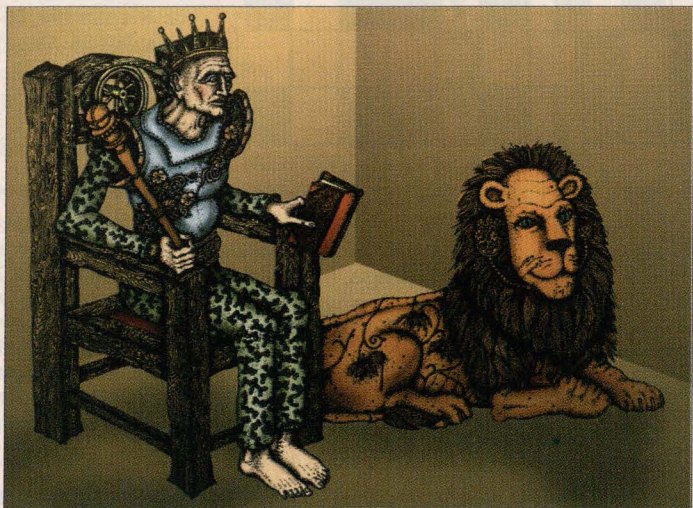
Przy ruletce — próba futurologiczna

Człowiek nie zamieni się
w supermana, ale też nie da się
pokonać superkomputerom

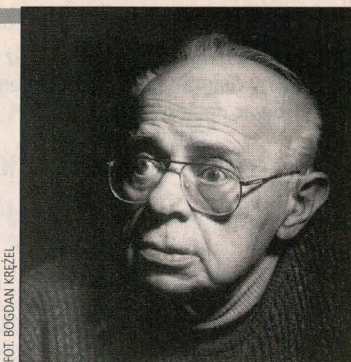
Z wydanej ostatnio w Niemczech encyklopedii filozoficznej pod tytułem „Grosses Werklexikon der Philosophie” dowiedziałem się, że jestem filozofem pokroju analitycznego, zbliżonym w moich wypowiedziach do takich myślicieli jak Popper, Russell i do pewnego stopnia Schopenhauer. Lektura tekstów poświęconych w tym leksykonie mojej osobie dała mi ostrogę do ponownienia poniechanych od pewnego czasu prób sondowania przyszłości, zwanych futurologią.

Jak już kilkakrotnie powtarzałem w różnych miejscach, moje przewidywania nie przepowiadały jakiejś jedynej drogi rozwojowej technologii, ale były raczej czymś na podobieństwo przewodnika po Himalajach albo – jeśli ktoś woli – obszernej karty potraw dużej restauracji. Oba te porównania biorą się stąd, że podobnie jak nikt zasiadający w restauracji nie spożywa wszystkich dań z menu, tak również człowiek wybierający się na górską wędrowkę nie wspiął się na wszystkie szczyty. Mówiąc po prostu, marszrutę górską, podobnie jak obiadowe dania, można wybierać. Zawsze jednak cechą wspólną wszystkich wypraw alpinistycznych jest wspinaczka, a odwiedzin w restauracji – spożywanie posiłków. Tak zatem w każdej z tych dziedzin zachodzi jednocześnie określony wybór, jak też pewien niezbędny schemat postępowania.

Powiedziawszy powyższe, mogę już wziąć się do mojej próby futurologicznej. Na podstawie zdarzeń na froncie naukowym ostatnich kilkudziesięciu lat można powiedzieć, że zarysowała się już nam realna perspektywa tworzenia takich makromolekularnych związków, które uzyskują zdolność autoreplikacji i tym samym zdolnością powielania się ujawniają rosnące podobieństwo do procesów typowo biologicznych. O takim działaniu marzyłem jeszcze w latach 60. ubiegłego stulecia, kiedy w książce „Summa Technologiae” pisałem o hodowli informacji. Jak dotąd samopowielających się systemów molekularnych nie ma, ale dostrzegamy już ich możliwość w postaci wielokształtnych zespoleń, które zdają się zacie-



RYŚ: DIMITRI SZEWIŃKOW-KISIELCOW



FOT. BOGDAN KRZEL

Co Pan na to,
Panie LEM?

rać granicę pomiędzy materią martwą i żywą.

To, co przedstawiłem, nie jest moim wynalazkiem, lecz raczej zwięzłym streszczeniem koncepcji nurtujących uczonych i technologów na pograniczu informatyki, genetyki, a w szczególności zagadkowej w efektach i groźnej krajiny klonowania. W niuanse wypraw w tę stronę wdawać się niepodobna, lecz można już znaleźć w światowym piśmiennictwie naukowym diametralnie odmienne oceny przyszłych rezultatów tego rodzaju postępu.

Podczas gdy jedni fachowcy witają oszałamiające perspektywy przyszłości technokreacyjnej z entuzjazmem, zapowiadając triumfalne pokonanie wszystkich nękających ludzkość przypadłości aż do unieśmiertelnienia udoskonalonego człowieka, inni eksperci widzą w tego rodzaju postępie prawdziwą katastrofę naszej cywilizacji, zwaną zwięźle końcem ludzkiego gatunku.

Tak całkowicie przeciwstawne oceny nie wyglądają na solidną bazę dla dalszych poczynąń poznawczych. Optymiści zachęcają do jak najszybszego rozwoju prac

badawczych; skrajni pesymiści zupełnie poważnie domagają się ogólnoswiatowego zahamowania wszelkich doświadczeń biogenetycznych i makromolekularnych, zwłaszcza tych zorientowanych ku budowie coraz świetniejszych urządzeń komputerowego rodzaju. Kiedy więc pierwszym widzi się zupełnie nowa era ponadludzkiego rozwoju, inni na tej drodze postrzegają po prostu samobójczy zjazd do piekła.

Skoro już napocząłem taką wewnętrzną sprzecznością nacechowany temat, dodam moje trzy grosze. Nie wierzę mianowicie ani w to, ażebyśmy mogli w nadchodzących pokoleniach przetworzyć człowieka w supermana, i to jeszcze unieśmiertelnionego, ani w to, że jakieś straszliwie górujące nad nami sprawnościami superkomputery złożą nas do mogiły. Optuję na rzecz drogi wypośredkowanej między nazwanymi ekstremami, to znaczy uważam, że nie będzie ani tak wspaniale, jak twierdzą zwolennicy wdzierania się na wyżyny sterowanej przez człowieka autoewolucji, ani też potęgujące się możliwości urządzeń elektronicznych nie spowodują zagłady naszego gatunku.

Wydaje mi się także, że należy w każdym przewidywaniu przyszłości zachować umiar. Możliwości jest przed nami wiele, dlatego też powinniśmy postępować niczym wytrawny gracz w ruletkę obstawiający nie jakieś jedno tylko pole, lecz ich roztropnie wybraną liczbę. Taka rada wydaje mi się rozsądna, ale oczywiście nie ma ona – ponieważ nie może mieć – żadnego wpływu na dalszy bieg ludzkich dziejów. Historia jest nieprzewidywalna i wciąż jeszcze otwarta przed nami.

STANISŁAW LEM
17 maja 2002

VIVA FUTBOL!

SKARB KOREA JAPONIA 2002

KIRICA

NR 15
cena 4,90 zł
(zawiera VAT 0%)

Wszystko: DRUŻYNY, STADiony, AKTUALNE SKŁADY, OCENA SZANS, KALENDARZ ROZGRYWEK, PROGRAM TRANSMISJI TV

AŻ 52 STRONY

ISSN 1649-6165 Indeks 36701 X
ISBN 83-88772-94-5
9 788388 772948
ISBN 83-88772-93-7 (nr 14)

W sprzedaży również numer 14 z naklejkami

TYLKO U NAS
ENGEL
WYJDZIEMY Z GRUPY!

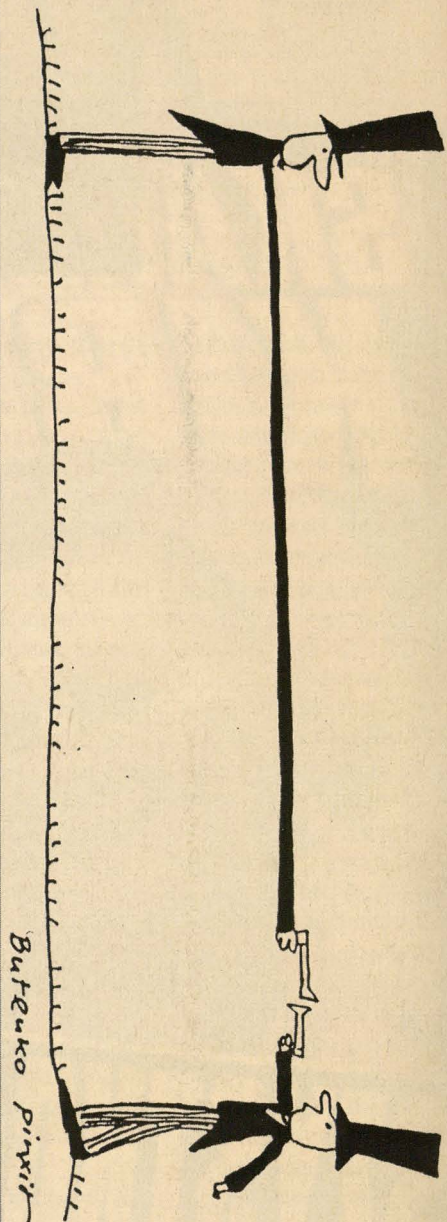
ZIELIŃSKI
BAŁEM SIĘ KOMPROMITACJI

GRUPY G I H
AWANSUJA WŁOCHY,
CHORWACJA, JAPONIA I ROSJA

MŚ 90 – 94
JAK SOCCER WYGRAŁ Z CALCIO

FELIETONY
• SZCZĘPLEK KUSTOŚ O WYSTAWIE
• SMOKOWSKI I TWARDOWSKI
• WESELA BEZ ZABICH UDEK

AGA! OD 22 MAJA SKARB KIBICA MŚ 2002



FILUTEK



ROZMAITOŚCI

EKSTRAWAGANCCY WYPIARZE

„Kurier Szczeciński” z 10 kwietnia przynosi najświeższe wieści z Wielkiej Brytanii:

„Financial Times” opowiadał się za otwarciem stanu duchownego dla zamężnych mężczyzn.

Coś mi się wydaje, że „FT” chce tylko jednej reformy, a „Kurier...” posuwa się dalej. (Nadesłał Sławomir Sarosiek ze Szczecina)

ANTYHIBERNACJA

Pismo „Angorka” z 12 maja informuje o kolejnym turyscie w kosmosie. Mark Shuttleworth poleciał w kosmos... „27 kwietnia (...). Na Ziemię wrócił 4 kwietnia”.

Może wracał przez czarną dziurę? (Nadesłał Cz. Kaczmarek z Lubonia)

HEI!

Po co kamikadze zakładają kask?

Z GŁOWY...

Dziel i rządź! Jeśli drugie nie dotyczy Polaków, a pierwsze ich budżetu.

HUMOR ZESZYTOWY

...KRZYSZTOFA BILICZ

Najlepszym przewodnikiem ciepła jest kaloryfer.

Judym czuwał nad całkowitym brakiem higieny.

Książd Robak mówił, leżawszy na tożu śmierci.

Zygier był to chłopak chudy, ale ucieczy.

Sienkiewicz miał zdolność malowania własnym językiem.

Jagna wyszła za Borynę, bo wstydziła się powiedzieć, że nie chce.

Anielka była rozsądną dziewczynką, ale na nie się to nie zdało, bo umarła.

KINOTEATRZYK P. JURKA

„Gala piosenki biśladnej”, czyli „Pięć latwych utworów” (thriller)

1. Hej, sokoły
2. Sza dziewczka do laseczka
3. Głęboka studzienka
4. Góraltu, czy ci nie żal
5. My, Cyganie

Występują:
TUZY KRAJOWEJ
ESTRADY

Czas:
FORA NAWIEKESZEJ
OGŁADALNOŚCI

Miejsce:

2 TVP

THE END/KURTYNYA

ARTUR ANDRUS
Utrzymamy w formie listu otwartego
wiesz o tym, że problemy dzieci
należy traktować poważnie

Chciałbym bezwzględnie stwierdzić
w imieniu własnym i Jacka,
że całe „Dzieci z Bullerbyn”
To fikcja literacka.

Tym samym stwierdzić chcemy,
że myli się, kto sądzi,
że największe problemy
To: zarost, seks czy trądzik.

Bo również los maluchów
Jest podłe byle jak...
Kogo nie gryzą pieluchy,
Kogo nie męczą mleczaki,

Kto się nie dławii serkiem,
Nie daje buzi dziadkom,
Nie bawi się wiaderkiem,
Nie rani się łopatką,

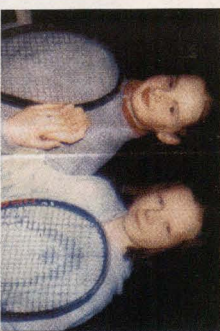
Kogo tabuny ciotek
Nie obnoszą na rękach
I komu od grzechotek
Po prostu łeb nie pęka,

I komu niania Hanna
Nie śpiewa: „Ti, ti Kicia...”,
I kogo nie mdli manna,
Ten, kuiuwa*, nie zna życia!

* Eufemizacja przez zamianę jednej głosi: najpóźniej i wygłosz
zostają, dzięki czemu łatwo rozpoznać całość („Słownik
eufemizmów polskich”, PWN 1998, poz. 1942, s. 214.)

NIESPORTOWE POMÓWIENIE

Angelika Skórka i Kamila Snopkowskie spisały się coraz lepiej na ogólnopolskich zawodach.



Tekst z powyższym zdjęciem
ukazał się w „Gazecie Tarnowskiej” z 14 lutego pod tytułem
„Sukcesy skrzatów”. Czyżby
chodzilo o skraty drukarskie?
(Nadesłała Rozalia Rożnarska z Dębicy)



Kobiety budują
swoją
przyszłość
na przeszłości
mężczyzn.

Mężczyzna
z każdego
stołka chce
tron uczynić.